

YUKIO MISHIMA

ZIMNY PŁOMIEN

Z japońskiego przełożył
Henryk Lipszyc


Świat Książki

Copyright © by The Heirs of Yukio Mishima:
Manatsu-no shi, 1952; *Onnagata*, 1957; *Nichiyobi*, 1958; *Yukoku*, 1960;
Shinju, 1963; *Ame-no naka-no funsui*, 1965; *Shigadera Shonin No Koi*, 1954;
Hashi-Zukushi, 1956

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Henryk Lipszyc, 2008

Posłowie © Copyright by Beata Kubiak Ho-Chi, 2008

Posłowie

Beata Kubiak Ho-Chi

Redaktor prowadzący

Elżbieta Kobusińska

Redakcja merytoryczna

Jadwiga Fajara

Redakcja techniczna

Małgorzata Juźwik

Korekta

Irena Kulczycka

Jolanta Rososińska

Świat Książki

Warszawa 2008

Bertelsmann Media sp. z o.o.

ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie

Joanna Duchnowska

Druk i oprawa

GGP Media GmbH, Pössneck

ISBN 978-83-247-0398-2

Nr 5686

Od Tłumacza

Minęło już prawie czterdzieści lat od samobójczej śmierci Yukio Mishimy (1925–1970), jednego z najwybitniejszych przedstawicieli powojennej literatury japońskiej. Bogata i imponująco różnorodna spuścizna literacka przedwcześnie zmarłego autora cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem wśród czytelników w samej Japonii i poza jej granicami. Świadczą o tym kolejne wznowienia jego opowiadań, powieści i dramatów, a także kolejne edycje jego dzieł ukazujące się w przekładzie na języki obce.

Mishima rozpoczął twórczość literacką w bardzo młodym wieku. Będąc jeszcze uczniem szkoły średniej, próbował swoich sił w formach poetyckich. Ojciec był wysokim urzędnikiem państwowym. Mishima po ukończeniu szkoły i studiów uniwersyteckich zatrudnił się początkowo w Ministerstwie Finansów. Rychło jednak porzucił tę pracę i poświęcił się całkowicie działalności pisarskiej.

Uznanie przyniosła mu nowela pt. *Las w rozkwicie* (*Hanazakari no mori*), opublikowana pod koniec wojny w 1944 roku. Utwór ten po raz pierwszy podpisał literackim pseudonimem Yukio Mishima (jego prawdziwe imię i nazwisko brzmiały: Kimitake Hiraoka). Rozgłos i uzna-

nie przyniosły mu powieści: *Wyznanie maski* (*Kamen no kōkūhaku*) z 1949 roku, *Pragnienie miłości* (*Ai no kawaki*), opublikowana w 1950, *Odgłos fal* (*Shiosai*) z 1954 (polskie wydanie ukazało się w PIW-ie w 1972 jako *Ballada o miłości* w przekładzie z języka angielskiego A. Demkowskiej-Bohdziewicz), *Złota pagoda* (*Kinkakuji*) z 1956 (polski przekład A. Zielińskiej-Elliott, 1997, wyd. Wilga) oraz ostatni, czteroczęściowy cykl powieściowy pt. *Hōjō no umi* (Morze żyzności), ukończony na krótko przed dramatyczną śmiercią pisarza w listopadzie 1970 roku.

Mishima uważany jest w swoim kraju za mistrza krótkich form. Spośród kilkudziesięciu opowiadań i nowel, jakie pisarz pozostawił, do niniejszego tomu wybrano osiem reprezentatywnych utworów tego gatunku. Oto ich tytuły z datami pierwszych publikacji: *Zimny płomień* (*Onnagata*), 1957, *Przejsć przez wszystkie mosty* (*Hashizukushi*), 1957, *Miłość Wielkiego Kapłana świętyni Shiga* (*Shigadera shōnin no koi*), 1954, *Umiłowanie ojczyzny* (*Yūkoku*), 1960, *Śmierć w środku lata* (*Manatsu no shi*), 1952, *Niedziela* (*Nichiyōbi*), 1950, *Fontanny w deszczu* (*Ame no naka no funsui*), 1963, *Perła* (*Shinjū*), 1963. Trzy z nich miały wcześniej swoje pierwsze publikacje w tłumaczeniu na język polski. I tak opowiadanie *Niedziela* ukazało się w „Przeglądzie Orientalistycznym”, nr 1/1973, *Umiłowanie ojczyzny* (pt. *Miłość i śmierć*) – w „Literaturze na Świecie”, nr 10/1976, oraz *Śmierć w środku lata* – tamże, nr 1–2–3/2002. Pozostałe utwory publikowane są w języku polskim po raz pierwszy.

W Polsce ukazało się ponadto kilka innych utworów prozą, w tym *Pawie* (*Kujaku*) i *Dom Kyōko* (*Kyōko no ie*), oba w tłumaczeniu Estery Żeromskiej („Literatura na Świecie”, nr 3/1989).

Oprócz działalności prozatorskiej z wielkim oddaniem uprawiał działalność dramaturgiczną, zarówno pisząc teksty dramatyczne, jak i osobiście wystawiając oraz reżyserując przedstawienia; niekiedy sam występował na deskach teatru.

Polska publiczność miała okazję poznać niewielką część bogatego dorobku dramatycznego Y. Mishimy. Kilka jednoaktowych sztuk ze zbioru *Współczesnych dramatów nō* (*Kindai nōgakushū*, I wyd. japońskie 1956) zostało wystawionych na scenach polskich teatrów, między innymi w Warszawie (Mała Scena Teatru Współczesnego, 1965), Krakowie (Teatr Stary, 1994) i we Wrocławiu (Teatr Nowy, 2007). Sztuka pt. *Madame de Sade* (*Sado Kōshaku fujin*), wystawiona po raz pierwszy w 1984 roku, była później wielokrotnie wznawiana i do dziś grana jest przez Teatr Ateneum w Warszawie. W wyborze współczesnych dramatów japońskich pt. *Moi bitelsi* (*Atashi no Biitoruzu*), wydanym w 1998 przez Wydawnictwo Akademickie Dialog, został zamieszczony polski przekład sztuki *Drzewo tropikalne* (Beata Kubiak Ho-Chi i Jan Filipek).

Ważna dla poznania stosunku pisarza do tradycyjnych japońskich wartości, poznania jego poglądów na dylematy, przed którymi stoi współczesna Japonia, a także poznania osobowości tego intrygującego pisarza i jego dramatycznych losów jest jego eseistyka i twórczość publicystyczna, które uprawiał niemal przez całe dorosłe życie. Z próbką tej części jego pisarstwa czytelnik polski ma możliwość zapoznania się dzięki trzeciemu tomowi *Estetyki japońskiej*, antologii opublikowanej w 2005 roku przez wydawnictwo Universitas, i zamieszczonemu w nim „Wprowadzeniu do *Hagakure*” Mishimy w przekładzie Beaty Kubiak Ho-Chi.

Zasady transkrypcji i wymowy

Zasady wymowy międzynarodowej transkrypcji języka japońskiego stosowanej w niniejszym wydaniu: sh – czytają ś, ch – ć, ts – c, j – dź, z – dz, y – j; kreska nad samogłoską oznacza, że mamy do czynienia z tzw. długą samogłoską i że wymawia się ją podwójnie, np. ō = oo, ū = uu. Oprócz wyrazów, które „zadomowiły” się już w polszczyźnie (np. Tokio, gejsza), stosowano się do powyższych zasad.

Tłumacz dziękuje Pani Marii Ofierskiej, że zechciała zapoznać się z pierwszą wersją przekładu opowiadań i podzielić się cennymi uwagami.

Zimny płomień

Masuyama był oczarowany aktorskim mistrzostwem Sano-kawy Mangiku. Zachwyt jego grą sprawił, że po ukończeniu studiów japonistycznych podjął pracę w dziale literackim teatru kabuki.

Kabuki urzekło go, kiedy uczęszczał do liceum. W owym czasie Mangiku był początkującym *onnagatą** i występował w pomniejszych rólkach, na przykład jako duszek motyla w sztuce *Kagamijishi*** albo, co najwyżej, jako służka Chidori w odsłonie *Wydziedziczenie Genty****. Jego gra była wówczas pełna pokory i podręcznikowo poprawna, ale nikt, kto go wtedy oglądał, nie przypuszczał, że osiągnie aż takie wyżyny.

Ale Masuyama już wtedy wyczuwał owe zimne płomienie bijące ze sceny od jego powściągliwej postaci. Nie dostrzegąca jeszcze tego nie tylko szeroka publiczność, co oczywiste, ale nawet nikt spośród krytyków teatralnych nie

* Aktor teatru kabuki specjalizujący się w odtwarzaniu ról kobiet (wszystkie przypisy autorstwa tłumacza).

** Lew w zwierciadle. Również jeden z klasycznych tańców i utworów muzycznych, zaadaptowanych także na scenę teatru kabuki (premiera 1893 r.).

*** Tytuł I aktu sztuki pt. *Hiragana-seisuiiki* (Opowieść o chwale i zagładzie), napisanej pierwotnie dla teatru lalkowego (premiera w 1739 r.), następnie zaadaptowanej do repertuaru kabuki.

zwrócił na to uwagi. Żaden z nich nie dostrzegł tej szczególnej cechy Mangiku, jaką od samych początków scenicznej kariery były niby dobywające się spod śniegu rozżarzone ognie, rozświetlające jego grę. Dzisiaj wszyscy opowiadają o tym, jakby to było ich własne odkrycie.

Sanokawę Mangiku uznawano za nieczęsto już spotykany przykład tak zwanego czystego *onnagaty*. Ten artysta nie potrafiłby z równą maestrią odtwarzać męskich ról. Jego gra była barwna i efektowna, najdrobniejsze poruszenie dopracowane w każdym szczególe z najwyższą precyzją, ale jednocześnie owa gra kryła w sobie coś mrocznego. Wszelkie ludzkie cechy, jak siła, autorytet, cierpliwość, wytrzymałość, odwaga, wyrażał, posługując się wyłącznie kobiecą ekspresją, jedynym dostępnym mu środkiem. Talent, którym został obdarzony, pozwalał mu oddawać wysublimowaną esencję całej palety ludzkich emocji za pomocą środków, jakimi dysponuje kobieca ekspresja. Na tym polega istota *emploi* aktorskiego, zwanego czystym *onnagatą*, gatunkiem aktorstwa coraz rzadziej spotykanym w naszych czasach. Aby uzyskać szczególny ton tego subtelного instrumentu muzycznego, nie wystarczy wziąć go do ręki i zmienić po prostu jego strój ze standardowego na moloowy. Nie osiągnie się też pożądanego efektu, ślepo naśladowując prawdziwą kobietę.

Przykładem może być Yukihome, Śnieżna Księżniczka ze *Złotego Pawilonu*, popisowa rola Mangiku. Masuyamie zdarzało się oglądać go w roli księżniczki dziesięć razy w miesiącu, za każdym razem z niesłabnącym zachwytem. W sztuce tej można było podziwiać cały zestaw środków składających się na mistrzostwo Mangiku, wszystkie najlepsze cechy jego gry splecione w harmonijną całość, poczynając od słów balladowej narracji towarzyszącej pierw-

W tej scenie: „Złoty Pawilon, górską rezydencją księcia Yoshimitsu, pierwszego ministra i zwierzchnika Ogrodów Jeleni*, dominuje nad okolicą trzykondygnacyjną pagodą, a w otaczającym ogrodzie osiem zaprojektowanych kompozycji widokowych: tu kamień wskazujący miejsce na spoczynek, tam strumyk sączący się spod skały, kaskada wodospadu tchnąca oddechem wiosny, szpaler wysadzany na przemian to wierzbami, to znów drzewami wiśni – ach, stolica, istny brokat wielobarwny!”. Zachwycająca dekoracja z pięknie kontrastującymi wiśniami w rozkwicie, wodospadem i lśniąca w tle pagoda. Odgłos bębna dodający scenie niepokojącego nastroju mrocznych kaskad. Blade oblicze zbuntowanego dowódcy, lubieżnego i okrutnego Daizena Matsunagi. Czarodziejski miecz *kurikara-maru*, którego klinga połyskuje w porannym słońcu wizerunkiem boga ognia, a przy wieczornej zorzy przyjmuje postać smoka. Niezwykłej piękności strumienie spadającej wody i kwiaty wiśni rozświetlone promieniami zachodzącego słońca. Opadające jeden za drugim płatki kwiatów. Wszystko to istniało wyłącznie dla niej – pięknej, dystygowanej Yukihome. Jej strój nie miał w sobie nic szczególnego – ot, zwyczajna szata z czerwonego jedwabiu, jaką zwykły nosić młode księżniczki. Lecz szata tej damy, wnuczki Sesshū** – stosownie do jej imienia – do złudzenia przypominała śnieg. Odnosiło się wrażenie, że rozpościera się na niej bezkresny śnieg, jak na jesienno-zimowych pejzażach Sesshū. Dzięki temu złudzeniu kostium zyskiwał olśniewający blask.

Masuyama szczególnie upodobał sobie scenę popular-

* Jap. *Rokuanji* – buddyjski zespół świątynny w Kioto, na którego terenie znajduje się sławna świątynia Złotego Pawilonu (*Kinkakuji*).

** Sławny malarz (1420–1506), tworzył w 2. poł. XV w., celował w szczególności w malarstwo pejzażowym i malarstwo tuszem; imię artysty zawiera element oznaczający „śnieg”.

nie zwaną „Szczur stopą malowany”, w której księżniczka, przywiązana sznurem do pnia drzewa wiśni, przypomina sobie legendę o swoim dziadku-malarzu i palcami stóp kreśli pośród opadłych płatków wiśni kontur szczura. Szczur ożywa, przegryza więzy i uwalnia Yukihome. Oczywiście Sanokawa Mangiku nie uciekał się w tej sekwencji do chwytów aktorskich w rodzaju „konwencji lalkowej”. Krępujący sznur czynił postać Mangiku piękniejszą jeszcze niż zazwyczaj. Misterna gra ciałem, ruchy palców, wygięcia dłoni – cały arsenał środków, które w realnym życiu razilyby żalosną sztucznością – w wykonaniu tego *onnagaty*, paradoksalnie, ożywały właśnie za sprawą krępujących sznurów. Wymuszone więzami nienaturalne, konwulsyjne ruchy ciała odmalowywały każdą chwilę pięknych męczarni, które wydawały się płynnie układać w ciąg żywych, o niewyczerpanej energii fal.

Gra Mangiku miała w sobie bez wątpienia jakąś diabelską moc. Celnie wykorzystując piękno oczu, umiał niekiedy jednym spojrzeniem stworzyć tak przekonującą iluzję, że publiczność wierzyła bez zastrzeżeń w całkowitą metamorfozę odgrywanej przez niego postaci. Tak się działo na przykład, gdy ogarniał wzrokiem scenę z pomostu *hanamichi* lub, odwrotnie, gdy rzucał spojrzenie ku *hanamichi* ze sceny, albo, jak na przykład w sztuce *Dōjōji**, spoglądał ku górze w stronę dzwonu. W epizodzie ze sztuki *Imoseyama*** , rozgrywającym się na książęcym dworze,

* *Dōjōji* (Świątynia Dōjō) – utwór muzyczno-choreograficzny z klasycznego repertuaru tańca japońskiego; także tytuł popularnej sztuki z repertuaru teatru lalkowego i kabuki opartej na motywie fabularnym z repertuaru teatru *nō*.

** Mowa o scenie pt. *Michiyuki koi no odamaqi*, popularnie zwanej *O-Miwa* (od imienia bohaterki) z 4 aktu *Imoseyama* – sztuki z repertuaru teatru lalkowego, później zaadaptowanej dla teatru kabuki. (Pełna nazwa: *Imoseyama onna-teikin*, autorzy: Chikamatsu Hanji i in., premiera 1771).

Mangiku występował w roli O-Miwy, której księżniczka Tachibana odebrała ukochanego. Stając się przedmiotem okrutnego szyderstwa ze strony dam dworu, O-Miwa, bliska szaleństwa z zazdrości i wściekłości, wybiega na *hanamichi*. Słyszy głosy dam dobiegające z głębi sceny: „Pan młody przewyborny, że równego w całym świecie nie znajdziesz, dostał się naszej księżniczce. Ach, ach! Jakże radosna to nowina!”. W tym momencie siedzący z boku sceny narrator mocnym głosem oznajmia: „Słyszając to, O-Miwa ogląda się nagle za siebie”. W osobowości O-Miwy następuje błyskawiczna przemiana, jej twarz wyraża teraz demoniczne pożądanie.

Masuyamę, ilekroć oglądał tę scenę, przenikał dreszcz trwogi. Przez krótką chwilę diabelski cień kładł się na rozświetloną scenę, na wspaniałe dekoracje wypełniające pałacowe wnętrza, na wykwintne kostiumy i tysiące wpatrzonych widzów. Ta niezwykła siła pochodziła z ciała Mangiku, ale jej źródło było poza jego fizycznością. W podobnych momentach Masuyamie wydawało się, że we wdzięcznej i kruchej postaci aktora, obdarzonego wszelkimi kobiecymi przymiotami, bije ciemne źródło. Nie umiał go nazwać, ale przychodziło mu niekiedy na myśl, że tak naprawdę tym źródłem jest nieodgadnione zło, coś, do czego ostatecznie sprowadza się czar aktora, owo zniewalające zło, które zwodzi ludzi, każąc im utonąć w jednym mgnieniu piękna. Ale czy przez samo nazwanie czegoś słowami coś objaśniamy?

O-Miwa potrząsa głową, jej włosy rozsypują się w nieładzie. Na scenie, ku której zmierza, czeka na nią klinga Fukashichiego, aby ją przeszyć.

Rozlega się balladowy komentarz narratora: „Komnaty pełne muzyki, smutne tony jesieni w niej pobrzmiwają”.

Widok O-Miwy biegnącej na spotkanie z przeznaczeniem przejmuję grozą. Bose białe stopy, odtrącając na boki poły kimona, biegną ku zagładzie i wydaje się, że doskonale wiedzą, w którym momencie i w jakim punkcie sceny gwałtowne namiętności wezbrane w bohaterce znajdą kulminację i kres. Na przekór udrękom zazdrości spieszą do celu przepełnione radością. Ból i rozkosz to dwie strony brokatu, który, jak tkanina jej wytwornego stroju, jest ciemny i przetykany złotą nitką od zewnątrz, a od spodu jasny z wplecionymi jedwabnymi pasmami.

To, że Masuyama zatrudnił się w teatralnej pracowni literackiej, było oczywiście wynikiem jego fascynacji kabuki, a mówiąc dokładnie – fascynacji Mangiku, ale też wiedział, że jeśli nie przejrzy na wskroś teatru od strony kulis, nigdy nie uwolni się od tego uzależnienia. Słyszał już od innych o otrzeźwieniu, jakie czeka każdego, kto poznaje teatr od kuchni, ale postanowił zanurzyć się w ten świat i samemu doświadczyć, jak naprawdę smakuje odczarowanie.

Otrzeźwienie jednak nie przychodziło. Uniemożliwiał je sam Mangiku. Skrupulatnie stosował się do nauk dla odtwórców kobiecych ról zawartych w księdze *Ayamegusa**. „*Onnagata* nawet w garderobie powinien zachować postawę *onnagaty*. Jeśli musi spożyć posiłek, powinien to czynić dyskretnie, aby inni go przy tym nie widzieli”. W zgodzie z tym zaleceniem Mangiku, ilekroć z braku czasu musiał posilić się w obecności innych, przeproszał obecnych, siadał przy swoim stanowisku do charakteryzacji i błyskawicznie coś zjadał, robiąc to z taką finezją, że patrząc od tyłu, nie sposób było się tego domyślić.

* Zbiór gawęd, wspomnień i refleksji znakomitego aktora kabuki, odtwórcy ról kobiecych, Yoshizawa Ayame I (1673–1729).

Masuyama był mężczyzną, więc to, czym sceniczny Mangiku go pociągał, był oczywiście jego kobiecy powab. Co jednak ciekawe, jego oczarowanie nie miało nawet wtedy, gdy przyglądał się z bliska i widział go w całej okazałości w garderobie. Kiedy Mangiku zdejmował kostium i rozbierał się, uderzało wprawdzie, jak bardzo jest delikatnej budowy, ale bez wątpienia było to ciało mężczyzny. Zwracało uwagę coś niezdrowego w sposobie, w jaki, siedząc obnażony przed lustrem, kierował w stronę odwiedzających gości typowo kobiece powitania, w tym samym czasie nakładając aż po ramiona obfitą warstwę białego pudru. Skoro nawet Masuyama, wielbiciel kabuki, poczuł się nie-swoj, kiedy po raz pierwszy zobaczył tę scenę w garderobie, to co powiedzieliby ci, którzy nie cierpią kabuki i których, jak twierdzą, postać *onnagaty* przyprawia o mdłości.

Tymczasem Masuyama, patrząc, jak Mangiku zdejmuje kostium i rozbiera się do naga, albo widząc go okrytego jedynie przewiewną, półprzezroczystą narzutką *hanjuban*, odczuwał nie tyle rozczarowanie, ile pewnego rodzaju ulgę. Sam widok mógł wydawać się groteskowy, lecz fascynacja Masuyamy, jej istota, nie polegała na fizycznym zauroczeniu, dlatego nie było obawy, żeby w takiej sytuacji miała minąć. Nawet kiedy Mangiku się rozbierał, można było odnieść wrażenie, że spod jego skóry prześwituje jeszcze wiele warstw zachwycających strojów, a nagość stanowiła jedynie przejściową powłokę. Gdzieś w jego wnętrzu musiało skrywać się coś, dzięki czemu jego postać sceniczna była tak olśniewająca.

Masuyama lubił, kiedy Sanokawa-ya* wracał do garde-

* Inne imię Mangiku, tzw. *yago*, cechowe imię, zwyczajowo przekazywane w rodach kultywujących tradycyjne sztuki i rzemiosła. Używane jest przy uroczystych okazjach oraz dla wyrażenia sympatii, uznania i szacunku.

roby po odegraniu dużej roli. Towarzyszyła mu poświata wywołana odegraną rolą, trochę przypominająca niebo zaróżowione promieniami słońca, które właśnie zaszło, albo księżyc o poranku. Jeszcze chwilę wcześniej jego ciało służyło za schronienie emocjom właściwym dla konwencjonalnego, groteskowo tragicznego świata, przerysowanego jak na barwnych drzeworytach. Potężne emocje rodem z klasycznego dramatu, niewspółmierne z uczuciami, jakie towarzyszą ludziom w ich powszednim życiu, chociaż z pozoru odnosiły się do świata historycznych wydarzeń – sporów o sukcesję i waśni rodowych, wątków z życia sławnej poetki Ono no Komachi, epizodów opisanych w wielkich kronikach i eposach rycerskich i tak dalej – w istocie nie miały związku z żadną epoką. Przykładem może być nadludzka rozpacz, namiętne pasje, miłość, która spala, radość tak ogromna, że aż przyprawia o przerażenie, krótki krzyk ludzi uwikłanych w tragiczne, nie na miarę człowieka sytuacje. Budziło zdumienie, że to kruche naczynie, jakim było wątłe ciało Mangiku, mogło pomieścić te wszystkie uczucia, niczego z nich nie roniąc.

A przecież jeszcze chwilę wcześniej żył pośród tych wielkich emocji. I właśnie dlatego, że emocje te przewyższały wszystko, co mógł odczuwać widz, postać Mangiku tak promieniowała na scenie. Być może to samo dałoby się powiedzieć o każdym, kto występuje na scenie, jednak wśród żyjących aktorów nie było nikogo, kto umiałby tak jak on, bez reszty, żyć teatralnymi emocjami, oderwanymi od codzienności.

Powiada się w *Ayamegusa*: „Istotą *onnagaty* jest powab. Jednak powab ten uleci, jeśli *onnagata*, nawet obdarzony wrodzoną urodą, będzie nazbyt świadomie demonstrował swoje wdzięki. Jeżeli będzie się starał ze wszystkich sił, aby

wyglądać wytwornie, jego gra może wywołać przykry efekt. Dlatego kogoś, kto nie żyje na co dzień życiem kobiety, trudno będzie uznać za nieskazitelnego *onnagatę*. Choćby dawał z siebie wszystko, aby na scenie przekazać to, co w jego pojęciu stanowi esencję kobiecości, im bardziej będzie się starał, tym bardziej pozostanie mężczyzną. Jak wielokrotnie mówiłem, najważniejsze jest to, jak zachowujemy się na co dzień”.

„Jak zachowujemy się na co dzień...” Tak jest, zarówno sposób wyrażania się, jak zachowanie Mangiku w codziennym życiu miały na wskroś kobiecy charakter.

Gdyby Mangiku na co dzień zachowywał się bardziej po męsku, owe momenty, kiedy poświata wywołana dopiero co odegranej kobiecej roli stopniowo bladła i, jak linia odgraniczająca wodę od piasku na brzegu morza, znikła w kobiecej powszedniości, również będącej przedłużeniem iluzji, doprowadziłyby do całkowitego zatarcia tej linii, sen i rzeczywistość zostałyby oddzielone od siebie banalną przegrodą. Fikcja powszedniego życia wspierała iluzję sceniczną. Na tym – Masuyama nie miał co do tego wątpliwości – polega prawdziwy kunszt *onnagaty*. *Onnagata* to dziecko z nieprawego łoża, zrodzone ze związku snu i jawy.

Kiedy starzy, znamienicy aktorzy odeszli, jeden za drugim, z tego świata, prymat Mangiku w wewnętrznej społeczności teatru stał się niekwestionowany. Uczniowie przysposabiający się do zawodu *onnagaty* usługiwali mu niczym oddane służące, a kolejność, w jakiej wychodzili na scenę jako świta Mangiku występującego w roli księżniczki lub wielkiej damy, odpowiadała hierarchii panującej za kulisami.

Każdego, kto rozchyłał zasłonkę *noren* ze wzorem rodzimego herbu Sanokawa, zwisającą u wejścia do jego garde-

roby – uderzała niezwykła atmosfera. W tym wytwornym wnętrzu nie wyczuwało się najmniejszego śladu męskizny. Nie tylko członkowie zespołu, co zrozumiałe, ale również Masuyama, wchodząc do środka, czuł, że reprezentuje inną płęć. Kiedy szedł w jakiejś sprawie do garderoby Mangiku, wystarczyło, że odgarnął na bok zasłonkę i natychmiast, jeszcze zanim przestąpił próg, w dziwnie żywy, zmysłowy sposób odczuwał, że jest mężczyzną.

Zdarzało się Masuyamie, że podczas podróży służbowych odwiedzał garderoby aktorek występujących w teatrach rewiowych. Uderzała go tam duszna, przepelniona kobiecością atmosfera. Dziewczęta o zaniedbanej cerze, polegające w niedbałych pozach niczym zwierzęta w ogrodzie zoologicznym, rzucały od czasu do czasu w jego stronę obojętne spojrzenia. Nigdy jednak nie czuł się tam aż tak nie na miejscu jak w garderobie Mangiku. Nie było tam niczego, co kazałoby mu myśleć o sobie jako o mężczyźnie.

Członkowie zespołu z otoczenia Mangiku nie okazali Masuyamie szczególnej sympatii. Zdawał sobie sprawę, że go za plecami obgadują, zarzucają, że zadziera nosa, bo ukończył jakiś tam uniwersytet, a w ogóle że za bardzo się wtrąca w nie swoje sprawy. Wiedział, że irytował ich czasami pedantyczną erudycją. W świecie, w którym przyszło mu pracować, akademicka wiedza nie była w cenie, jeśli nie towarzyszył jej prawdziwy artystyczny talent.

Zdarzało się niekiedy, że Mangiku – oczywiście, jeśli był w dobrym nastroju – zwracał się do niego z jakąś prośbą. Odwracał się wówczas od lustra, przechylając ciało skosem do tyłu, i z lekkim skinieniem głowy delikatnie się uśmiechał. W jego oczach było tyle ujmującego czaru, że dla takich momentów Masuyama gotów był znieść wszel-

kie wyrzeczenia. Sam Mangiku nigdy nie zapominał o swojej pozycji i zachowywał należyty dystans, ale był przy tym w oczywisty sposób świadom swoich uroków. Gdyby był kobietą, czar wilgotnych oczu stanowiłby tylko jeden z elementów erotycznego powabu. W przypadku *onnagaty* uwodzicielski urok zawiera się w ledwie dostrzegalnym spojrzeniu, które, istniejąc samo dla siebie, odsłania zarazem samą esencję kobiecości.

– Poproszę, żeby zechciał pan to przekazać dzielnicy Sakuragi. Mnie samemu byłoby niezręcznie. – Mangiku miał staromodny zwyczaj używania, zamiast imion swoich mistrzów tańca i muzyki, nazw miejsc, w których mieszkali. Siedział przed lustrem, dochodząc do siebie po występie w *Warowni Hachijin*, pierwszym punkcie programu tego wieczoru. Ponieważ nie grał w *Ibaraki*, środkowej części programu, zdjął już kostium pani Hinaginu, perukę i przebrał się w lekką bawełnianą *yukatę*.

Masuyama, któremu wcześniej przekazano, że będzie potrzebny, czekał w garderobie, aż dobiegnie końca odłona z *Warownią*. Naraz lustro rozjarzyło się szkarłatem. Zajmując całą szerokość wejścia do garderoby i głośno szeliszcząc kostiumem, wszedł Mangiku w towarzystwie uczniów i trzech asystentów z pracowni kostiumowej. Towarzyszący mu pomocnicy zdjęli z niego niepotrzebne już części szaty, poskładali i odłożyli na miejsce. Ci, którzy wykonali swoje obowiązki, wyszli i garderoba, jeśli nie liczyć uczniów, którzy usiedli przy piecyku *hibachi*, opustoszała i zapanowała cisza. Z megafonów rozmieszczonych na korytarzach dochodził odgłos młotków pracowników demontujących dekoracje. Był już koniec listopada, miesiąc, w którym grano galowy repertuar *kaomise*, i w garderobach włączono ogrzewanie. Szyby okien, równie pospo-

litych jak okna w pokoju szpitalnym, zaparowały. Obok stanowiska z lustrem w wazonie zdobionym barwną emalią żłobkową stały nieco pochylone białe chryzantemy. Mangiku, jak mówiło samo jego imię*, lubił białe chryzantemy.

Mangiku, wydając mu polecenie, aby przekazał coś „dzielnicy Sakuragi...”, siedział zwrócony w stronę lustra, na grubej poduszce oprawionej w fioletowy jedwab, i patrzył przed siebie. Z tyłu, spod ściany, gdzie siedział Masuyama, widać było nasadę karku Mangiku, a w lustrze odbijała się jego twarz z niestartym jeszcze makijażem do roli księżnej Hinaginu. Mangiku nie patrzył jednak na Masuyamę, wzrok miał utkwiony w odbicie własnej twarzy. Rumieniec wywołany scenicznym wysiłkiem, jak poranne słońce przez cienką warstwę lodu, wciąż prześwitywał przez warstwę pudru pokrywającego policzki. Patrzył na Hinaginu. Widział w lustrze tę samą Hinaginu, którą przed chwilą odtwarzał na scenie. Córkę Mori Sanzaemona Yoshinarię, świeżo poślubioną żonę młodego Satô Kazuenosuke. Z powodu długu moralnego męża ich małżeński kontrakt zostaje zerwany. Hinaginu odbiera sobie życie, dochowując tym aktem wierność „związkowi tak ulotnemu, że nawet posłania z ukochanym nie dzieliła”. Hinaginu, niezdolna znieść rozpacz, która uniemożliwiała jej życie na tym świecie, umiera na scenie. W lustrze jest duchem. Mangiku wie, że duch opuszcza także jego ciało. Ściga Hinaginu wzrokiem, ale w miarę jak na twarzy aktora blednie rumieniec scenicznego podniecenia, twarz Hinaginu oddala się. Pozdrawia ją na pożegnanie. Do ostatniego przedstawienia czeka go jeszcze siedem występów.

* *Kiku* (jap.) – chryzantema; *mangiku* znaczy dosłownie: dziesięć tysięcy chryzantem.

Nazajutrz na szlachetnym obliczu Mangiku znowu pojawi się twarz Hinaginu...

Masuyama uwielbiał te momenty, kiedy Mangiku zapomniał się i stawał się nieobecny. Nagle Mangiku obrócił się w jego kierunku. Bez wątpienia czuł uwagę, z jaką mu się przyglądano, ale z wyniosłą obojętnością aktora nawykłego do tego, że jest przedmiotem podziwu, na nowo podjął sprawę, którą zamierzał zlecić.

– Chodzi o muzyczne sekwencje pomiędzy kwestiami. Są po prostu za krótkie. Gdybym bardzo przyspieszył z moim układem tanecznym, mógłbym się nawet zmieścić. To nie jest niemożliwe, ale byłoby, wie pan, kompletnie bez smaku...

Mangiku mówił o akompaniamencie muzycznym w stylu *kiyomoto*, który miał towarzyszyć sztuce tanecznej w programie przygotowywanym na następny miesiąc.

– A jak pan uważa, panie Masuyama?

– Też tak myślę. Chodzi o przerywnik instrumentalny po kwestii: „Nad Mostem Chińskim, ach, jak wolno zapada zmierzch”, prawda?

– Właśnie. „– Jaak wo-o-olno zapada zmie-e-erzch”. – Mangiku odśpiewał odpowiedni fragment pieśni, imitując dźwięk *shamisenu** i wybijając rytm delikatnymi palcami.

– Przekażę. Jestem pewien, że mistrz z dzielnicy Sakuragi zrozumie.

– Mógłbym o to prosić? Tak mi przykro, że bez przerwy obciążam pana kłopotliwymi poleceniami.

Mangiku, gdy uważał, że sprawa została zakończona, zwykł wstawać z miejsca.

– Myślę, że wezmę teraz kąpiel – oświadczył i wstał.

* *Shamisen* – tradycyjny trzystrunowy instrument, zbudowany z długiego gryfu i pudła rezonansowego.

Masuyama cofnął się z wąskiego wejścia do garderoby, żeby Mangiku mógł przejść. Skinąwszy lekko głową, Mangiku wyszedł na korytarz w towarzystwie ucznia. Wycho-
dząc, odwrócił się przez ramię i z uśmiechem jeszcze raz się skłonił. Pomalowane różem kąciki jego oczu lśniły uwodzicielskim blaskiem. Masuyama czuł, że Mangiku trafnie domyśla się, jakim uczuciem go darzy.

Trupa, dla której pracował Masuyama, miała grać w tym samym teatrze jeszcze przez listopad, grudzień i styczeń. Rozchodziły się już pogłoski na temat repertuaru planowanego na styczeń. Między innymi mieli przygotowywać wystawienie nowej sztuki pewnego dramaturga piszącego dla nowoczesnego teatru*. Autor, który próbował robić wrażenie, że mimo młodego wieku na wszystkim doskonale się zna, stawiał niekończące się warunki, a Masuyama miał ręce pełne roboty. Jako „inteligentowi” w zespole przypadła mu skomplikowana rola pośrednika i rozjemcy w stosunkach autora nie tylko z aktorami, ale także z kierownictwem i administracją teatru.

Dramatopisarz zażądał między innymi, aby sztukę reżyserował młody, zdolny reżyser, któremu całkowicie ufał. Kierownictwo przystało na ten warunek. Masuyama przyjął to także do wiadomości, chociaż nie ukrywał niepokoju.

– Oczywiście, ja się na tym nie znam, ale obawiam się, że ktoś, kto nie zna dobrze świata kabuki, może łatwo zrobić jakieś głupstwo, no i...

Mangiku spodziewał się w roli reżysera kogoś bardziej dojrzałego; to znaczy starszego i bardziej skłonnego do kompromisu.

* Chodzi o *shingeki*, współczesny nurt teatru japońskiego, wzorowany na teatrze zachodnim.

Tekst sztuki był zaadaptowaną we współczesnym języku wersją dwunastowiecznej powieści *Gdybym tylko mógł ich zamienić!* Decyzją dyrektora nadzór nad całością przygotowań powierzono nie stałej ekipie, lecz właśnie jemu, niedoświadczonemu Masuyamie. Na myśl o pracy, jaka mu przypadła, Masuyama odczuwał z jednej strony podenerwowanie, ale z drugiej uznał, że sprawa jest warta zachodu, ponieważ bardzo cenił tekst dramatu.

W połowie grudnia, przed południem, gdy scenopis był gotowy i obsada ustalona, w sali recepcyjnej przylegającej do pokoju dyrektora zwołano wstępną naradę roboczą. Uczestniczyli w niej: przedstawiciel dyrekcji do spraw produkcji, dramaturg, reżyser, scenograf, aktorzy i Masuyama.

W pokoju włączone było ogrzewanie, jasne światło słoneczne wpadało przez okna do środka. Masuyamie te wstępne narady dawały najwięcej przyjemności. Przypominały mu obmyślanie planu podróży nad rozpostartą mapą. Gdzie najlepiej wsiąść do autobusu, skąd rozpoczniemy pieszą część wycieczki, czy aby tam, gdzie zatrzymamy się na posiłek, będzie smaczna woda, gdzie będą najlepsze widoki, czy wracamy pociągiem, czy też, nawet gdyby miało to zająć więcej czasu, lepiej popłynąć statkiem... I tak dalej.

Kawasaki, reżyser, spóźnił się na spotkanie. Masuyama nie widział żadnej reżyserowanej przez niego sztuki, ale słyszał o nim. W ciągu jednego roku wystawił – a kandydatów do tego zadania było wielu – dramat Ibsena oraz dwie sztuki współczesnych dramaturgów amerykańskich. Za te ostatnie realizacje został wyróżniony przez jeden z dzienników nagrodą teatralną.

Oprócz Kawasakiego wszyscy byli już obecni. Scenograf, znany z tego, że był niecierpliwy i nie marnował cza-

su, miał już przed sobą otwarty duży blok rysunkowy, żeby notować życzenia innych pod swoim adresem. Grzbietem ołówka uderzał miarowo w biały arkusz papieru. W końcu dyrektor zaczął bez ogródek narzekać:

– No dobra, talent, niech będzie, ale przecież to młokos... Potem aktorzy własnym wysiłkiem będą musieli nadrobić opóźnienie.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i sekretarka oznajmiła, że właśnie przybył. Wszedł, zmrużył oczy, jakby raziło go światło, i ni stąd, ni zowąd złożył niezgrabny ukłon. Był to wysoki mężczyzna, miał chyba z metr osiemdziesiąt wzrostu i męskie, wyraziste, a zarazem zdradzające wrażliwość rysy. Mimo zimowej pory roku nosił cienki, wymięty prochowiec. Ubrany był w sztruksową marynarkę ceglastego koloru. Długie, proste włosy opadały mu aż na czubek nosa, więc raz po raz je odgarniał... Pierwsze wrażenie było dla Masuyamy nieco rozczarowujące. Po kimś, kto został wyróżniony spośród licznej gromady rywali, mógłby oczekiwać, że będzie się starał odróżnić od rozpowszechnionego stereotypu, a tymczasem wyglądał jak typowy młody przedstawiciel środowiska nowego teatru.

Kawasaki zajął wskazane miejsce u szczytu stołu i nie spuszczał z oczu dramaturga, z którym dobrze się znali. Gdy przedstawiano go kolejno wszystkim aktorom, pochylał głowę w uprzejmym pozdrowieniu, ale natychmiast znów zwracał się ku pisarzowi. Masuyama rozpoznawał w tej reakcji odczucia, których sam doświadczył. Nie jest łatwo komuś, kto wychował się w środowisku nowoczesnego teatru, gdzie aktorami są przeważnie młodzi ludzie, nawiązać bliski kontakt z aktorami kabuki, w większości podstarzałymi, dostojnymi jegomościami.

W istocie zgromadzone sławy kabuki bez jednego obraźliwego słowa, wręcz z wyszukaną grzecnością, umieli w sobie znany sposób wyrazić pogardę, jaką wzbudził w nich Kawasaki. Masuyama spojrział na Mangiku. Siedział skromnie na uboczu, bez cienia wywyższania się. Widząc to, Masuyama poczuł dla niego jeszcze głębszy szacunek i sympatię.

Ponieważ wszyscy zebrali się już w komplecie, autor przedstawił zarys sztuki. Mangiku przypadła rola męska, bodaj pierwsza w jego karierze, jeśli nie liczyć drobnych ról, które odgrywał jeszcze jako dziecko przysposobiane do zawodu aktorskiego.

Historia opisuje perypetie Wielkiego Ministra, ojca dwojga dzieci – syna i córki. Ponieważ obdarzone zostały cechami przeciwnie do swoich płci, są wychowywane stosownie do swoich predyspozycji – chłopiec jako dziewczynka, i odwrotnie. Syn (w rzeczywistości córka) z pozycji członka świty księżęcej awansuje w końcu do rangi Wielkiego Dowódcy Prawej Strony, a córka (naprawdę syn) zostaje przełożoną damą dworu w *senyōden*, czyli w pałacu cesarskich nałożnic. W końcu prawda wychodzi na jaw, każde z rodzeństwa powraca do swojej właściwej płci, brat pojmuje za żonę czwartą córkę Ministra Prawej Strony, siostra wychodzi za mąż za Radcę Średniej Rangi, wszyscy się radują, żyją długo i szczęśliwie. Ot, taka jest z grubsza fabuła.

Mangiku miał grać rolę córki, a w rzeczywistości brata. Nominalnie była to męska rola, ale w postaci mężczyzny miał się ukazać jedynie przez krótką chwilę w finale. Aż do tego momentu przez cały czas mógł występować jako „czysty” *onnagata* w roli głównej damy dworu pałacu *senyōden*. Autor i reżyser zgodnie uważali, że aż do sceny

finałowej Mangiku powinien po prostu grać kobietę i powstrzymać się od sugerowania, że jest *de facto* mężczyzną.

Efekt reżyserskiego pomysłu oparty był na konstrukcji sztuki traktującej w prześmiewczy sposób samą konwencję *onnagaty* w teatrze kabuki. Tak samo jak dama dworu okazuje się w rzeczywistości mężczyzną, mężczyzną jest również Mangiku. Co więcej, wcielając się w tę rolę, Mangiku, wyspecjalizowany w wykonywaniu ról kobiecych i będąc zarazem mężczyzną, będzie musiał demonstrować na dwóch płaszczyznach zachowania znane mu z codziennego życia. Nie da się tego wyzwania porównać z banalną sytuacją, kiedy aktor specjalizujący się w męskich rolach gra na przykład postać Benten Kōzō* przebranego za kobietę. Mangiku czuł, że ta rola bardzo go pociąga.

– A pana, panie Mangiku, prosiłbym, aby zechciał pan przez cały czas grać kobietę. Nie mam nic przeciwko temu, aby grał pan po kobiecemu również w scenie końcowej. – Kawasaki po raz pierwszy się odezwał. Jego głos miał dźwięczne, przyjemne brzmienie.

– Doprawdy? Będzie dla mnie o wiele łatwiej zagrać to w ten sposób.

– Niech się panu nawet nie wydaje – stanowczo zareplikował reżyser. – Zapewniam pana, że nie będzie tu nic łatwego.

Mówił z przejęciem, jego policzki zaczerwieniły się, jakby podświetlone od wewnątrz.

Ton jego wypowiedzi sprawił uczestników spotkania w lekkie zmieszanie. Masuyama bezwiednie rzucił okiem na Mangiku. Ten roześmiał się szczerym, niewinnym śmie-

* Bohater sztuki kabuki Kawatake Mokuamiego *Aoto zōshi hana no nishiki-e* (popularnie znanej jako *Shiranami gonin otoko*, premiera w 1862 r.). Złoczyńca, który w kobiecym przebraniu dopuszcza się serii złych uczynków.

chem, wierzchem dłoni zasłaniając usta. Zebrani odetchnęli z ulgą.

– W takim razie – odezwał się autor – przejdźmy do czytania scenopisu.

Skierował ku leżącej na stole książce wypukłe oczy, które z powodu grubych jak szklane spodki okularów wydawały się jakby podwójne. Przystąpił do czytania.

Po dwóch, trzech dniach rozpoczęto próby nad fragmentami tekstu, wykorzystując tych aktorów, którzy byli akurat wolni. Należało przećwiczyć tą metodą tyle, ile się dało, ponieważ próby z udziałem całego zespołu można było rozpocząć nie wcześniej niż na kilka dni przed końcem miesiąca, po zakończeniu bieżącego programu.

Ledwie rozpoczęły się wrywkowe próby, stało się dla wszystkich oczywiste, że Kawasaki jest jak przybysz z innej planety, który zabłąkał się między nimi przez pomyłkę. O kabuki nie miał zielonego pojęcia. Masuyama nieustannie mu towarzyszył, tłumacząc słowo po słowie sceniczno-techniczny żargon, obowiązujący w środowisku tego teatru. Niebawem Kawasaki zaczął na nim polegać i właśnie Masuyamę, pierwszego spośród całej ekipy, zaprosił na drinka.

Masuyama wiedział, że ze względu na swoją pozycję nie powinien wchodzić w zażyłość z Kawasakim, ale wydawało mu się, że rozumie, co tamten musi znosić. Przekonania tego młodego człowieka były jasno sprecyzowane, jego charakter prawy, wszystko traktował z młodzieńczym zapałem. Poznawszy jego usposobienie, Masuyama uświadamiał sobie teraz, dlaczego dramaturg okazywał mu taką sympatię. Czuł, że jego czysta młodzieńczość, jakiej nie spotyka się w świecie kabuki, działa oczyszczająco. Zadaniem Masuyamy będzie znaleźć sposób, aby wykorzystać te przymioty z pożytkiem dla kabuki.

Wreszcie, nazajutrz po ostatnim spektaklu grudniowym, rozpoczęły się właściwe próby z udziałem całej obsady. Było to dwa dni po Bożym Narodzeniu. Nawet przez okna teatru i garderób dochodził uliczny gwar charakterystyczny dla ostatnich dni roku.

Pod oknem sali prób o powierzchni czterdziestu mat stało stare, mocno sfatygowane biurko. Za nim, plecami do okna, siedzieli Kawasaki i jeden z przełożonych Masuyamy, pełniący funkcję inspicjenta. Masuyama siedział za Kawasakim, aktorzy na macie wzdłuż ściany. Po kolei wychodzili na środek i wygłaszali swój tekst, a jeśli któryś nie pamiętał kwestii, inspicjent mu podpowiadał.

Między Kawasakim i aktorami raz po raz dochodziło do spięć.

– O, właśnie tutaj, w tym momencie, kiedy pan wypowiada kwestię: „Ach, gdybym tylko mógł, pojechałbym do Kawachi i skończył z tym raz na zawsze”, prosiłbym, aby pan wstał i przeszedł w kierunku filara po lewej.

– Nie, to wykluczone, żebym w tym momencie miał wstawać.

– Może jednak zechce pan spróbować. – Kawasaki skrzywił się w wymuszonym uśmiechu, ale po chwili zbladł z urażonej godności.

– Nie ma mowy, chociażby pan nie wiem ile razy mnie o to prosił. W takiej sytuacji powściąga się emocje, a kwestię wypowiada w nieruchomej pozycji, jakby się zastygło.

Na takie dictum Kawasaki, skrajnie zirytowany, odpowiedział milczeniem.

Kiedy jednak kolej przychodziła na Mangiku, rzecz miała się zupełnie inaczej. Kiedy Kawasaki kazał mu usiąść, siadał, kiedy polecał wstać – wstawał. Bez najmniejszego oporu, płynnie jak strumień wody, wykonywał wszystko

dokładnie tak, jak życzył sobie Kawasaki. Z pewnością polubił rolę, w której miał wystąpić, ale to nie tłumaczyło wszystkiego. Masuyama miał wrażenie, że zachowanie aktora było zupełnie inne niż zazwyczaj na próbach.

Mangiku właśnie zakończył swoje pierwsze wejście w pierwszej odsłonie i usiadł z powrotem pod ścianą, kiedy Masuyama został wezwany w jakiejś sprawie i musiał opuścić salę prób. Kiedy wrócił, jego oczom ukazał się następujący widok.

Kawasaki, siedząc nieomal na biurku, bacznie śledził przebieg próby. Nie fatygował się już nawet, by odgarniać opadające na czoło włosy. Można było od razu się domyślić z jego postawy, z tego, jak poruszał ramionami w swojej sztruksowej marynarce, że kipi z wściekłości.

Na prawo od siebie widział białą ścianę z oknem. Po pogodnym zimowym niebie płynął popychany północnym wiatrem balon reklamujący wyprzedaż z okazji końca roku. Zbite zimowe chmury wisiały, jakby je ktoś niedbale nachlapał tuszem. Na dachu starego budynku stała świątynka i miniaturowa brama *torii* koloru cynobrowego, poświęcona bogini Inari. Gdy spojrzał jeszcze bardziej na prawo, zobaczył Mangiku siedzącego w nienagannej postawie na macie pod ścianą. Eleganckie kimono w szarozielonym odcieniu leżało na nim bez zarzutu, na kolanach trzymał scenopis. Masuyama, z miejsca, gdzie stał, nie widział Mangiku *en face*, tylko nieco z boku. Jego spojrzenie było pełne spokoju, łagodnie utkwione w Kawasakim.

...Przeszył go lekki dreszcz i mimo że już-już miał wejść do sali prób, poczuł, że nie może tego zrobić, i cofnął się od progu.

Nieco później Masuyama został poproszony do garderoby Mangiku. Miał przekroczyć kurtynkę *noren* wiszącą

nad wejściem, co czynił już wielokrotnie, tym razem od-
czuwał jednak nieznaną wcześniej opór.

Mangiku, w świetnym humorze, powitał go, siedząc na
swojej fioletowej poduszce, i poczęstował ciastkami firmy
Kaishindo, przysłanymi przez kogoś z wielbicieli.

– No i jak wypadła dzisiejsza próba?

– Słucham? – Masuyama był zdziwiony pytaniem.
Mangiku nie zadawał tego rodzaju pytań.

– Chciałem zapytać o pańskie wrażenia.

– Myślę, że jak tak dalej pójdzie, wszystko powinno
być w porządku...

– Naprawdę tak pan sądzi? Tak mi żal pana Kawa-
sakiego. Nie ma z nami lekkiego życia. Moi koledzy, pa-
nowie X i Y, traktują go z taką wyższością, że aż mnie to
czasem oburza... Na pewno pan to zauważył. Nawet jeśli
mam czasem ochotę zagrać coś po swojemu, staram się
grać moją rolę dokładnie tak, jak życzy sobie pan Kawasa-
ki. Może przynajmniej w ten sposób ułatwię mu pracę.
Mnie nie wypada zwracać innym uwagi. Ale może się zmi-
tygują, kiedy zobaczą, jaki posłuszny może być ten zazwy-
czaj nieznośny, swarliwy Mangiku. Muszę przynajmniej
tyle dla niego zrobić. Tak bardzo się stara, że byłoby na-
prawdę niesprawiedliwie, gdyby mu się nie udało. Zgodzi
się pan ze mną?

Masuyama słuchał Mangiku bez szczególnych emocji.
Być może Mangiku nie uświadamiał sobie, że jest zako-
chany. Sam przecież nawykł do przedstawiania ogromnej
skali uczuć. Z kolei Masuyamie mgliste, nie w pełni uświa-
domione uczucie, które jak gdyby dojrzewało w sercu
Mangiku, wydawało się absolutnie dla niego niestosowne.
Prawdopodobnie oczekiwał od aktora znacznie bardziej

przejrzystego, kunsztownego i estetycznego sposobu okazywania uczuć.

Mangiku, w sposób raczej w jego przypadku zaskakujący, rozsiadł się wygodniej, sprawiając wrażenie, jakby znużenie zmogło jego kruche ciało. W lustrze odbijały się małe krwistoczerwone główki zimowych chryzantem, ułożonych w emaliowanym wazonie, oraz kark aktora z siwym odcieniem, śladem niedawnego golenia.

Na dzień przed rozpoczęciem prób scenicznych irytacja Kawasakiego nawet dla postronnych stała się już nie do zniesienia. Ledwie dobiegły końca indywidualne próby, Kawasaki, jakby nie mógł się już doczekać, zaprosił Masuyamę na drinka. Masuyama był akurat zajęty. Dopiero jakieś dwie godziny później dołączył do reżysera, który czekał na niego w barze. Mimo że był to wieczór poprzedzający ostatni dzień roku, lokal rozbrzmiewał gwarem. Kawasaki pił samotnie przy kontuarze. Był bardzo blady. Należał do tych, którzy bledną, w miarę jak piją. Masuyama, ledwo wszedł do środka i złowił wzrokiem trupio szarą twarz Kawasakiego, uświadomił sobie, jak niesprawiedliwie trudną psychicznie misję obarczył go ten młody człowiek. Należeli do zupełnie innych światów i nie widział żadnego powodu, aby w imię dobrego wychowania dać się do tego stopnia obciążać niepokojami i zgryzotami młodego człowieka.

Nie był zaskoczony, kiedy Kawasaki, przyjmując poufały ton, zaczął się z nim droczyć, a to nazywając go donosicielem, a to oskarżając, że szpieguje na dwie strony. Masuyama zbył to uśmiechem. Był tylko pięć albo sześć lat starszy od rozmówcy, ale miał już pewność siebie, której nabrał, przebywając pośród „wtajemniczonych”.

Z drugiej strony wobec ludzi, którzy nie zaznali prawdziwych trudów życia albo zaznali ich w niewielkim tylko stopniu, odczuwał coś w rodzaju zazdrości. Jeśli nauczył się na ogół z obojętnością znosić obmowy, których przedmiotem bywał w wewnętrznym światku kabuki, to wynikało to nie z braku charakteru, lecz ujawniało raczej, że nie miał w sobie nic z tej naiwnej szczerości, która mogłaby go zniszczyć.

– Mam już tego wszystkiego absolutnie dość – zwierzał się Kawasaki. – Gdy tylko odsłania się kurtyna w dniu premiery, najchętniej uciekałbym, gdzie pieprz rośnie, i zaszywał się gdzieś, gdzie nikt by mnie nie znalazł. A jutro zaczynają się próby na scenie! Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. To najgorsze z wszystkiego, co do tej pory robiłem. Już nie daję sobie rady. Nigdy nie dam się namówić do wejścia w ten obcy świat!

– Jak to? – Masuyama zareagował chłodnym, obojętnym tonem. – Chyba od samego początku spodziewał się pan, co tu zastanie. To nie jest przecież nowy teatr.

Następna kwestia Kawasakiego zaskoczyła go.

– A tego Mangiku po prostu nie znoszę! Naprawdę mam go dość. Nigdy w życiu już z nim nic nie zrobię. – Jakby przewiercał spojrzeniem twarz niewidzialnego wroga, wpatrywał się w niski sufit, pod którym snuły się spirale dymu z papierosów.

– Doprawdy? A mnie się wydaje, że on' wyjątkowo się stara.

– A to ciekawe! Co też się panu w nim tak podoba? Jeśli mi jakiś aktor bez przerwy marudzi na próbie, zachowuje prowokacyjnie, otwarcie uprawia sabotaż, specjalnie mnie to nie wzrusza, ale ten Mangiku? Co on sobie w ogóle wyobraża? Bez przerwy tylko gapi się na mnie z tym

drwiącym uśmieszkiem. W głębi duszy nie ma w nim nawet cienia gotowości do ustępstwa, a mnie postanowił traktować jak pęta, który o niczym nie ma pojęcia. Zgoda, robi wszystko dokładnie tak, jak każe. Tylko on jeden słucha moich poleceń. Tym bardziej go nie cierpię! Nic nie mówi, ale przez cały czas zachowuje się, jakby dawał mi do zrozumienia: „Ach tak? W porządku, skoro tak szanowny pan sobie życzy, to tak będzie. Ale proszę nie liczyć, że wezmę na siebie odpowiedzialność za to, co będzie się działo na scenie”. To gorsze od najgorszego sabotażu. On jest najwredniejszy. Ot co!

Masuyama słuchał młodego człowieka zdumiony, ale powstrzymał się na razie od wyjawienia całej prawdy. Postanowił nie informować Kawasakiego o sympatii, jaką żywi dla niego Mangiku. Kawasaki, nieorientowany w sposobie reagowania na emocje w świecie, do którego nagle wtargnął, a który rządził się zupełnie innymi zasadami, mógłby to zrozumieć opacznie jako kolejny podstęp Mangiku. Ten młody człowiek o spojrzeniu nazbyt jasnym, teoretycznie dobrze przygotowany do zawodu, nie był w stanie dojrzeć mrocznej, pięknej duszy ukrytej w zakamarkach teatru.

Nadszedł Nowy Rok, odbył się więc pierwszy spektakl z nowym programem.

Mangiku był zakochany. Co domyślniejsi szeptali sobie na ten temat po kątach. Masuyama, będąc częstym gościem w garderobie aktora, szybko to wyczuł. Mangiku zamykał się w swojej miłości jak jedwabnik, który, zanim wyfrunie jako motyl, chowa się w kokonie. Kokonem dla jego miłości była jego garderoba. Z natury unikał towarzystwa, ale teraz, zwłaszcza na tle noworocznej wrzawy, jego garderoba sprawiała wrażenie celi pustelnika.

Przechodząc korytarzem, Masuyama spostrzegł, że drzwi do garderoby Mangiku są szeroko otwarte, więc zajrzał przez próg do środka. Zobaczył od tyłu kontur Mangiku, który, siedząc w kostiumie przed lustrem, czekał w pełnej gotowości na sygnał do wyjścia na scenę. Mignęły mu szerokie rękawy jego kimona utrzymane w starodawnym odcieniu fioletu, łagodnie opadające, lekko obnażone ramiona pobielone pudrem oraz fragment peruki, połyskujący barwą ciemnej laki.

Mangiku, siedzący tak w opuszczonej garderobie, przypominał kobietę w najwyższym skupieniu zaabsorbowaną tkaniem. Nieobecna duchem kobieta tkła swoją miłość.

Masuyama intuicyjnie wyczuwał, że jedynym wzorcem dla miłości *onnagaty* była scena, stale obecna przy aktorze wraz z krzykami miłości i jękami, które ją wypełniały. W uszach Mangiku rozbrzmiewała muzyka na chwałę najwyższych miłosnych wzlotów, a każdy najwdzięczniejszy ruch jego ciała na scenie składał hołd miłości. Nie było w nim niczego, od czubka głowy aż do koniuszków palców, co nie byłoby miłością. Wszystko służyło miłości – palce u nóg schowane w białych *tabi*, zmysłowa barwa spodniej warstwy kostiumu, ledwie prześwitująca spod rękawów kimona, smukły, łabędzi kark.

Masuyama nie miał wątpliwości, że aktor, pielęgnując w sobie miłość, szukał inspiracji w patetycznych uniesieniach znanych mu ze sceny. Zazwyczaj aktorzy wzbogacają grę sceniczną, ubarwiając ją uczuciami zaczerpniętymi z prawdziwego życia. Ale nie Mangiku. Mangiku się zakochuje i w tej samej chwili przybywają mu z pomocą tragiczne miłości Yukihome, Omiwy, Hinaginu.

Świadomość, że Mangiku jest zakochany, pobudziła Masuyamę do szczególnych refleksji. To były pełne tragi-

znu emocje, do których tęsknił od licealnych czasów, uczucia potężne, a oddawane z nieskazitelną precyzją przez samą sceniczną obecność Mangiku, który umiał sublimować zmysłowy czar, nadając mu formę lodowych płomieni... Oto wszystkie te emocje Mangiku zaczął w widoczny sposób pielęgnować w realnym życiu. Nie byłoby w tym jeszcze nic takiego, ale przedmiotem tych uczuć był młody reżyser o pospolitym wyglądzie, który, jeśli nawet niepozbawiony pewnych talentów, o sprawach dotyczących kabuki nie miał zielonego pojęcia. Jedynym walorem, który czynił go godnym uczucia Mangiku, okazało się to, że był kimś obcym w tym świecie, młodym wędrowcem, który niebawem ten świat opuści i nigdy więcej nie powróci.

Przedstawienie *Gdybym tylko mógł ich zamienić!* miało dobre recenzje. Kawasaki, który po premierze zamierzał „uciec, gdzie pieprz rośnie”, przychodził codziennie do teatru, wytykał błędy aktorom, przebiegał przejściami pod sceną w tę i z powrotem, dotykał z zaciekawieniem mechanizmu zapadni w pomoście *hanamichi*. Masuyama pomyślał, że ten człowiek ma coś z dziecka.

Ukazały się recenzje chwalcące Mangiku. Tego samego dnia Masuyama pokazał gazetę Kawasakiemu, ale ten – jak naburmuszony chłopiec – wydał tylko wargi.

– Wszyscy w kółko o tej grze, że taka wspaniała. A o reżyserii nic, jakby w ogóle nie istniała – rzucił tylko. Rzecz jasna, Masuyamie nie przyszłoby do głowy przekazywać Mangiku tych grubiaństw, a i sam Kawasaki w obecności aktora zachowywał się nad podziw układnie. Masuyamę irytowało, że Mangiku, który sam nie umiał odczytywać tego, co czują inni, jest święcie przekonany, że Kawasaki doskonale zdaje sobie sprawę, jakim uczuciem darzy go Mangiku. Kawasaki tymczasem był kompletnie głuchy na

uczucia innych ludzi. Pod tym jednym przynajmniej względem byli do siebie podobni.

Nadszedł siódmy stycznia. Masuyama został wezwany do garderoby Mangiku. Na stoliku do charakteryzacji leżały ofiarne ciasteczka noworoczne, obok lustro wisiały amulety ze świątyni, którą zwykł odwiedzać. Nazajutrz ryżowe ciasteczka zostaną zapewne rozdane uczniom.

Mangiku, najwyraźniej w dobrym nastroju, nalegał na Masuyamę, by się poczęstował słodyczami.

– Zdaje się, że pan Kawasaki był tu przed chwilą.

– Tak, spotkałem go przed wejściem.

– Myśli pan, że jest jeszcze w teatrze?

– Wydaje mi się, że zostanie do końca przedstawienia...

– Wspominał może, że ma coś potem w planie?

– Nie, niczego takiego nie mówił.

– W takim razie mam do pana małą prośbę. – Masuyama starał się przyjąć możliwie oficjalną postawę.

– Tak, słucham.

– Dziś wieczorem, wie pan, po przedstawieniu. Rozumie pan... – Rumieniec wypłynął Mangiku na policzki. Głos miał jaśniejszy i mówił bardziej niż zwykle podniesionym głosem. – ...Dziś wieczorem, po przedstawieniu, chciałbym zjeść z nim kolację. Czy mógłby go pan zapytać, czy będzie wolny? Proszę powiedzieć, że chciałbym z nim osobiście porozmawiać o tym i owym.

– Chętnie spełnię pana prośbę.

– To okropne. Przykro mi, że muszę prosić pana o taką przysługę.

– Nie, nie... Nie ma o czym mówić. – Masuyama zorientował się, że Mangiku zatrzymał na nim wzrok, próbując z wyrazu jego twarzy dyskretnie wybadać, co myśli.

Odniósł wrażenie, że Mangiku spodziewał się, wręcz liczył na to, że prośba wywoła w nim wzburzenie.

– Rozumiem, przekażę mu to. – Masuyama natychmiast wstał z miejsca.

Było to chyba zrządzenie losu – pomyślał – bo ledwie wyszedł na przerwie do głównego foyer, natychmiast, pośród kłębiących się widzów, wpadł na Kawasakiego idącego z naprzeciwka. Na tle odświeżonej atmosfery panującej w teatrze było coś nieodpowiedniego w wyglądzie reżysera. Noszący się zazwyczaj nieco wyniośle, młody człowiek wyglądał trochę komicznie pośród tłumu statecznych pań i panów, którzy przyszli po prostu dla samej przyjemności obejrzenia przedstawienia.

Masuyama podprowadził go w kąt sali i przekazał mu życzenie Mangiku.

– Teraz? O co mu może chodzić? Kolacja? Dziwne. Dziś wieczór nic nie mam, akurat jestem wolny, ale...

– Pewnie chce porozmawiać na temat sztuki.

– Coś takiego! Na temat sztuki? Mam już tego absolutnie dość! – Złośliwy duch rodem z teatralnych ról małego rzezimieszka wstał nagle w Masuyamę, który nieświadomie zaczął zachowywać się tak, jakby sam grał postać z teatru.

– Skoro zaprasza pana na kolację, będzie pan miał dobrą okazję, żeby niczego nie owijać w bawełnę, tylko wygarnąć, co pan do niego ma.

– Ale mimo wszystko...

– Cóż, skoro nie ma pan dość odwagi.

Uwaga uraziła dumę młodego człowieka.

– Dobrze, pójdę. Wiedziałem doskonale, że przyjdzie kiedyś moment prawdy i otwarcie się rozmówimy. Proszę przekazać, że przyjmuję zaproszenie.

Mangiku występował w ostatnim punkcie programu i był zajęty do zakończenia całego przedstawienia. Zwykle, tuż po zakończeniu, aktorzy przebierali się w pośpiechu i natychmiast znikali. Mangiku jednak odwlekał wyjście. Starannie założył na kimono narzutkę, szyję owinął szalem w stonowanym kolorze. Czekał na Kawasakiego. Kawasaki wszedł, burknął coś na przywitanie, nie fatygując się nawet, żeby wyjąć z kieszeni płaszcz ręce.

– Zaczął padać śnieg – oznajmił któryś z uczniów, występujący zwykle w roli przybocznej swojej pani. Zdyszany i zgięty w ukłonach, sprawiał wrażenie, jak gdyby obwiesz-
czał straszliwy kataklizm.

– Czy bardzo pada? – Mangiku dotknął policzka kołnierzem narzutki.

– Nie, trochę tylko prószy.

– Będzie nam potrzebny parasol, żeby przejść do samochodu.

– Tak jest.

Masuyama odprowadził ich aż do wejścia dla aktorów. Na progu odźwierny starannie ustawił obok siebie obuwie dla Mangiku i Kawasakiego. Uczeń czekał już z otwartym parasolem u wyjścia, gdzie lekko prószył śnieg – prawie niezauważalny na tle ciemnego betonowego ogrodzenia po drugiej stronie uliczki. Można było mieć wątpliwości, czy rzeczywiście pada. Dwa lub trzy płatki sfrunęły na próg wejścia dla personelu.

– Do zobaczenia. – Mangiku skłonił się Musayamie. Spoza kołnierza widać było igrający na jego ustach lekki uśmieszek.

– Już wystarczy. Dalej sam poniosę. Podejdź raczej do kierowcy i powiedz mu, że jesteśmy gotowi. – Wydał polecenie uczniowi, otworzył parasol i rozpiął go nad Kawasa-

kim. Gdy szli obok siebie pod parasolem, Mångiku w swojej narzutce, a Kawasaki w płaszczu, na parasol spadło kilka płatków.

Odprowadzając ich wzrokiem, Masuyama miał wrażenie, że ktoś z trzaskiem otwiera w jego sercu wielki, czarny, mokry parasol. Czuł, że w tym momencie iluzja, która narodziła się, kiedy jako chłopiec po raz pierwszy zobaczył Mångiku na scenie, iluzja, która nie rozwiązała się nawet po tym, kiedy wszedł w środowisko teatru kabuki, rozprysnęła się na wszystkie strony jak delikatny kryształ rzucony z wysokości na ziemię. To aż tyle było trzeba – pomyślał – by zrozumieć, jak smakuje odczarowanie. Teraz mogę już dać sobie spokój z teatrem.

Ale znał siebie na tyle, by rozumieć, że wraz z tym, jak mija fascynacja, rodzi się nowe doznanie – zazdrość. Na myśl o tym, dokąd to uczucie może go doprowadzić, ogarnął go lęk.

Przejsć przez wszystkie mosty

[Przyjdzie mi teraz i ciebie zabić, i samemu umrzeć]
A wszystko dlatego, że rozumu mam ledwie tyle,
że nawet nie wypełni tyci muszelki *shijimi*.

Krótki nasz żywot na tym świecie,
Jak krótki jest jesienny dzień*.

Chikamatsu Monzaemon, *Shinjū Ten no Anijima*,
akt II, scena *Nagori no hashizukushi*
(Pożegnalne przejście przez mosty)

Piętnastego sierpnia według kalendarza księżycowego Koyumi i Kanako, po występie na przyjęciu, wróciły o wpół do jedenastej w nocy do pensjonatu Wakekatsura w zaułku Itajin na Ginzie i szybko przebrały się w *yukaty*. Chętnie by się wykąpały, ale tej nocy nie będzie na to czasu.

Czterdziestodwuletnia Koyumi, o wzroście niewiele ponad metr sześćdziesiąt, miała drobne, krągłe kształty. Ubrana była w białą *yukatę* w czarne roślinne wzory.

* Motto pochodzi z kwestii, którą w znanej sztuce z repertuaru teatru lalkowego *jōruri* wypowiada nieszczęśliwy kochanek, Jihei, w scenie *michiyuki*, w drodze ku miejscu, gdzie razem z ukochaną Koharu popełnią samobójstwo. „Muszelka *shijimi*” – gra słów: kochankowie mają właśnie przejść przez Shijimi-bashi (Most muszelkowy), jeden z wielu mostów, które mijają w drodze na śmierć.

Kanako miała dopiero dwadzieścia dwa lata, ale już zapowiadała się na bardzo dobrą tancerkę. Mimo to nie najlepiej jej się wiodło w próbach znalezienia patrona, nie obsadzano jej też w lepszych, bardziej eksponowanych rolach w dorocznych wiosennych i jesiennych popisach tanecznych. Miała na sobie *yukatę* z białego krepdeszynu w wirowe wzory koloru indygo.

– Ciekawe, jakie kimono będzie miała dziś wieczór Masako – powiedziała.

– Wiadomo, w listki *hagi**, jakżeby inaczej. Ona tak strasznie chce mieć dziecko.

– To aż do tego doszło?

– A gdzie tam! – odparła Koyumi. – I nawet się nie zanosz, jeszcze bardzo długa droga. Musiałaby chyba być Świętą Panienką, żeby zająć w ciążę od samego faktu, że się w kimś skrycie kocha. – Gejsze wierzą, że jeśli latem nosi się kimono z roślinnym deseniem w kształcie listków *hagi*, a zimą – z ornamentem krajobrazowym, to zajdzie się w ciążę.

Już miały wychodzić, ale Koyumi poczuła, że znów jest głodna. Działo się z nią coś dziwnego – powtarzało się to z zaskakującą regularnością, ale za każdym razem głód spadał na nią znienacka niczym atak choroby. Nigdy przed wyjściem na rundę przyjęć nie czuła się specjalnie głodna ani też, na szczęście, żołądek nie robił jej niespodzianek w trakcie przyjęcia, choćby najnudniejszego. Jedynie przed bankietami i tuż po nich napadał ją, bez ostrzeżenia, paraliżujący atak głodu. Nie potrafiła temu zapobiec, na przykład posilając się solidnie na zapas. Zdarzało się, że szła do fryzjera, żeby ułożyć sobie fryzurę na wieczór, i widzia-

* *Hagi* (łac. *Lespedeza bicolor*) – krzew ozdobny, liście kształtem przypominają listki koniczyny.

ła, jak miejscowe koleżanki po fachu, w oczekiwaniu na swoją kolej, zamawiają sobie na przykład porcję mięsa z grilla na ryżu i ze smakiem zajadają. Koyumi patrzyła na to zupełnie obojętnie, widok potrawy ani trochę nie pobudzał jej apetytu. Wystarczyło jednak, że upłynęła godzina i napadał ją przemożny atak głodu – spod jej małych, mocnych zębów jak z gorącego źródła ślina napływała jej do ust.

Koyumi i Kanako codziennie płaciły pensjonatowi Wakekatsura, w którym mieszkały, kwotę za reklamowanie ich usług oraz za jedzenie. Początkowo rachunki Koyumi za posiłki były wyjątkowo wysokie. Miała nie tylko duży apetyt, ale była też bardzo wybredna. Odkąd jednak pojawiła się u niej dziwaczna przypadłość, że głodniała przed występem i po nim, rachunki za jedzenie stopniowo malały, aż niedawno spadły znacznie poniżej tych, które płaciła Kanako. Nie pamiętała, jak długo trwał już ten kaprys. Nie umiałyby też powiedzieć, kiedy dokładnie nabrała nawyku, żeby wstępować do kuchni restauracji, gdzie miała za chwilę wystąpić, i przestępując nerwowo z nogi na nogę, zapytać, czy „nie mają może czegoś do przekąszczenia”. Teraz utarło się, że w kuchni lokalu, w którym wypadł pierwszy występ, jadła kolację, a posiłek nocny zjadała w kuchni ostatniej restauracji, po zakończeniu serii występów tego wieczoru. Jej żołądek przyzwyczał się już do tego rytmu, więc rachunki za jedzenie, które zamawiała w Wakekatsura, wyraźnie spadły.

Ginza opustoszała już, gdy dwie ubrane w *yukaty* kobiety szły w kierunku lokalu Yonei w Shimbashi.

– Jaka pogodna noc! Mamy szczęście. Księżyc taki wyraźny, że można zobaczyć na nim kontur królika – odezwała się Kanako, wskazując na niebo ponad bankiem, którego okna były zasłonięte żaluzjami.

Jednak uwaga Koyumi skupiona była na żołądku. Pierwsze przyjęcie tego wieczoru miało być w Yonei, a ostatnie – w Fuminoya. Pomyślała, że powinna właściwie zjeść kolację w Fuminoya przed wyjściem, ale ponieważ będą musiały jeszcze raz wrócić do Yonei, żeby się przebrać, nie zdąży. No i skończy się na tym, że będzie musiała tego samego wieczoru zjeść w Yonei kolację, i potem w środku nocy, kolejny posiłek. Ta myśl nie dawała jej spokoju.

...Ledwie jednak przekroczyły próg kuchni restauracji Yonei, obawy Koyumi rozwiały się. U wejścia czekała już, ubrana – tak jak się spodziewały – w *yukatę* z krepdeszynu we wzorek stylizowany na listki *hagi*, Masako, wychuchana córeczka właścicieli lokalu. Ujrawszy Koyumi z towarzyszką, serdecznie je przywitała.

– O, aleście się pośpieszyły! Macie jeszcze sporo czasu. Wejdźcie, proszę, i zjedzcie jakąś kolację.

W przestronnej kuchni, nieposprzątej jeszcze po poprzednim wieczorze, panował bałagan. W monstrualnych stertach pater, talerzy i czarek odbijało się oślepiająco światło lamp. Masako stała w progu, opierając się jedną ręką o framugę drzwi, zasłaniała więc oświetlenie i jej twarz pozostawała niewidoczna. Ponieważ twarz Koyumi także osłaniał cień, nikt, ku jej zadowoleniu, nie zwrócił uwagi, jaką ulgę poczuła, słysząc słowa Masako.

Podczas gdy Koyumi jadła kolację, Masako zaprowadziła Kanako do swego pokoju. Spośród wielu gejsz, które przychodziły na występy do restauracji Yonei, najlepiej rozumiała się z Kanako. Były w tym samym wieku, razem chodziły do szkoły, obie też natura hojnie obdarzyła urodą. A co najważniejsze, niezależnie od tego wszystkiego, czuła do niej po prostu jakąś sympatię.

Kanako, mimo że zawsze uprzejma, delikatna i spr-

wiająca wrażenie, że najłżejszy wiaterek mógłby ją przewrócić, w rzeczywistości miała już naprawdę bogate doświadczenie i dlatego nawet jedno, od niechcenia wypowiedziane przez nią słowo było często dla Masako wsparciem i pocieszeniem. Żywa, pełna temperamentu Masako przy koleżance wydawała się nieśmiała i bardzo dziecinna w sprawach romansowych. Nawet jej rodzona matka, dając się zwieść rozpowszechnionej opinii o jej niedojrzałości, wierzyła, że córka jest wciąż dzieckiem, i kiedy Masako zamówiła sobie *yukatę* z deseniem w listki *hagi*, nie zwróciła nawet na to uwagi.

Masako studiowała na wydziale wiedzy o teatrze na Uniwersytecie Waseda. Od dawna była wielbicielką aktora filmowego R., ale odkąd zdarzyło mu się złożyć raz wizytę w Yonei, uczucie przerodziło się w uwielbienie, a jej pokój wypełnił się niezliczonymi fotosami aktora. Kazała odbić na porcelanowym wazonie zdjęcie, które zrobiła sobie razem z R. podczas jego pobytu w ich lokalu, wazon ustawiła na swoim stoliku i pilnowała, aby zawsze były w nim świeże kwiaty.

Kanako usiadła.

– Ogłosili dzisiaj podział ról na najbliższy sezon. – Skrzywiła w grymasie wąskie usta.

– Ach tak? – Masako, współczując przyjaciółce, udawała, że nie wie, o co chodzi.

– Mnie znowu dostały się same żalodne ogony. Wciąż to samo i już na nic więcej nie mogę liczyć. Istna rozpacz. Jestem do niczego. Gdybym występowała w musicalu, pewnie też obsadzano by mnie wiecznie z grupą dziewczątek tańczących *line-dance*.

– W przyszłym roku na pewno ci się uda, zobaczysz. I na pewno dostaniesz dobrą rolę.

– Tak, a tymczasem się zestarzeję i będę jak Koyumi. Tak się to skończy, zobaczysz.

– Nie opowiadaj głupstw. Masz jeszcze przed sobą dwadzieścia lat.

Przekomarzając się w ten sposób, żadna z dziewcząt nie zapytała, o co druga zamierza się dzisiejszej nocy modlić, ale i tak obie doskonale wiedziały, o czym każda z nich marzy. Masako pragnie być z R., Kanako chciałaby dobrego patrona, a Koyumi, dla obu było jasne, chce pieniędzy.

Każde z tych życzeń, tak różnorodnych, nawet dla postronnej osoby byłoby w pełni zrozumiałe i całkowicie szczerze. Jeśli księżyc tych życzeń nie spełni, wina spadnie na księżyc. Pragnienia kobiet, tak bardzo ludzkie, były jasno i czytelnie wymalowane na ich twarzach. Nikt, kto widziałby, jak w trójkę maszerują drogą w świetle księżyca, nie miałby wątpliwości, że on musi wejrzeć w ich serca i te pragnienia spełnić.

Odezwała się Masako.

– Tej nocy pójdzie z nami jeszcze jedna.

– Naprawdę? Kto taki?

– Pokojówka. Zjechała tu jakiś miesiąc temu z północnej prowincji. Nazywa się Mina. Protestowałam, mówiłam, że nie potrzebuję asysty, ale mama się uparła. Będzie, powiada, „niespokojna”, jeżeli nie będę miała kogoś do opieki.

– Co to za jedna?

– Sama zobaczysz. No wiesz, taka, hm, bardziej rozwinięta.

W tym momencie rozsunęła się przesuwana ścianka *shōji* i ukazała się twarz owej Miny. Dziewczyna nadal stała.

– Chyba już ci mówiłam, że trzeba najpierw uklęknąć i na klęczkach rozsuwać *shōji*, prawda? – Głos Masako brzmiał wyniośle.

– Tak jest, proszę pani. – Jej szorstki, pospolity głos ani trochę nie wskazywał na to, że do jego właścicielki uwaga Masako dotarła. Na jej widok Kanako z trudem powstrzymała się, by nie parsknąć śmiechem. Miała na sobie sukienkę uszytą z dziwacznie dobranych skrawków bawełnianej tkaniny na kimono, fryzura przypominała zmierzwioną trwałą ondulację, a przez rękawy można było dojrzeć imponująco krzepkie ramiona. Zarówno twarz, jak i ramiona pokrywała ciemna opalczyna. Śmiałe, grube rysy kreśliły jej twarz, a potężne mięśnie policzkowe były tak wydatne, że miejsce oczu zastąpiły wąskie szparki. Obojętnie, w jaki sposób próbowała zamknąć buzię, w każdej pozycji wystawał któryś z jej nieregularnych zębów. Trudno było dopatrzeć się w tej twarzy jakiegokolwiek wyrazu.

– No to mamy niezłego ochroniarza – szepnęła Kanako do ucha Masako.

Ta starała się z niejakim wysiłkiem zachować surowy wyraz twarzy.

– Jesteś pewna, że zrozumiałaś? Mówiłam ci już, ale powiem jeszcze raz. Od momentu jak wyjdziemy z domu, dopóki nie przejdziemy wszystkich siedmiu mostów, nie wolno ci pod żadnym pozorem otworzyć ust. Złamiesz zakaz, a twoja prośba – na nic. Aha, i jeszcze jedno. Nie wolno ci się odezwać, nawet gdyby ktoś zwrócił się do ciebie i chciał ci coś powiedzieć, ale to ci, myślę, nie grozi... Poza tym nie możesz dwa razy przejść tą samą drogą. No, ale o to nie musisz się martwić. Wystarczy, że będziesz szła za Koyumi, ona będzie prowadzić.

Mina odpowiedziała swoim „tak, proszę panienki”, ale nie było żadnej pewności, że dotarło do niej, co usłyszała. Masako pisała wprawdzie na studiach uczone referaty na temat powieści Prousta, miała także zajęcia z nowoczesnych metod nauczania, ale w sytuacji, w jakiej się znalazła, wiedza okazała się dziwnie bezużyteczna.

– A skoro i tak idziesz z nami, pomyśl sobie o czymś, czego byś chciała, żeby się spełniło. Jest coś takiego?

– Tak, proszę panienki – wymamrotała Mina i niezdarne zachichotała.

– Popatrzcie, jest całkiem do rzeczy – wtrąciła z boku Kanako. W tym momencie pojawiła się Koyumi.

– W takim razie możemy spokojnie ruszać – rzuciła, ochoczo poklepując się otwartą dłonią po wzorzystym pasie *obi*.

– Powiedz, Koyumi, ładne mosty dla nas wybrałaś?

– Zaczynamy od mostu Miyoshi. Bo, słuchajcie, jeśli przejdziemy przez Miyoshi, to liczy się nam za dwa. Od razu mamy zaliczony jeden więcej. Przyznajcie, sprytnie to sobie wymyśliłam, prawda?

Jeszcze chwila i nie wolno im będzie się odezwać, mówiły więc głośno jedna przez drugą, jakby chciały nagaść się na zapas. Paplanina trwała aż do progu kuchni. W sionce, na podłodze z twardej, uklepanej ziemi, czekały równo ustawione chodaki *geta* Masako. Były wykończone elegancką czarną laką z Ise. Kiedy Masako wsunęła bosc stopy w *geta*, jej na czerwono pomalowane paznokcie u nóg rozblęły w półmroku bladym światłem. Koyumi dopiero teraz zwróciła na nie uwagę.

– Ojej! Różowa pomadka na paznokciach, a do tego *geta* z czarnej laki! Proszę szanownej pani, to jest szyk, to ja rozumiem. Teraz to i księżyc ci się nie oprze.

– „Różowa pomadka”, ha-ha! To dobre! Koyumi, tyś chyba trochę niedzisiejsza.

– Przecież wiem, wiem. To się nazywa... *mani*... no, *manekin*, czy jakoś tak, prawda?

Masako i Kanako wymieniły spojrzenia i wybuchnęły śmiechem.

Czwórka, z Koyumi na czele, wyszła na rozświetloną blaskiem księżyca szeroką arterię Shōwa-dōri. Światło odbijało się w czarnych karoseriach limuzyn do wynajęcia, zaparkowanych na placu postojowym po zakończeniu dnia pracy. Spod samochodów dobiegało brzęczenie owadów. Ruch samochodowy na ulicy Shōwa był jeszcze intensywny, ale miasto już spało, więc donośny warkot pojedynczego, trójkołowego samochodu dostawczego, pozbawiony tła normalnego hałasu ulicy, wydawał się dziwnie samotny i odległy.

Kilka obłoków płynęło w jasnym świetle księżyca po niebie, stykając się miejscami ze zwałami ciężkich chmur spowijających horyzont. Gdy ruch samochodów na chwilę ustawał, ostry stukot *geta* czterech kobiet rozbrzmiewał donośnie, niosąc się wysoko, jakby chciał przebić się na zewnątrz niebieskawej, rozświetlonej księżycowym blaskiem twardej powłoki nieba.

Idąca przodem Koyumi była zadowolona, że ma przed sobą tylko szeroki, opustoszały chodnik. Napawało ją dumą, że zawsze radziła sobie sama i nie musiała na nikim polegać. Cieszyła się też, że jest syta. Gdy tak sobie szła, zaczęła mieć wątpliwości, po co jej tak naprawdę potrzebne pieniądze. Poczwała, że najbardziej pragnęłaby teraz łagodnie i bez żadnego celu roztopić się w księżycowym świetle, które padało przed nią na chodnik. W szczelinach między płytami chodnika błyszczały odłamki szkła. Nawet

kawałki rozbitego szkła mogą połyskiwać w promieniach księżycy – zamyśliła się. A może jej marzeniem od dawna było stać się takim właśnie odłamkiem?

Stąpając po cieniu, który rzuciła za siebie Koyumi, szły, trzymając się za małe palce, Masako i Kanako. Nocne powietrze było chłodne i obie czuły, jak pod wpływem lekkiego powiewu wiatru przedostającego się przez ich rękawy stygną i twardnieją im piersi, spocone podnieceniem towarzyszącym przygotowaniom do wymarszu. Dzięki splecionym palcom pragnienia każdej z nich były dla nich nawzajem czytelne. Przekaz był tym wyraźniejszy, że obywał się bez słów.

Masako wyobrażała sobie w duszy łagodny, zniwalający głos R., jego podłużne, głęboko osadzone oczy i pasma włosów miękko opadające na skronie. Dlaczego właściwie; myślała, jej marzenie nie miałoby zostać spełnione, skoro hołubi je nie jedna z jego licznych wielbicielek, lecz ona, córka właścicieli znakomitego lokalu na Shimbashi. Przypomniała sobie, jak cudownie, bez śladu przykrej woni alkoholu, pachniał jego oddech, który poczuła, gdy się do niej odezwał. Tchnął młodzieńczą żywotnością i przywoływał wspomnienie gorącego powiewu letnich traw. Kiedy była sama i nachodziły ją podobne wspomnienia, czuła, jak drobne fale wędrują jej po skórze od kolan po uda. Z jednej strony była przekonana, że ciało R. istnieje gdzieś w realnym świecie, ale z drugiej nie opuszczała jej niepewność. Wątpliwości te, towarzyszące nawracającym wspomnieniom, na przemian wyraźnym i niejasnym, stały się dla niej nieprzerwaną udręką.

Kanako marzyła o tęgim, bogatym mężczyźnie w średnim lub starszym wieku. Musi być tęgi, bo inaczej nie wyglądałby na bogatego. Jak by to było cudownie – wystar-

czyłoby jedynie zamknąć oczy, żeby poczuć się całkowicie i bez reszty otoczoną wielkoduszną opieką takiego mężczyzny. Kanako nabrała nawyku przymykania oczu. Problem polegał na tym, że jak dotąd, z chwilą gdy odważyła się je otworzyć – wymarzonego człowieka już tam nie było.

...Obie dziewczyny, jak na zawołanie, obejrzały się za siebie. Mina, nie odzywając się, szła mozolnie za nimi. Z dłońmi przytkniętymi do policzków, człapała nieporadnie w *geta* z czerwonymi tasiemkami, za każdym krokiem odrzucając nogami na boki brzegi sukienki. Trudno było się domyślić, w którą stronę patrzy, jej wzrok nie wyrażał skupienia. Według Kanako i Masako jej postać ubliżała ich pragnieniom.

W miejscu, gdzie schodzą się pierwszy i drugi kwartał Wschodniej Ginzy, czwórka skręciła z ulicy Shōwa w prawo. Światło latarni w regularnych odstępach padało na rzędy biurowców, jak gdyby ktoś polewał je wodą.

W wąskiej ulicy księżyc skrył się w cieniu budynków.

Wkrótce zobaczyły wznoszący się przed nimi most Miyoshi, pierwszy z tych, przez które miały przejść. Ponieważ zlewają się w tym miejscu dwa dopływy, zawieszony nad rzeką most ma nietypowy, rozgałęziony kształt. Na przeciwległym brzegu przykucnął na rogu ponury budynek urzędu dzielnicowego dzielnicy Chūō, na którym bielejąca z oddali tarcza zegara, wbudowanego w wieżyczkę zegarową, pokazywała zupełnie absurdalną godzinę. Most miał niską balustradę, a na każdym rogu znajdującego się w środkowej części trójkątnego skrzyżowania, gdzie schodzą się jego trzy ramiona, stały staromodne latarnie ze zwiśniętymi w kiściach lampami. W każdej kiści były cztery lampy, ale nie wszystkie się paliły. W świetle księżyca okrągłe klosze z matowego szkła, które osłaniały niepalące

się żarówki, olśniewały bielą. Wokół każdej lampy roiły się niezliczone chmary skrzydlatych owadów.

Powierzchnia wody w rzece zmarszczyła się w świetle księżyca.

U wejścia na most cała grupa zgodnie, za przykładem Koyumi, złożyła ręce w modlitewnym geście. Białe światło w jednym z okien niedużego budynku w pobliżu zgasło, a po chwili na zewnątrz wyszedł samotny mężczyzna – najwyraźniej zakończył pracę po godzinach i ostatni opuszczał biuro. Jego ruchy wskazywały, że zamierza zamknąć drzwi na klucz, ale uwagę jego przyciągnął niezwykle, wieczorny widok i zastygł na chwilę w bezruchu.

Kobiety z wolna zaczęły przechodzić przez most. Mimo że most mógł uchodzić po prostu za przedłużenie chodnika, po którym normalnie szłyby żwawo, wystukując rytm koturnami *geta*, świadomość, że oto przechodzą przez pierwszy z siedmiu mostów, sprawiała, że ich krok stał się odrobinę niepewny. Czuły się trochę tak, jakby chodziły po scenie prawdziwego teatru. Od środkowego punktu mostu rozwidlającego się na trzy ramiona dzielił je tylko niewielki odcinek, ale gdy do niego dotarły, miały poczucie wielkiego dokonania i odetchnęły z ulgą.

Koyumi zatrzymała się pod latarnią i, obejrzawszy się, znowu złożyła dłonie. Pozostałe kobiety uczyniły to samo. Według rachunku Koyumi przejście dwóch z trzech ramion mostu liczyło się tak, jakby przeszły dwa mosty, a ponieważ będą musiały pomodlić się na początku i na końcu każdego odcinka, w sumie na moście Miyoshi złożą ręce w modlitwie czterokrotnie.

Masako zauważyła, że z przygodnej taksówki przejeżdżającej mostem przyglądają im się pasażerowie, przyle-

piwszy zdumione twarze do okien, ale Koyumi w ogóle nie zwracała na takie rzeczy uwagi.

Kiedy dotarły do urzędu dzielnicowego, odwróciły się do niego tyłem i pomodliły po raz czwarty. Kanako i Masako odetchnęły z ulgą, że bez przeszkód przeszły pierwsze dwa mosty, a jednocześnie cel ich modlitw, do którego nie przywiązywały początkowo aż tak wielkiej wagi, urósł naraz do rangi czegoś najważniejszego w świecie, niedającego się niczym zastąpić.

Już prędej niech umrę – myślała teraz Masako – niż żeby los nie miał połączyć mnie z R. Samo przejście dwóch mostów sprawiło, że siła jej pragnienia zwielokrotniała. Kanako nabrała przekonania, że jeżeli nie znajdzie patrona, jej życie straci sens. Były pogrążone w modlitwie, ich serca przepęłniało uniesienie. Masako czuła, że łzy napływają jej do oczu.

Naraz spojrzała w bok. Mina, z zaciśniętymi oczami, nabożnie ścisnęła dłonie. O cóż takiego ona może prosić – pomyślała. Przecież w porównaniu z nią nie może to być nic szczególnego. Czuła pogardę, ale i zazdrość na myśl o bezdusznej, pustej otchłani, którą Mina miała w głębi serca.

Szły wzdłuż rzeki na południe, aż dotarły do ulicy, którą kursuje tramwaj na trasie od Tsukiji do Sakurabashi. Ostatni tramwaj, rzecz jasna, dawno już odjechał. Szyny, rozgrzane w ciągu dnia słońcem wczesnej jesieni, ciągnęły się dwiema białymi, chłodnymi liniami.

Jeszcze zanim tu doszły, Kanako zaczął dokuczać niepokojący ból w podbrzuszu. Musiało jej coś zaszkodzić. Po kilku krokach udało się jej zbagatelizować pierwsze symptomy, które pojawiły się w postaci bolesnych skurczów, i poczucie ulgi powinno teraz przerodzić się w pewność, że

jest wszystko w porządku. Niestety, w tej pewności pojawiły się rysy i gdy już sobie wmówiła, że ból ustał, ten znowu dał znać o sobie.

Trzecim mostem był most Tsukiji. Dopiero kiedy tu doszły, dostrzegły, że nawet tutaj, w tym przygnębiającym miejscu, u wejścia na most w samym środku miasta, rośnie, jak każe tradycja, wierzba. Niezauważana na ogół przez przejeżdżających samochodami ludzi, rośnie sobie samotnie na mikroskopijnym kawałeczku ziemi pośrodku betonu, potrząsając liśćmi na wietrze od rzeki. Okoliczne budynki, tak hałaśliwe za dnia, są jak wymarłe, żywa jest tylko wierzba.

Wchodząc na most Tsukiji, Koyumi zatrzymała się pod wierzbą i, zwrócona w stronę Sakurabashi, złożyła dłoń. Być może w poczuciu wagi misji, której się podjęła jako kierownik grupy, jej raczej drobna, krągła postać, nie wiedzieć kiedy, wyprostowała się jak struna. Prawdę powiedziawszy, z pamięci Koyumi uleciało już, o co tak naprawdę miała prosić. Najważniejsze zadanie, które teraz przed nią stało, to bezpiecznie przejść przez wszystkie siedem mostów. Uświadomiła sobie, że sama ta myśl, twarde postanowienie: „Musimy przejść, cokolwiek się wydarzy”, stały się treścią i celem jej modlitwy. Przyszło jej do głowy, że znalazła się w szczególnym stanie ducha, a to, podobnie jak owe nagłe napady głodu, ma związek z jej charakterem. W miarę jak szła w świetle księżyca, coraz mocniej utwierdzała się w tym dziwnym przekonaniu, jej sylwetka stawała się coraz bardziej wyprostowana, krok pewniejszy, wzrok śmiało skierowany przed siebie.

Most Tsukiji nie ma ani trochę uroku. Cztery kamienne kolumny na jego końcach podobnie pozbawione są wyrazu. Ale kiedy nim szły, po raz pierwszy mogły poczuć led-

wie wyczuwalny zapach morza i delikatny powiew słonego wiatru. Nawet czerwony neon firmy ubezpieczeniowej, widoczny nieco dalej na południe w dół rzeki, przypominał im świetlną boję, która oznajmiała: „Uwaga, przed nami morze”.

Kiedy przeszły przez most i odmówiły modlitwę, Kanako poczuła, że znowu chwyta ją przejmujący ból i robi się jej niedobrze. Przekroczyły tory tramwajowe i szły teraz między rzeką a rzędem starych żółtych gmachów firmy S. Kanako zostawała w tyle. Masako, solidarnie, również zwolniła kroku, nie mogła jednak otworzyć ust, żeby zapytać, co się stało. Kanako, trzymając się za podbrzusze i marszcząc z bólu brwi, dała jej w końcu do zrozumienia, o co chodzi.

Tymczasem Koyumi, nie zdając sobie z niczego sprawy, szła miarowym krokiem przed siebie, jakby w stanie upojenia. Odległość między nią i pozostałą trójką wyraźnie się zwiększała.

Kiedy wydawało się, że wspaniały patron jest już na wyciągnięcie ręki i wystarczy tylko sięgnąć, do Kanako dotarło, że w żaden sposób nie zdoła tej ręki wyciągnąć. Jej twarz stała się trupio blada, na czoło wystąpił gęsty pot. Ludzka psychika jest jednak wspaniale skonstruowana – w miarę jak ból brzucha przybierał na sile, prośba, której wysłuchania Kanako chwilę wcześniej pragnęła tak gorąco i która wydawała się już bliska spełnienia, zaczęła się jej jawić jako zupełnie niemożliwa do spełnienia. Zaczęła utwierdzać się w przekonaniu, że od samego początku było to jakieś nierealne, fantastyczne i dziecinne marzenie. Mało tego; gdy brnęła przed siebie, z trudem wytrzymując nieznośny, rwący ból, czuła, że wystarczy porzucić te absurdalne mrzonki, aby ból natychmiast ustąpił.

Kiedy wreszcie ich oczom ukazał się czwarty most, Kanako lekko położyła rękę na ramieniu Masako i, wskazując palcami na swój brzuch gestem przypominającym układ choreograficzny, potrząsnęła głową. Bezładne, mokre od potu kosmyki włosów lepiły się do czoła. Jej twarz zdawała się mówić: „Już nie dam rady”. W jednej chwili obróciła się i pobiegła z powrotem w kierunku torów tramwajowych.

W pierwszej chwili Masako chciała odruchowo za nią pobiec, ale pomyślała, że jeśli zawróci, jej prośby spełzną na niczym. Zatrzymała się w miejscu na koturnach *geta* i jedynie wzrokiem odprowadziła koleżankę.

U wejścia na czwarty most Koyumi zdała sobie wreszcie sprawę, że coś jest nie w porządku, i spojrzała za siebie. Zobaczyła postać w białej *yukacie* w granatowe koliste wzory. Dziewczyna biegła nieprzytomnie przed siebie, tupot jej chodaków rozbrzmiewał wokoło, odbijając się od otaczających gmachów. Szczęściem na rogu ulicy bezgłośnie zatrzymała się taksówka.

Czwartym mostem był most Irifuna. Miały go przejść w kierunku przeciwnym niż ten, w którym przekraczały poprzedni most Tsukiji.

Zebrały się na końcu mostu, skupiły razem i chórem odmówiły modlitwę. Masako było żal Kanako, ale żal ten nie płynął tak prosto i szczerze z głębi serca, jak to było zazwyczaj. Pomyślała tylko chłodno, że ci, którzy odpadli, pójdą odtąd zupełnie inną drogą niż ona. Życzenie każdej z nich jest ich prywatną sprawą i nawet jeśli którejs z nich przydarzy się coś dramatycznego, ona nie może przecież brać na siebie odpowiedzialności. Nie można w takiej sytuacji przyjść komuś z pomocą tak, jak bierze się od kogoś wleżki bagaż, żeby ulżyć mu podczas wspinaczki.

Nazwa „Most Irifuna” wyłobiona była w poziomej linii na metalowej tabliczce przymocowanej do niskiego kamiennego słupka na końcu mostu. W nocnym świetle mogło się wydawać, że jest zielonego albo czarnego koloru. Most wyróżniał się z ciemnego tła, wznosząc się jasną sylwetką. Sprawiała to zapewne świetlna reklama stacji benzynowej Caltex na drugim brzegu, która odbijała się w betonowej jezdni, bezlitośnie zalewając most rzęsistym, oślepiającym światłem. Nad wodą, tam gdzie padał cień mostu, jarzyło się małe światełko. Najwyraźniej mężczyzna, który mieszkał w starej szopie na drewnianym pomoście, jeszcze nie położył się spać. Baraczek przyozdobiony był roślinami w donicach, a wywieszzone nad nim szyldy reklamowały „łódzie spacerowe”, „łódzie holownicze”, „łódzie dla wędkarzy”, „łódzie rybackie do połowów siecią”.

Mniej więcej od tego miejsca budynki, stłoczone jeden obok drugiego, były już zdecydowanie niższe i można było dzięki temu ogarnąć wzrokiem szeroką połąć wieczornego nieba. Zauważyły, że księżyc, jeszcze przed chwilą tak jasny, ukrył się za chmurami i prześwitywał tylko na w pół widoczny. Cały obszar nieba nad ich głowami zasnuwały kłęby chmur.

Most Irifuna przeszły bez przygód.

Tuż za nim rzeka niemal pod kątem prostym skręcała w prawo. Do piątego mostu trzeba było przejść spory kawałek. Musiały pokonać szeroką, opustoszałą drogę, biegnącą wzdłuż rzeki w stronę mostu Akatsuki.

Większość domów po prawej zajmowały restauracje. Na lewo od nich leżały, zwałone na nabrzeżu, stosy kamieni, żwiru i piasku, przygotowane prawdopodobnie do prac ziemnych. Miejscami te ciemne zwałowiska bloko-

wały niemal do połowy drogę. Niebawem po przeciwnej stronie rzeki na lewo ukazał się monumentalny gmach szpitala Świętego Łukasza.

W przyćmionej poświacie księżycowej sprawiał ponure wrażenie. Ogromny złoty krzyż na jego szczycie świecił jaskrawym blaskiem, a czerwone światła ostrzegawcze, jak świta w służbie krzyża, zapalały się i gasły, wyznaczając granicę oddzielającą niebo od linii dachu. Światła w kaplicy za gmachem szpitala były zgaszone, ale wyraźnie widać było zarysy rozetowych gotyckich okien u jej szczytu. W niektórych pokojach szpitalnych paliły się jeszcze przyćmione światła lamp zwisających z sufitu.

Trzy kobiety szły w milczeniu. Masako, spięta i całkowicie skupiona na marszu, nie myślała o niczym innym. Bezwiednie przyspieszyły kroku i dziewczyna poczuła naraź, że jest mokra od potu. Sądziła, że tylko z pozoru zbiera się na deszcz, ale niebo, na którym wciąż jeszcze można było wypatrzeć księżyc, groźnie pociemniało i na skroniach poczuła pierwsze krople. Na szczęście nie zanosiło się na to, żeby deszcz miał przejść w ulewę.

Zobaczyły przed sobą jaskrawo białe słupy mostu Akatsuki, ich piątego mostu. Betonowe słupy miały dziwaczny kształt i były pobielone nachalnie grubą warstwą farby. Masako na początku mostu złożyła ręce do modlitwy, ale nagle potknęła się nieprzyjemnie o nieosłoniętą metalową rurę wystającą z jezdni na moście i omal nie upadła. Z mostu schodziło się na wprost podjazdu dla samochodów szpitala Świętego Łukasza.

Most nie był długi, a do tego kobiety szły coraz zwawszym krokiem i miały już lada chwila z niego zejść, gdy Koyumi spotkał pech. Z naprzeciwka szła w ich stronę kobieta w *yukacie* z niedbale rozchylonym kołnierzem, z umy-

tymi, mokrymi włosami, pod pachą niosła metalową miskę do kąpeli. Masako kątem oka dojrzała jej mokre włosy, trupio bladą twarz i zdjął ją strach.

– Koyumi?! Zaraz, to przecież Koyumi! Ojej, nie widziałyśmy się całe wieki! Nie udawaj, że mnie nie poznajesz. No wiesz, jesteś okropna! Koyumi!

Kobieta zatrzymała się na moście i zastąpiła Koyumi drogę, w dziwnym geście wyciągając szyję w jej kierunku. Koyumi spuściła tylko oczy i nie odpowiadała. Głos kobiety był skrzekliwy i zmieniał wysokość, trochę jak świst wiatru, który przeciska się przez szpary. Można było odnieść wrażenie, że jej powtarzające się, monotonne wołania, mimo że skierowane do Koyumi, naprawdę adresowane są do kogoś, kogo tam wcale nie ma.

– Wracam właśnie z łaźni w Odawara-machi. Naprawdę, nawet nie pamiętam już, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni. Muszę powiedzieć, że w dziwnym miejscu się spotykamy. No, Koyumi!

Koyumi, czując rękę kobiety na ramieniu, podniosła w końcu oczy. Będzie musiała się odezwać i jej modlitwy stracą sens.

Masako popatrzyła na twarz kobiety. Zastanowiła się chwilę, po czym żwawym krokiem ruszyła przed siebie, nie oglądając się na Koyumi. Ona także przypominała sobie tę twarz. Była to stara gejsza, nazywali ją bodajże Koen. Po wojnie występowała krótko w rejonie Shimbashi, ale zachorowała psychicznie i została wykreślona z rejestru gejsz. Z czasów, gdy występowała jeszcze publicznie, pozostała jej nieprzyjemna maniera naśladowania małej dziewczynki. Zaopiekowała się nią jakaś dalsza rodzina mieszkająca w tej okolicy i podobno teraz ma się już znacznie lepiej. Nic dziwnego, że poznała Koyumi, kiedyś

łączyła je przyjaźń. Prawdziwe szczęście, że jej, Masako, nie poznała.

Szósty most był o krok. Niezbyt okazały most Sakai zdobiła jedynie metalowa zielona tabliczka z jego nazwą. Masako, dopełniwszy czym prędzej rytuału, szybko, niemal biegiem przekroczyła most i odetchnęła z ulgą. Sylwetki Koyumi już nie widziała, a tuż za sobą zobaczyła beznamietną twarz Miny, która ślepo podążała za nią.

Masako, pozbawiona teraz przewodnika, nie wiedziała, jak się idzie do siódmego, ostatniego mostu. Domyślała się jedynie, że jeśli pójdzie prosto, nie zbacząc z drogi, musi w końcu wyjść na most, który biegnie równoległe do mostu Akatsuki. Przejdzie go i jej modlitwa zostanie nareszcie wysłuchana.

Kilka kropel deszczu znowu spadło na policzki Masako. Wzdłuż drogi na obrzeżach kwartału Odawara ciągnęły się magazyny hurtowni, widok na rzekę zasłaniały baraki pracownicze. Było bardzo ciemno. W oddali jasno świeciły uliczne lampy, co powodowało, że mrok w najbliższym otoczeniu wydawał się jeszcze głębszy. Masako, zazwyczaj odważna w sytuacji zagrożenia, raczej nie bała się chodzić późną nocą, tym bardziej teraz, kiedy miała przed sobą ważny cel, który zdecydowana była osiągnąć. Tylko im dłużej szła, tym trudniej znosiła tupot chodaków idącej krok w krok za nią Miny. Odgłos kroków dziewczyny miał nawet w sobie coś sympatycznie niedbałego, ale ją, która szła drobnymi kroczkami, nieomal jak szyderstwo dotykał pewny siebie, zdecydowany chód Miny.

Zanim Kanao się wycofała, obecność Miny budziła w niej tylko coś w rodzaju pogardy, ale później zaczęła jej w jakiś trudny do opisania sposób ciążyć, a teraz, gdy zostały tylko we dwie, pytanie, o co może się modlić ta

prostaczka z lasu, nie dawało jej spokoju. Źle się z tym czuła, że ta silna, niezdradzająca uczuć kobieta kroczy za nią ze swoją nieprzeniknioną tajemnicą. A raczej nie tyle „źle się czuła”, co odczuwała coraz silniejszy niepokój, który na koniec urósł do czegoś bliskiego przerażeniu.

Masako nie zdawała sobie sprawy, że nieznamość pragnień innych ludzi może być tak irytująca. Zupełnie inaczej było, kiedy szły z nią Kanako i Koyumi, których życzenia widziała wyraźnie jak na dłoni. Teraz czuła się tak, jakby podążała za nią bezkształtna czarna bryła.

Te refleksje doprowadziły ją do takiego stanu, że zdecydowała z całą mocą skupić się, na nowo rozniecić w sobie własne pragnienie i chronić je ze wszystkich sił. Odtworzyć sobie twarz R. Przywołać w pamięci jego głos. Poczucie ten młodzieńczy, świeży oddech. Ale niestety. Wyobrażenie natychmiast pierzchało, rozsypywało się na kawałki i w żaden sposób nie chciało z powrotem złożyć się w całość.

Musi jak najprędzej przejść przez siódmy most. Musi się pośpieszyć i o niczym innym nie myśleć.

Poświata, którą widziała z oddali, najwyraźniej pochodziła od latarń na początku mostu. Wiedziała już, że zbliża się do szerokiej arterii, wszystko wskazywało, że most jest niedaleko.

W świetle jednej z widocznych wcześniej latarń widać było wyraźnie dziurki wyżłobione przez krople deszczu w piaskownicy na skwerku położonym u wejścia na most. Rzeczywiście były na moście.

Na betonowym słupku, kształtem przypominającym pudełko *shamisenu*, widniał napis: „Most Bizen”. Na szczycie słupka paliło się niktłe światelko. Na prawo, po przeciwnej stronie rzeki, widziała wznoszący się na tle nocnego nieba

okrągły zielony dach świątyni Tsukiji Honganji. Będzie teraz musiała uważać, żeby nie wracać tą samą drogą. Już wie, przejdzie ostatni most, wyjdzie na Tsukiji, minie po kolei dwa teatry – Tōgeki oraz Shimbashi Embujō, i będzie w domu.

Na początku mostu złożyła z poczuciem ulgi ręce i pogrzyżyła się w głębokiej, żarliwej modlitwie, jak gdyby chciała nadrobić wcześniejszy pośpiech i brak skupienia. Mimo to kątem oka zauważyła z rozdrażnieniem, że Mina, jak zawsze naśladowując ją, złożyła z czcią grube dłonie. Modlitewne skupienie gdzieś przyszło, a zamiast niego w duszy Masako wezbrały złość i wzburzenie. „Po co ja ją w ogóle tu brałam? Jak ona mi działa na nerwy! I na co mi to było?”

W tym momencie usłyszała skierowany do siebie męski głos. Zdrętwiała. Obok stał policjant. Był młody, miał surową minę, jego głos brzmiał ostro i nieprzyjemnie.

– Co pani tu robi? O tej porze, w takim miejscu?

Masako nie mogła nic odpowiedzieć. Wiedziała doskonale: otworzy usta i wszystko na próżno. Z tonu, jakim pytał policjant, ostrego brzmienia jego głosu od razu zrozumiała, że na widok młodej dziewczyny modlącej się na moście w środku nocy uznał, że chce popełnić samobójstwo, skacząc do wody. Ale jej nie wolno się odezwać. Musi dać jakoś Minie do zrozumienia, że powinna ją wyręczyć i udzielić wyjaśnienia. Tyle powinno w końcu do niej dotrzeć. Szarpała ją za sukienkę, próbując zwrócić jej uwagę.

Może jest tępa, ale, na miłość boską, chyba nie do tego stopnia! W końcu przecież zrozumie – myślała. Usta Miny były jednak uparcie zamknięte, aż Masako, ku swojej rozpaczycy, pojęła. Albo dlatego, że postanowiła wiernie trzy-

mać się poleceń, które sama jej wydała, albo też dla ratowania swoich własnych marzeń Mina była zdecydowana zachować milczenie.

– Proszę odpowiedzieć! Czekam na odpowiedź! – głos policjanta stał się natarczywy.

Masako nagle podjęła decyzję. Niech się dzieje, co chce, ale ona musi jak najszybciej znaleźć się po drugiej stronie mostu i dopiero tam wszystko wyjaśni. Wyrwała rękę i ruszyła biegiem przed siebie. Most Bizen, wraz z zielonymi ochronnymi balustradami po bokach, wygina się pośrodku lekkim łukiem w górę. Gdy zaczęła biec, Masako zauważyła, że Mina również wbiega na most.

Mniej więcej w połowie mostu policjant dogonił Masako i złapał ją za rękę.

– Co? Chcesz uciekać, tak?

– Ja? Uciekać? Jak pan może?! Proszę puścić moją rękę, to boli! – krzyknęła Masako bez zastanowienia. Wiedziała – jej marzenia legły w gruzach. Rzuciła rozpaczliwe spojrzenie na koniec mostu. Mina, dotarwszy bez przeszkód do celu, odmawiała czternastą, ostatnią modlitwę.

Po powrocie do domu Masako, zanosząc się od płaczu, poskarżyła się matce. Ta, nie bardzo wiedząc, o co chodzi, zbeształa Minę.

– A w ogóle to o coś ty się właściwie modliła? – spytała. Ale zamiast odpowiedzi Mina uśmiechnęła się tylko znacząco.

Minęło kilka dni. Masako, ochłonąwszy nieco, droczyła się z Miną, zadając jej, po raz nie wiadomo który, to samo pytanie.

– O co się modliłaś? No już dobrze, powiedz wreszcie.

Na twarz Miny wypłynął tylko blady, wymijający uśmiezek.

– Wiesz, jesteś wstrętna! Naprawdę, Mino. Nie znoszę cię!

Śmiejąc się, Masako wbiła ostre, umalowane paznokcie w okrągłe ramię Mino. Paznokcie trafiły na opór sprężystego, nabitego ciała. W opuszkach Masako czuła dręczący niepokój – ani rusz nie wiedziała, co zrobić z palcami.

Miłość Wielkiego Kapłana świątyni Shiga

Zdaję sobie sprawę, że przystępując do spisywania poniższej historii, narażam się na uzasadnione zarzuty, ponieważ czynię to bez należytego przygotowania. Jedynym punktem oparcia była dla mnie wzmianka, właściwie na wpół legendarna opowieść, przytoczona w trzydziestym siódmym rozdziale *Taiheiki* (Kroniki Wielkiego Pokoju)*. Jak wiadomo, zestawia się tam bardzo skrótowo epizody z życia staroindyjskiego pustelnika Ekaśrngi, czyli „Jednorozca”**, uważanego za wcześniejsze wcielenie Buddy, z opisem miłości naszego rodzimego Kapłana ze świątyni Shiga.

* *Taiheiki* – epos wojenny *gunki-monogatari*, złożony z 40 rozdziałów; autorstwo przypisuje się mnichowi Kojimie (Kojima-hōshi). Powstał między 1368 a 1370, spisywany na przemian w jęz. chińskim i japońskim.

** Jap. *Ikōkaku-sennin*. Postać z buddyjskiej mitologii. Zrodzony z sarny, wyrósł na mężczyznę, lecz z głowy wyrastał mu róg. Dzięki medytacji posiadał nadprzyrodzoną moc, którą później wykorzystywał do niecznych celów. Kiedyś poślizgnął się na mokrej drodze, rozjuszony, pojmał smoki odpowiedzialne za deszcz i uwięził je w pieczarze. Król wysłał do niego piękną kobietę o imieniu Śanta (jap. Senta) z zadaniem, aby go uwiodła. Kiedy Jednorozec uległ pokusie, utracił nadzwyczajną moc. Smoki mogły opuścić pieczarę i deszcz mógł znowu spaść. Według tej samej legendy owa piękna kobieta to wcześniejsze wcielenie Yaśodhara (jap. Yashudara), żony Buddy.

Szczerze mówiąc, w historii tej bardziej niż opis niezwykłej miłości zafrapował mnie prosty mechanizm psychologiczny, jaki się tam ujawnia. Chodzi mianowicie o konflikt między miłością i wiarą. Wątek ten, tak bardzo obecny jako fabularna osnowa w europejskiej tradycji, w Japonii jest rzadko podejmowany. W sferze miłości mamy odwołanie do transcendencji. W przypadku Wielkiego Kapłana, a także kobiety, którą pokochał, dochodzi do zderzenia pomiędzy światem doczesnym a królestwem przyszłym. Mówiąc nieco patetycznie, dwojgu naszym bohaterom grozi, że obraz świata, który wydawał im się oczywisty, rozpadnie się. Nasza historia ma swój początek w tym krytycznym punkcie. Dodam dla ścisłości, że ruch duchowy, znany jako „Wiara w Czystą Ziemię”, rozpowszechniony w połowie jedenastego wieku, był nie tyle wiarą, ile tęsknotą za idealnym światem.

Jak powiada mnich Eshin w *Wyborze zasadniczych nauk na temat narodzin*^{*}, Dziesięć Radości to ledwie kropla w morzu w porównaniu z tym, co stanie się naszym udziałem w Czystej Ziemi. Jej powierzchnia pokryta jest szmaragdami; wzdłuż dróg, które ją przecinają, ciągną się złote sznury. Ta powierzchnia, jak okiem sięgnąć, jest płaska, nie dzielą jej żadne granice. W każdym ze świętych przybytków jest pięć miliardów komnat i wież, zdobionych złotem, srebrem, lazurytem, kryształami, koralem, agatami i perłami. Inkrustowane klejnotami posadzki pokryte są

^{*} W oryg. *Ōjō-yōshū* (Podstawowy wybór dotyczący narodzin) [w Czystej Ziemi Buddy Amidy]. Dzieło Genshina (942–1017), mnicha buddyjskiej szkoły Tendai, popularnie zwanego Eshinem (od nazwy świątyni na górze Hiei w Kioto). Uważany za jednego z pierwszych propagatorów myśli szkoły Czystej Ziemi w Japonii. Wedle nauk tej szkoły celem, do którego ludzie powinni dążyć, jest wyzwolenie i ponowne odrodzenie w Czystej Ziemi (jap. *Jōdo*). Dzieło przyniosło mu sławę w Japonii i w Chinach. Por. też przypis na s. 74.

rzadkimi tkaninami. Wewnątrz świątyń i ponad wieżami nieprzebrane rzesze aniołów nieustannie grają świętą muzykę i śpiewają hymny na chwałę Buddy Tathagaty*. W ogrodach wokół komnat, wież i krużganków znajdują się złote i szmaragdowe stawy, w których wierni mogą dokonywać oczyszczenia. Do złotych stawów prowadzą plaże ze srebrnego piasku, a do stawów szmaragdowych – z piasku kryształowego. Powierzchnię stawów porastają lotosy, które mieniają się przeróżnymi kolorami, a kiedy podmuch wiatru marszczy powierzchnię wody, wielobarwne światełka przecinają się we wszystkich kierunkach. Dniem i nocą powietrze wypełnia krzyk dzikich kaczek, dzikich gęsi, kaczek mandarynek, żurawi, pawi, papug i rajskich ptaków *kalavinka* o twarzach pięknych kobiet i niebiańskich głosach. Wszystkie one, a także niezliczone roje ptaków mieniających się klejnotami, wysławiają głosem pełnym słodczy chwałę Buddy. (Wierzymy, że brzmiały słodko, chociaż przy takim nagromadzeniu wszelakiego ptactwa musiał tam panować niezły jazgot).

Na brzegach stawów i rzek rosną gaje świętych drogocennych drzew. Ich pnie są ze złota, gałęzie ze srebra, gdy owocują – obsypane są koralami, a ich uroda odbija się w otaczających wodach. W powietrzu unoszą się zdobione kamieniami szlachetnymi kordonki, na których zwieszono są niezliczone dzwoneczki – dzwoniąc, głoszą nieprzerwanie naukę o podstawowych czynnikach bytu. Zaczarowane instrumenty muzyczne grają same, ich dźwięk rozbrzmiewa wysoko na jasnym niebie.

Jeśli ktoś ma ochotę coś zjeść, natychmiast pojawia się przed nim stół inkrustowany siedmioma klejnotami, na

* Jap. *Nyorai* – jeden z epitetów, jakim określa się Buddę.

jego gładkiej, błyszczącej powierzchni stoją misy zdobione również siedmioma klejnotami i wypełnione po brzegi najbardziej wyszukаныmi smakołykami. Nie ma potrzeby częstować się nimi. Wystarczy spojrzeć na ich apetyczne barwy i wciągnąć w nozdrza ich cudowny aromat, aby poczuć, że głód został zaspokojony, organizm posilony, a przy tym pozostać duchowo i fizycznie czystym. Kiedy tylko kończy się taki posiłek bez jedzenia, czarki wraz ze stołem zostają delikatnie zdmuchnięte i w jednej chwili znikają.

Podobnie nasze ciała zostają natychmiast okryte, nie trzeba więc szyć odzieży, prać, farbować ani naprawiać. Lampy także są niepotrzebne, ponieważ wszystko wokół rozświetla niebiańskie światło. Co więcej, w Czystej Ziemi przez cały rok panuje umiarkowana temperatura, nie trzeba zatem ogrzewać się ani chłodzić. Powietrze jest nasycone stu tysiącami aromatów, z góry nieprzerwanie sypią się płatki lotosu.

We fragmencie poświęconym Bramie Kontrolnej mowa jest o tym, że niedoświadczeni na drodze medytacji nie wejdą do Czystej Ziemi. Muszą najpierw wyteńczyć wszystkie duchowe siły, skupić się na tym, aby wyzwolić w sobie i maksymalnie rozwinąć zdolność „wyobraźni zewnętrznej”. Siła wyobraźni ułatwi wyzwolenie od więzów doczesności. Kto posiada potężną, niczym nieograniczoną wyobraźnię, będzie mógł skupić się na jednym kwiecie lotosu i, traktując go jako punkt wyjścia, ogarnąć bezkresne horyzonty.

Kwiat lotosu; poddany wnikliwym obserwacjom mikroskopowym, a następnie astronomicznej projekcji, może służyć za podstawę ogólnej teorii wszechświata oraz za środek, który doprowadzi nas do poznania. Musimy najpierw uświadomić sobie, że każdy z płatków ma osiemdziesiąt

cztery tysiące żyłek, a każda żyłka emituje osiemdziesiąt cztery tysiące światła. Co więcej, najmniejszy z kwiatów ma średnicę dwustu pięćdziesięciu *jodżan*. Przyjmuje się, że *jodżana* to ponad sto dwadzieścia kilometrów, mowa więc o lotosie o średnicy trzydziestu tysięcy kilometrów.

Jeden taki kwiat ma osiemdziesiąt cztery tysiące płatków, a między każdą parą płatków jest milion klejnotów, z których każdy wysyła tysiąc światła. Z każdego pięknie zdobionego kielicha kwiatu wznoszą się cztery wysadzone klejnotami kolumny, a każda z nich jest sto miliardów razy wyższa od Góry Sumeru, stojącej pośrodku buddyjskiego wszechświata. Z kolumn zwisają ogromne wielobarwne zasłony, a każdą zdobi po pięć miliardów szlachetnych kamieni, świecących osiemdziesięcioma czterema tysiącami światła, każde z nich składa się z osiemdziesięciu czterech tysięcy różnych barw złota, a każda barwa mieni się nieustannie mnóstwem odcieni.

Skupianie się na tego rodzaju wyobrażeniach znane jest jako „kontemplacja Kwiatu Lotosu, na którym spoczywa Budda”, a idealny świat, który będzie tłem dla naszej historii o miłości, to świat takiej właśnie skali.

Wielki Kapłan świątyni Shiga był człowiekiem najwyższych cnót. Jego brwi były białe, poruszał się z wielkim trudem, opierając zniedołężniałe ciało na lasce.

W oczach tego uczonego ascety świat doczesny wydawał się niczym więcej jak górą śmieci. Lata minęły, odkąd zerwał z tym światem, a mała sosenka, którą własnymi rękami zasadził, kiedy przeniósł się do swojej pustelni, stała się ogromnym drzewem, a jego konary majestatycznie kołysały się na wietrze. Mnich, który tak długo już żył w od-

daleniu od świata marności, mógł ze spokojem w sercu myśleć o tym, co go czeka.

Kiedy patrzył na wielkich tego świata, uśmiechał się tylko z politowaniem, dziwiąc się, jak mogą znajdować radość w pozorach. Gdy zobaczył piękną kobietę, litował się nad tymi, którzy, trwając w świecie ułudy, ulegali cielesnym słabościom.

Dla tego, kto całkowicie obojętnie na bodźce rządzące doczesnością, świat zastyga w bezruchu. W oczach Wielkiego Kapłana świat zatrzymał się i trwał nieruchomy – przybrał dla niego postać obrazka narysowanego na kartce papieru, mapy obcej krainy. Kto osiąga stan umysłu wolny od pokus, ten zapomina o lęku. Toteż Kapłan nie potrafił już zrozumieć, dlaczego miałyby istnieć Piekło. Uznał za oczywiste, że ten świat nie ma już nad nim żadnej władzy. A ponieważ nie było w nim nawet odrobiny zadufania, nie przyszłoby mu nawet na myśl, że jest to owoc jego osobistych, niezwykłych cnót.

Co się tyczy ciała, można śmiało rzec, że był już niemal uwolniony od swojej cielesnej powłoki. Kiedy zdarzało mu się ją zobaczyć, na przykład w kąpieli, radował go widok niepokojąco wystających kości, okrytych starczą, pomarszczoną skórą. Czuł, że teraz, gdy ciało osiągnęło tę postać, może się z nim pogodzić, traktować je, jak gdyby należało do kogoś innego. Dla takiego ciała stosowniejsze byłoby pożywienie z Czystej Ziemi niż ziemskie jadło czy napitek.

Każdej nocy w snach przebywał w Czystej Ziemi, innych snów już nie miewał. Kiedy się budził, uświadamiał sobie tylko ze smutkiem, że nadal pozostaje we władaniu smutnego złudzenia, jakim jest doczesny świat.

Na wiosnę, w porze oglądania kwiatów, ze stolicy przy-

bywało wiele znakomitości, aby odwiedzić wieś Shiga. Kapłanowi nie przeszkadzało to ani trochę, ponieważ dawno już wyzwolił się ze stanu, w którym odgłosy tego świata zakłócałyby spokój. Któregoś wiosennego poranka opuścił swoją pustelnię i, podpierając się laską, udał się nad jezioro. Na jasne popołudniowe światło zaczynały kłaść się pierwsze szare cienie zmierzchu. Powierzchni wody nie zakłócała nawet najmniejsza fala. Kapłan stał samotnie na brzegu, oddając się kontemplacji wody*.

I wtedy zaprzężony w woły powóz, najwyraźniej należący do osoby o wysokiej pozycji, okrążywszy jezioro, zatrzymał się niedaleko miejsca, w którym stał Kapłan. Powóz należał do zamieszkałej w stołecznej dzielnicy Kyōgo-ku damy dworu, której przysługiwał zaszczytny tytuł Wielkiej Cesarskiej Nałożnicy. Zapragnęła nacieszyć oczy wiosennym krajobrazem okolic Shiga, a teraz, w drodze powrotnej, kazała zatrzymać powóz i uniosła zasłonę, żeby rzucić pożegnalne spojrzenie na jezioro.

Wielki Kapłan bezwiednie spojrział w jej kierunku i w tej samej chwili zachwyił się urodą kobiety. Jego oczy spotkały się z jej oczyma, a ponieważ ich nie odrywał, ona także nie zdobyła się na to, by je odwrócić. Nie była tak frywolna, żeby pozwalać mężczyznom patrzeć na siebie nieskromnie, czuła jednak, że wzruszenia, które powodowały srogim, starym ascetą, nie mogą być pospolite.

Po chwili dama gwałtownie spuściła zasłonę i powóz ruszył w drogę. Ponieważ jego trasa wiodła przez przełęcz Shiga, toczył się powoli gościńcem, który prowadził do stolicy. Zapadła już noc, gdy powóz wjechał do miasta drogą biegnącą w kierunku Srebrnego Pawilonu. Aż do chwili,

* Jap. *Suisō-kan*; według *Sutry Buddy Nieskończonego Żywota* (jap. *Muryōju-kyō*) druga z dwunastu zalecanych form kontemplacji.

gdy powóz zamienił się w kropkę wielkości główki od szpilki i zniknął pośród odległych drzew, Wielki Kapłan stał w miejscu znieruchomiały.

Doraźność tego świata niespodziewanie wzięła okrutny odwet na Kapłanie. Coś, co wydawało mu się niczym niezagrożone, legło w gruzach.

Wrócił do świątyni, stanął przed głównym wizerunkiem Buddy i próbował odmawiać mantrę na chwałę miłościwego Amidy. Jednak nieczyste myśli oplotły go mętnym cieniem i nie dawały spokoju. Przecież piękno kobiety, tłumaczył sobie, to tylko ulotne przywidzenie, przemijające, obleczone w ciało zjawisko, które niebawem ulegnie zniszczeniu. Lecz choć bronił się, jak mógł, nieopisane piękno, jakie obezwładniło go nad jeziorem, wciąż uciskało jego serce nieznaną siłą, której źródło ginęło w bezkresnej dali. Wielki Kapłan nie był już młodzikiem, aby wziąć to nowe uczucie za zwyczajny figiel, który spletało mu ciało. Wiedział, że ludzkie ciało tak nagle się nie zmienia. Miał raczej wrażenie, jak gdyby nagle zanurzony został w tajemniczej truciźnie, która w jednej chwili odmieniła mu duszę.

Wielki Kapłan nigdy nie złamał ślubów czystości. Wewnętrzna walka z pragnieniami ciała, jaką toczył w młodości, utwierdziła go w przekonaniu, że kobiety są istotami wyłącznie cielesnymi. Dla niego jedynym realnym ciałem było ciało wyobrażone. Ponieważ nie traktował go jako bytu fizycznego, lecz jako idealną abstrakcję, po to, żeby je sobie podporządkować, musiał oprzeć się na sile ducha. Dzieło to zostało uwieńczone powodzeniem, którego nikt, kto go znał, nie śmiał podać w wątpliwość.

A jednak twarz kobiety, która uniosła zasłonę i spojrzała na jezioro, miała w sobie tyle harmonii i świetlistości,

że trudno byłoby uznać ją za byt cielesny i Kapłan nie znajdował właściwego słowa, by ją określić. Pomyślał tylko, że coś, co długo czaiło się w ukryciu, na koniec ujawniło się właśnie po to, aby nastąpiła ta nadzwyczajna chwila. Tym czymś był doczesny świat, który, dotąd nieruchomy, nagle zszedł z obrazka, ożył i zaczął się poruszać.

To tak jak gdyby stał sobie przy gościńcu prowadzącym do stolicy i, zakrywając ze wszystkich sił uszy, przyglądał się, jak wielkie, zaprzężone w woły powozy ścigają się ze sobą. I wystarczyło odsłonić uszy, żeby z zewnątrz dopadł go nagle szum otaczającego świata.

Zostać wystawionym na świat przemijających zjawisk, pozwolić na to, aby ich szum rozbrzmiewał w uszach, oznaczało wstąpienie w obręb doczesności. Dla kogoś, kto jak Wielki Kapłan zerwał wszystkie związki z otaczającym światem, oznaczało to znalezienie się na nowo w stanie zależności.

Nawet podczas czytania sutr raz po raz wyrwały mu się z piersi ciężkie, niedające się stłumić westchnienia. Licząc na to, że przyroda przyniesie mu ulgę, spoglądał przez okienko swojej chatki na góry wznoszące się w oddali pod wieczornym niebem. Jego myśli jednak rwały się i odpływały jak strzępy chmur. Próbował skupić wzrok na księżycu, lecz myśli znowu się rozpraszały. Po raz kolejny stawał w świątyni przed głównym wizerunkiem Buddy w nadziei, że znajdzie ukojenie, lecz obraz ulegał zniekształceniu i przybierał rysy kobiety z powozu. Świat ograniczył mu się do małego kręgu: po jednej stronie był Wielki Kapłan, po przeciwległej – Wielka Cesarska Nałożnica.

Wielka Cesarska Nałożnica z Kyōgoku szybko zapomniała o starym Kapłanie, którego dostrzegła, kiedy przyglądał się jej nad jeziorem Shiga. Pogłoski, które po pew-

nym czasie doszły jej uszu, przypomnially jej jednak o tym zdarzeniu. Traf chciał, że jeden z wieśniaków zauważył Wielkiego Kapłana, gdy stał nieruchomo i odprowadzał wzrokiem powóz damy, dopóki nie znikł w oddali. Wspomniał o tym jednemu z dworzan, który przybył do Shiga, by podziwiać kwitnące drzewa, dodając, że od tamtej pory Kapłan zachowuje się, jakby postradał zmysły. Cesarska Nałożnica udawała wprawdzie, że puszcza plotki mimo uszu, lecz cnoty świątobliwego męża były powszechnie znane w stolicy i pogłoski te musiały schlebiać jej próżności.

Znużyła ją już miłość, jaką darzyli ją mężczyźni z otaczającego świata. Była w pełni świadoma swojej urody i – jak to często bywa u kogoś takiego jak ona – pociągała ją każda siła, dla której rzeczy takie, jak uroda czy wysoka pozycja, nie przedstawiają wartości. Stąd też cechowała ją głęboka religijność. Znudzona do głębi realnym światem, uwierzyła w Czystą Ziemię. Buddyjska nauka Czystej Ziemi, która odrzucała wszelkie piękno i wspaniałości przemijającego świata, nazywając go Ziemią Skalaną, musiała szczególnie mocno przemawiać do kogoś tak całkowicie pozbawionego iluzji wobec blichtru życia dworskiego jak Cesarska Nałożnica. Ten blichtr był namacalnym dowodem, że nadszedł Schyłek Prawa i zbliża się wiek degeneracji, że dobiega kresu doczesny świat*.

* Mnich Hōnen (1133–1212), odrzucając wszelkie rozbudowane formy nauk i praktyk buddyjskich, założył w 1175 r. niezależną szkołę buddyzmu Czystej Ziemi. W myśl jej doktryny zalecał odmawianie mantry na chwałę Buddy Amidy (tzw. *nembutsu*) jako jedyną praktykę odpowiednią dla czasów, w jakich przyszło żyć jego współczesnym. Shinran (1173–1263), uczeń Hōnena i założyciel kolejnej gałęzi buddyzmu zwanej Prawdziwą Szkołą Czystej Ziemi, odwoływał się do obietnicy złożonej przez Buddę, że zbawi ludzkość, jako do genezy tego nurtu buddyzmu. Owo zbawienie miało nastąpić w czasach powszechnego zamętu, degeneracji, duchowego upadku i bezwzględnego egoizmu. Taka epoka określana jest jako „Kres Prawa” (jap. *Mappō*).

Ludzie dworu, dla których najważniejszą pasją była miłość, otaczali Wielką Cesarską Nałożnicę, uosobienie dworskiej elegancji, najwyższą czcią. A to, że nie ofiarowała miłości żadnemu mężczyźnie, zwiększało jeszcze szacunek, jakim ją darzono. Nikt nie sądził, że darzyła Cesarza prawdziwą miłością. Marzeniem Cesarskiej Nałożnicy było uczucie, które graniczyło z tym, co niemożliwe.

Cnoty Wielkiego Kapłana świątyni Shiga były powszechnie znane i cała bez wyjątku stolica wiedziała, że wiekowy duchowny dawno porzucił doczesny świat. Jeżeli prawdą były pogłoski, jakoby, urzeczony powabem Cesarskiej Nałożnicy, poświęcił dla niej życie przyszłe, oznaczałoby to, że oddał rozkosze Czystej Ziemi, które były w zasięgu ręki. Nie może być nad to większego poświęcenia, nie ma większego daru.

Wielka Cesarska Nałożnica była całkowicie obojętna na zaloty dworskich amantów i przystojnych arystokratów, których spotykała na swojej drodze. Fizyczne walory mężczyzn znaczyły dla niej już tyle, co nic. Zależało jej na jednym tylko – aby spotkać kogoś, kto ofiaruje jej najpotężniejszą, najgłębszą miłość. Kobieta owładnięta taką ambicją może być doprawdy istotą budzącą lęk. Gdyby była zwyczajną kurtyzaną, zadowoliliby się zapewne ziemskimi dobrami. Wielka Cesarska Nałożnica jednak doświadczyła już wszystkiego, co mogą dać ziemskie dobra. Człowiek, na którego czekała, musi ofiarować jej bogactwa nie z tego świata.

Wiść o opętaniu Wielkiego Kapłana rozeszła się po całym dworze. Ktoś, w na wpół żartobliwym tonie, opowiedział o tym samemu Cesarzowi. Wielka Nałożnica, która bynajmniej nie była zachwycona gorszącymi plotkami, zachowywała pełną obojętności wyniosłość. Dobrze wie-

działa, że z dwóch powodów ludzie na dworze pozwalają sobie swobodnie żartować o sprawie, która normalnie byłaby tematem tabu. Po pierwsze, rozprawiając o miłości Wielkiego Kapłana, oddawali hołd urodzie kobiety, która zdolna była skłonić nawet świątobliwego męża, słynącego z największych cnót, do zaniechania medytacji. Po drugie, wszyscy mogli być pewni, że miłość starca do damy dworu jej pozycji nigdy nie może zostać odwzajemniona.

Wielka Cesarska Nałożnica przywołała w pamięci twarz starego Kapłana, którego ujrzała przez okienko powozu. W niczym nie przypominał mężczyzn, którzy ją kiedyś kochali. Poruszało ją, że miłość rozkwita w sercu człowieka, który nie może nawet marzyć o wzajemności. Dama przypominała sobie zwroty takie, jak „miłości ma, wzgardzona i bez nadziei”, po jakie sięgali pałacowi wierszokleci, ilekroć próbowali poruszyć serca obojętnych wybranek swego serca. W zestawieniu z beznadziejnym położeniem, w jakim znalazł się teraz Wielki Kapłan, próbki twórczości zadowolonych z siebie dworskich adoratorów wydały się jej w najlepszym razie zabawnym spektaklem.

Wbrew rozpowszechnionemu przekonaniu Wielka Cesarska Nałożnica była – czytelnik już to pojął – nie tyle uosobieniem dworskiej elegancji, co raczej kimś, kto prawdziwy smak życia znajduje w świadomości, że jest kochany. Niezależnie od wysokiej pozycji na dworze, była przede wszystkim kobietą. Wpływy, panowanie, stanowiska nic dla niej nie znaczyły, jeżeli nie miała poczucia, że jest przedmiotem adoracji. Mężczyźni, którzy ją otaczali, oddawali się walkom o wpływy i władzę, jej marzeniem było podbijać świat innymi, kobiecymi sposobami. Znała wiele kobiet, które, wycofując się z publicznego życia, ob-

cięły włosy i wstąpiły do zakonu. Wyśmiewała się z nich. Bo nawet jeśli kobieta mówi o „porzucaniu świata”, jest prawie niemożliwe, aby zrezygnowała ze wszystkiego, co posiada. Tylko mężczyźni są naprawdę zdolni do poświęcenia wszystkiego, co posiadają.

Stary Kapłan znad jeziora na pewnym etapie swego życia wyrzekł się Świata Marności wraz z wszelkimi jego przyjemnościami. W oczach Cesarskiej Nałożnicy był w znacznie większym stopniu mężczyzną niż wszyscy znani jej arystokraci. I tak samo jak niegdyś wyrzekł się Świata Marności, teraz, dla niej, porzuci również życie przyszłe.

Cesarska Nałożnica, uzbrojona w głęboką wiarę, przypomniała sobie święty kwiat lotosu. Wyobraziła sobie ogromny kwiat o średnicy dwustu pięćdziesięciu *jodzan*. Znacznie bardziej przypadła jej do gustu ten monstrualnych rozmiarów kwiat niż owe niepozorne, śmieszne lotosiki unoszące się wokoło na stołecznych stawach. Szum wiatru, który nocą wiał pośród drzew w jej ogrodzie, brzmiał w jej uszach mdło w porównaniu z subtelną muzyką, jaka musi rozbrzmiewać w Czystej Ziemi, kiedy wiatr hula w gajach świętych drzew z drogocennych klejnotów. Kiedy myślała o niezwykłych instrumentach wiszących na niebie i grających bez dotyku ludzkiej ręki, rozbrzmiewające w pałacowych komnatach dźwięki lutni i bambusowych piszczałek wydawały się jej kiepską imitacją.

Wielki Kapłan z Shiga toczył walkę. Kiedy w młodości walczył z własnym ciałem, otuchy dodawała mu nadzieja na przyszłe życie. Rozpaczliwej walce, jaką prowadził teraz, w podeszłym wieku, towarzyszyło poczucie nieodwracalnej straty.

Niemożliwość spełnienia miłości, jaką darzył Wielką Cesarską Nałożnicę, była dla niego jasna niczym słońce na niebie. Miał zarazem pełną świadomość, że jak długo pozostawać będzie w więzach tej miłości, droga do Czystej Ziemi jest dla niego zamknięta. Wielki Kapłan, który jeszcze do niedawna żył w stanie absolutnej wolności umysłu, w jednej chwili pogrążył się w mroku, jego przyszłość pochłonęła ciemność. Być może odwagi, która pomogła mu wyjść zwycięsko z młodzieńczych opresji, dodawała mu niegdyś pewność siebie płynąca z tego, że potrafił dobrowolnie wyrzec się wszystkiego, co mógł mieć na każde życzenie.

Wielkim Kapłanem owładnął strach. Przed nim była ciemność doczesnego świata i nie wiedział, co czyha o krok dalej. A jeszcze tak niedawno, zanim wytworny powóz zajechał nad jezioro Shiga, wierzył, że czeka go już tylko osiągnięcie nirwany, stanu doskonałego i ostatecznego wyzwolenia.

Próbował Medytacji Lotosu-Siedziska Buddy, oddawał się Medytacji Całościowej i Cząstkowej, ale wszystko na próżno. Ilekroć próbował się skoncentrować, jego oczom ukazywał się przepiękny wizerunek Nałożnicy. Kontemplacja Wody również na nic się nie zdała, ponieważ spod drobnych fal niezmiennie wyłaniała się jej cudowna twarz i połykiwała na powierzchni jeziora.

Taka była natura opętania i Kapłan zrozumiał, że koncentracja przynosi więcej szkody niż pożytku, wobec czego próbował rozproszyć myśli, zajmując je obojętnymi sprawami. Było dla niego zaskoczeniem, że duchowa koncentracja paradoksalnie może zaprowadzić jeszcze głębiej w świat ułudy. Wkrótce jednak zrozumiał, że również metoda odwrotna, której próbował dla rozproszenia myśli,

oznacza *de facto* przyjmowanie owych złudzeń za rzeczywistość. W miarę jak jego duch zaczął ulegać, Kapłan uznał, że zamiast kontynuować daremną walkę, zrobi lepiej, jeżeli zaniecha metody ucieczki i świadomie skupi myśli na postaci Wielkiej Cesarskiej Nałożnicy.

Wielki Kapłan znalazł nową radość w przyozdabianiu na wszystkie możliwe sposoby wizerunku damy, zupełnie tak, jak gdyby przystrajał posąg Buddy. W ten sposób przeobrażał przedmiot swojej miłości w byt coraz bardziej olśniewający, odległy i nierzeczywisty. Sam nie wiedział, dlaczego czerpał z tego tyle radości. Byłoby znacznie prostsze, gdyby Wielką Cesarską Nałożnicę wyobraził sobie jako zwyczajną kobietę z sąsiedztwa, z wszystkimi ludzkimi słabościami. W ten sposób łatwiej by mu było kształtować i upiększać ją wedle własnych wyobrażeń.

W miarę jak rozważał ten problem, dotarło do niego, że tym, co wyobrażał sobie w postaci Wielkiej Cesarskiej Nałożnicy, nie była ani istota z krwi i kości, ani wymyślona zjawia. Była to sama realność, sama istota rzeczy. Doszukiwanie się istoty rzeczy w postaci kobiety mogło wydawać się dziwne. Przyczyna była jednak zrozumiała. Nawet zakochując się, Wielki Kapłan z Shiga nie wyzbył się nawyku, który przyswoił sobie w ciągu długich lat kontemplacji, polegającego na docieraniu do istoty rzeczy drogą abstrahowania. Wielka Cesarska Nałożnica z Kyōgoku stała się teraz tożsama z wizją ogromnego, wielkości dwustu pięćdziesięciu *jodzan* kwiatu lotosu. Gdy unosiła się oparta na kwiatach lotosu, była wyższa od Góry Sumeru, większa niż cały wszechświat.

Im bardziej Wielki Kapłan przeobrażał swoją miłość w coś nieosiągalnego, tym cięższej zdrady dopuszczał się wobec Buddy. Bo nieosiągalność tej miłości skazywała go

na niemożność osiągnięcia wyzwolenia. Im bardziej beznadziejna wydawała mu się ta miłość, tym konkretniejszych kształtów nabierała jego iluzja, tym trudniej było mu uwolnić się od nieczystych myśli. Paradoksalnie, dopóki mogło się wydawać, że ta miłość ma jakieś, najmniejsze choćby szanse, był gotów poddać się z rezygnacją losowi. Teraz jednak miłość Kapłana zastygła, jak wielkie, nieruchome jezioro, z całą mocą skuwała powierzchnię ziemi i w ogóle nie zamierzała się cofać.

Pragnął jeszcze choć jeden raz zobaczyć twarz damy, a jednocześnie bał się, że jeżeli ją ujrzy, postać, która urosła w jego wyobrażeniu do rozmiarów lotosu-olbrzyma, rozsypie się w proch. Gdyby tak się stało, byłby ocalony. Tak, tym razem z pewnością osiągnie wyzwolenie. Myśl o tym zdjęła trwogą Wielkiego Kapłana.

Samotna miłość Kapłana powodowała, że stał się ofiarą dziwnych omamów, które wprawiały go w stan bliski halucynacji. Kiedy podjął wreszcie decyzję, że pójdzie na spotkanie z damą, poczuł się tak, jak gdyby został niemal uleczony z przypadłości, która trawiła jego ciało. W podnieceniu radość z podjętej decyzji wziął za ulgę, że wreszcie wyzwolił się z więzów miłości.

Widok starego, opartego na kijku Kapłana, stojącego w milczeniu w rogu ogrodu, nikogo ze świty Wielkiej Nałożnicy szczególnie nie dziwił. Asceci i żebracy nierzadko wystawali w ogrodach co okazalszych rezydencji stolicy, licząc na jałmużnę. Jedna z usługujących dam wspomniała jednak o tym swojej pani. Nałożnica, trochę dla zabawy, zerknęła przez zasłonę oddzielającą ją od ogrodu. W cieniu młodej, świeżej zieleni stał z pochyloną głową zgrzybiały stary Kapłan w czarnej, spłowiałej szacie. Przez dłuższą chwilę dama przyglądała się jego postaci. Kiedy dotarło

do niej ponad wszelką wątpliwość, że to ten sam Kapłan, którego ujrzała nad jeziorem Shiga, pobladła. Wahala się, jakie wydać dyspozycje, ale po chwili poleciła, aby w ogóle nie zwracać uwagi na obecność Kapłana w jej ogrodzie. Usługująca posłusznie zastosowała się do polecenia.

Niepokój wkraść się do serca Wielkiej Nałożnicy. Coś takiego zdarzyło się jej po raz pierwszy. Spotykała ludzi, którzy porzucili ten świat, ale nigdy jeszcze nie spotkała kogoś, kto porzucił życie przyszłe. Widok był złowróżbny i przejmował zgrozą. Radość, jaką mogła odczuwać na myśl o tym, że jest przedmiotem miłości Kapłana, w jednej chwili uleciała. Choćby nawet poświęcił dla niej przyszłe życie – uświadomiła sobie – ono nigdy nie stanie się jej udziałem.

Wielka Cesarska Nałożnica spuściła oczy, przyjrzała się swoim wytwornym szatom i pięknym dłoniom, po czym znowu przeniosła wzrok na żalostną sylwetkę Kapłana i jego nędzne odzienie. Było coś demonicznie pociągającego w tym, co ich łączyło. Jakże różnił się on teraz od postaci, jaką zapamiętała! Wielki Kapłan wyglądał jak ktoś, kto wyrwał się wprost z piekieł. Nic nie pozostało z człowieka promieniującego dostojeństwem, który zostawiał za sobą blask Czystej Ziemi. Znikła bez śladu jasność, którą miał w sobie i która przywoływała na myśl chwałę Czystej Ziemi. Mimo że był to bez wątpienia ten sam człowiek, który stał nad jeziorem Shiga, był zupełnie kimś innym.

Tak jak większość ludzi na dworze Wielka Cesarska Nałożnica kontrolowała swoje emocje, zwłaszcza kiedy spotykało ją coś, co mogło ją poruszyć. Teraz, widząc dowód miłości Wielkiego Kapłana, poczuła się zawiedziona na myśl, że idealna miłość, o której przez wszystkie lata marzyła, miała przyjąć tak pospolitą postać.

Kiedy Kapłan wreszcie dokuśtykał o lasce do stolicy, zapomniawszy niemal o tym, jak bardzo jest wyczerpany. Potajemnie zakradł się na teren rezydencji Wielkiej Cesarskiej Nałożnicy w Kyōgoku i patrzył przez ogród w stronę zabudowań. Gdzieś, za tą zasłoną, siedzi kobieta, którą kocha. Na myśl o tym uwolnił się od wszystkich fałszywych rojeń.

Teraz, gdy jego uwielbienie osiągnęło nieskalaną postać, przyszedł świat zaczął na nowo pociągać go swoimi urokami. Nigdy przedtem Czysta Ziemia nie przedstawiała mu się w tak czystym, tak chwytającym za serce kształcie. Jego tęsknota do niej stała się nieomal zmysłowa. Pozostało mu już jedynie dopełnić formalności – spotkać się z Wielką Nałożnicą, wyznać swą miłość i tym samym rozwiązać raz na zawsze nieczyste myśli, które wiązały go z tym światem i zagradzały mu drogę do Czystej Ziemi. To wszystko, co zostało mu do zrobienia.

Odczuwał ból, stojąc tak i opierając stare ciało na kij. Jasne promienie majowego słońca prześwitywały przez liście i padały na jego ogoloną głowę. Wielokrotnie czuł, że traci przytomność, i gdyby nie kij, z pewnością by się przewrócił. Gdyby tylko dama zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, i wezwała go do siebie, rzecz by się dopełniła. Pozostałoby już tylko czekać, aż otworzą się bramy Czystej Ziemi. Wielki Kapłan czekał. Bliski utraty przytomności, czekał, wspierając się na kij, jemu powierzając rosnące zmęczenie. Chmury przysłoniły wreszcie słońce. Zapadał zmrok. Wielka Cesarska Nałożnica nie posłała w jego kierunku ani słowa.

Nie mogła wiedzieć, że Kapłan, patrząc przez nią, widział Czystą Ziemię. Co jakiś czas zerknęła przez zasłonę w jego kierunku. Stał nieruchomo. Wieczne światło padało na ogród. On wciąż stał.

Wielką Cesarską Nałożnicę ogarnął strach. Pomyślała, że widzi przed sobą żywego ducha, uosobienie „przwiązania do złudnych wartości”. Ogarnęła ją trwoga, że pochłonie ją piekło. Za karę, że zwiódła Kapłana tak wielkich cnót, zamiast Czystej Ziemi czekały ją teraz piekielne otchłanie. Idealna miłość, o której marzyła, rozviała się. Być tak kochaną jak ona – już samo to równało się potępieniu. Jeśli on widział Czystą Ziemię, ona widziała poprzez niego przerażające czeluście piekieł.

Dama z Kyōgoku była jednak zbyt dumna, by poddać się lękom bez walki. Dodawała sobie otuchy, sięgając po sposoby, w jakie wyposażyła ją wrodzona bezwzględność. Wielki Kapłan – wmawiała sobie – wcześniej czy później musi się przecież załamać. Wystarczy poczekać, aż się przewróci. Spojrzała przez zasłonę, przekonana, że z pewnością leży już na ziemi. Na widok milczącej, stojącej nieruchomo postaci ogarnęło ją wzburzenie.

Zapadła noc. W świetle księżycy postać Kapłana przypominała wzgórek białych kości. Z przerażenia dama nie mogła zasnąć. Odwróciła się tyłem do ogrodu i nie wyglądała już przez zasłonę. Mimo to przez cały czas czuła na plecach przeszywający wzrok Wielkiego Kapłana.

Tak, to nie jest pospolita miłość, była tego pewna. Ze strachu przed nią, ze strachu przed piekłem Wielka Cesarzowa Nałożnica modliła się o Czystą Ziemię żarliwie jak nigdy dotąd. Modliła się o swą własną Czystą Ziemię, postanowiła w sercu bronić jej przed zagrożeniami. Była to inna Czysta Ziemia niż Czysta Ziemia Kapłana, nie miała też żadnego związku z jego miłością. Była pewna, że gdyby kiedykolwiek do niego przemówiła, wyśniona Kraina w jednej chwili uległaby zniszczeniu.

Przekonywała samą siebie, że miłość Kapłana w ogóle

jej nie dotyczy. Było to wszak uczucie jednostronne, które Kapłan wmówił sobie, toteż nie widziała najmniejszego powodu, dlaczego miałoby ono odebrać jej prawo do Czystej Ziemi. Nawet gdyby Wielki Kapłan miał paść i umrzeć, jej przecież – chciała w to wierzyć – nic stać się nie może. A jednak, w miarę jak zapadała noc i powietrze stawało się coraz chłodniejsze, zaczęła ją opuszczać pewność siebie.

Kapłan wciąż stał w ogrodzie. W świetle księżyca, przesłoniętym chmurami, jego postać przypominała uschnięte drzewo z dziwacznie powyginanymi konarami.

Ta postać, tam, na zewnątrz, nic nie ma ze mną wspólnego – przekonywała siebie w duchu dama. Za co mnie to spotyka? – pytała samą siebie, lecz nie umiała znaleźć odpowiedzi. Nieczęsto się to zdarzało, ale w owej chwili Wielka Cesarska Nałożnica zupełnie nie pamiętała o swojej urodzie. A raczej należałoby powiedzieć, zmusiła się do tego, by o niej zapomnieć.

W końcu ciemne niebo zaczęły rozjaśniać ledwie widoczne pasemka bieli.

Z szarości świtu wyłoniła się postać Kapłana. Wciąż stał.

Wielka Cesarska Nałożnica została pokonana. Wezwała służkę i kazała jej zaprosić Kapłana, aby podszedł bliżej i uklęknął na zewnątrz zasłony.

Wielki Kapłan, na skraju fizycznej wytrzymałości, był o krok od utraty świadomości. Nie wiedział już, czy to na Wielką Cesarską Nałożnicę czeka, czy też może na przyszłe życie. Mimo że widział sylwetkę pokojówki, zbliżającej się przez ciemny ogród od strony rezydencji, nie był świadomy, że spełnia się to, na co czekał.

Służka przekazała wiadomość od swojej pani. Gdy skończyła, Kapłan wydał z siebie przerażający, niepodobny do

ludzkiego głosu krzyk. Dziewczyna próbowała ująć go za ramię i poprowadzić, lecz wyrwał rękę i samodzielnie, niewiarygodnie żwawym krokiem ruszył w kierunku domu.

Po przeciwnej stronie zasłony panowała ciemność i nie można było z zewnątrz rozpoznać sylwetki damy. Kapłan ukląkł i, ukrywając twarz w dłoniach, łkał. Nie wydał z siebie ani słowa, zanosił się tylko płaczem.

Wówczas, w szarości poranka, biała dłoń lekko wysunęła się spod opuszczonej zasłony. Kapłan świątyni Shiga ujął ją w swoje ręce i przytulił do czoła i do policzka.

Wielka Cesarska Nałożnica z Kyōgoku poczuła, jak dziwna, zimna dłoń dotyka jej dłoni. W tej samej chwili poczuła coś ciepłego i wilgotnego. Odczucie cudzych łez zwilżających jej rękę nie było miłe. Ale kiedy poczuła, jak wątle, blade promienie porannego słońca przenikają przez żaluzje do środka, dama, dzięki żarliwej wierze, doznała nagle cudownego olśnienia: tak, ta nieznana dłoń, która dotknęła jej dłoni, to ręka samego Buddy.

I wspaniałe widoki na nowo ukazały się sercu Wielkiej Nałożnicy: szmaragdowa ziemia Czystej Ziemi, miliony wysadzanych siedmioma klejnotami wież, aniołowie grający czarowną muzykę, złote stawy otoczone kryształowym piaskiem, połyskujące kwiaty lotosu i piękne głosy rajskich ptaków *kalavinka* – wszystko to znowu odżyło. Jeśli to jest owa Kraina, której miała dostąpić – a szczerze w to teraz wierzyła – dlaczego miałaby nie przyjąć miłości Wielkiego Kapłana? Czekala na to, że człowiek ten, człowiek o rękach Buddy, poprosi ją, by uniosła zasłonę. Z pewnością ją o to poprosi. Wtedy ona usunie przeszkodę i jej niezrównanej piękności postać ukaże mu się tak samo, jak wówczas na brzegu jeziora Shiga. Wówczas zaprosi go do środka.

Wielka Cesarska Nałożnica czekała.

Lecz Wielki Kapłan świątyni Shiga nie dobył z siebie ani słowa. O nic nie prosił. Po chwili uścisk jego rąk zelżał i śnieżnobiała dłoń zawisała samotna w świetle poranka. Kapłan odszedł. Zimno przeniknęło serce Wielkiej Cesarzowej Nałożnicy.

Kilka dni później do dworu dotarła wieść, że dusza Wielkiego Kapłana osiągnęła ostateczne wyzwolenie w jego pustelni w Shiga. Na wieść o tym dama z Kyōgoku postanowiła złożyć w ofierze teksty sutr, własnoręcznie przepisane pięknym, kaligraficznym pismem. Ku wdzięczności przyszłych pokoleń znalazły się wśród nich Sutra Buddy Nieskończonego Żywota, Sutra Lotosu Dobrego Prawa, Sutra Girlandy Kwiatów i inne.

Umiłowanie ojczyzny

Dwudziestego ósmego lutego 1936 roku, to jest trzeciego dnia od Wydarzeń 26 Lutego*, porucznik służby czynnej Pierwszego Gwardyjskiego Pułku Piechoty Takeyama Shinji, do głębi wzburzony tym, że jego najbliżsi przyjaciele już na początku puczu przyłączyli się do zbuntowanych oddziałów, wstrząśnięty sytuacją, która nieuchronnie prowadziła do bratobójczych starć między żołnierzami Armii Cesarskiej – dokonał w ośmiomatowym pokoju** swego domu w Aoba-chō w dzielnicy Yotsuya rytualnego samobójstwa, rozcinając sobie brzuch mieczem wojskowym, a w ślad za nim odebrała sobie sztyłem życie jego żona, Reiko. Pożegnalny list porucznika zawierał jedno tylko zdanie: „Niech żyje Armia Cesarska!”, Reiko zaś w swoim liście prosiła rodziców o przebaczenie, że wbrew nakazom

* Wydarzenia 26 Lutego – próba wojskowego zamachu stanu. Podczas krótkich, gwałtownych walk zbuntowane oddziały otoczyły kilka obiektów wojskowych i wysunęły pod adresem władz żądania reform. Zamach został udłumemniony, a przywódcy ukarani. Ważny epizod polityczny w procesie militarystacji Japonii.

** Ośmiomatowy pokój – mata wyściełająca podłogę w japońskim mieszkaniu jest też jednostką miary powierzchni mieszkalnej. Jej wymiary to w przybliżeniu 1,9 x 0,9 m.

lojalności odchodzi przed nimi, i kończyła słowami: „Nadszedł dzień, który dla żony żołnierza musiał nadejść”. Straszny był koniec szlachetnej, bohaterskiej pary i, do prawdy, najsroźszych nawet bogów poruszyłby do łez. Dodajmy jeszcze, że w chwili śmierci porucznik miał lat trzydzieści, jego żona – dwadzieścia trzy, a od zawarcia przez nich małżeńskiego związku upłynęło niespełna pół roku.

Nawet ci, którzy widzieli młodą parę jedynie na pamiątkowej fotografii ślubnej, nie mówiąc o uczestnikach weselnej uroczystości, zachwycali się urodą obojga – przystojnego mężczyzny i pięknej kobiety. Porucznik w mundurze, z mieczem w lewej dłoni i czapką wojskową w prawej, prezentował się imponująco, stojąc w opiekuńczej pozie u boku swojej młodej małżonki. Prawdziwie męska twarz, gęste brwi i szeroko rozwarte oczy dawały dobre świadectwo czystości i prawości charakteru młodego człowieka. Uroda panny młodej, ubranej w szatę ślubną z białą jedwabną narzutką, była ponad wszelkie porównania. Słodycz i wytworność zarazem biły z owalnego wykroju oczu pod łagodnymi łukami brwi, delikatnej, szlachetnej linii nosa i pełnych warg. Ujmujące wachlarz koniuszki palców nieśmiało wyzierały spod rękawa świątecznego stroju i, ułożone równiutko na tkaninie, wyglądały jak pączki powoju.

Po ich samobójstwie ludzie często, widząc tę fotografię, wzdychali ze smutkiem i zadumą nad złym losem, jaki spotyka związki tak doskonale piękne. Może to tylko sugestia, ale patrząc, już po wszystkim, na wizerunek nowożeńców stojących na tle złotego parawanu, nie można było oprzeć się wrażeniu, że oczy obojga widziały z przenikliwą jasnością śmierć, która miała nadejść niebawem.

Z pomocą generała Ozeki, ich swata, młodzi urządzili się na nowym gospodarstwie w Aoba-chō, w Yotsuya. „Nowe gospodarstwo” – to określenie nieco na wyrost, jak na wynajęty stary dom z trzema pokojami i skromnym ogródkiem. Dwa pokoje na parterze o powierzchni sześciu oraz czterech i pół maty były nie dość słoneczne, więc za pokój gościnny jednocześnie służyła ośmiomatowa sypialnia na piętrze. Nie mieli pokojówki, więc Reiko sama doglądała domu podczas nieobecności męża.

Z podróży poślubnej – ze względu na wyjątkowe czasy – zrezygnowali. Pierwszą noc spędzili małżonkowie w tym właśnie domu. Przed wejściem do pościeli Shinji, ułożywszy miecz przed kolanami, udzielił żonie prawdziwie żołnierskiego pouczenia. Kobieta, kiedy poślubia żołnierza, powinna brać pod uwagę możliwość śmierci męża i pogodzić się, że może ona nadejść w każdej chwili. Choćby jutro. Albo pojutrze. Czy jest gotowa – spytał – przyjmując ją bez najmniejszego wahania, bez względu na to, kiedy nadejdzie? Reiko wstała, wysunęła szufladę komody i wyjęła sztylet, najcenniejszy podarek ofiarowany jej przez matkę w dniu zamążpójścia. Bez słowa położyła go przed sobą tak samo jak mąż swój miecz. Osiągnięte zostało cudowne, milczące porozumienie i nigdy nie musiał już porucznik upewniać się co do determinacji żony.

W ciągu kilku miesięcy, które upłynęły od ślubu, Reiko piękniała w oczach, jej uroda stała się jasna i czysta jak księżyc po deszczu.

Oboje mieli młode, zdrowe ciała, więc i miłość ich była gorąca i gwałtowna. Kochali się w nocy, kochali się, kiedy porucznik wracał z ćwiczeń i nierzadko brał żonę natychmiast, zbyt niecierpliwy, by zrzucić zabrudzony mundur.

Reiko odwzajemniała się podobną namiętnością. Nim miesiąc minął od nocy poślubnej, Reiko poznała radość rozkoszy, a porucznik, widząc to, był również szczęśliwy.

Białe, wysokie piersi Reiko tchnęły czystością i dostojnością. Mogły się wydawać wyniosłe i nieprzystępne, ale, ofiarowywane, pełne były oddania i kojącego ciepła. Młodzi nawet w pościeli zachowywali uroczystą, niemal zatrwającą powagę. Byli poważni pośród najdzikszych, graniczących z szaleństwem zapasów miłosnych.

W ciągu dnia porucznik, w krótkich przerwach wytchnienia między ćwiczeniami, z czułością myślał o żonie, a Reiko jak dzień długi przywoływała w pamięci obraz męża. Nawet gdy nie byli razem, wystarczyło im spojrzeć na zdjęcie z zaślubin, by upewnić się o swym szczęściu. I nie widziała Reiko nic dziwnego w tym, że człowiek, jeszcze przed kilku zaledwie miesiącami całkowicie obojętny, teraz stał się słońcem jej życia.

Wszystko to było bez zastrzeżeń moralne i pozostawało w zgodzie z nakazem Reskryptu w Sprawie Wychowania, by „mąż i żona żyli we wzajemnej harmonii”. Nie zdarzyło się Reiko ani razu sprzeciwić słowu męża, a i porucznik nie miał nigdy najmniejszego powodu, by upomnieć żonę. Domowy ołtarzyk w alkowie na parterze, oprócz talizmanu ze świątyni Ise, zdobiły wizerunki Ich Cesarskich Wysokości i codziennie rano, zanim porucznik wyszedł na służbę, oddawali cześć przed ołtarzykiem, nisko pochylając głowy. Wodę ofiarną zmieniano każdego poranka, a gałązka świętego drzewa *sasaki* zawsze tchnęła świeżością. Życie ich płynęło pod opiekuńczymi skrzydłami bogów po brzegi wypełnione szczęściem tak całkowitym, że aż dreszczem przejmowało ich ciała.

Choć rezydencja Ministra Tajnej Pieczęci Saitō znajdo-

wala się nieopodal, rankiem dwudziestego szóstego lutego śladne z nich nie usłyszało odgłosu strzelaniny. Dopiero gdy było już po dramacie, a rozegrał się on w ciągu zaledwie dziesięciu minut, trąbka na zbiórkę rozdarła ponurą, ośnieżoną ciemność i wyrwała ze snu porucznika. Zerwał się natychmiast, bez słowa włożył mundur, przypiął podany przez żonę miecz i wybiegł na ośnieżoną ulicę, tonącą jeszcze w porannym mroku. Wrócił dopiero wieczorem dwudziestego ósmego.

Wkrótce z radiowych komunikatów Reiko miała już cały obraz tych nagłych wydarzeń. Dwa dni, które potem upłynęły, przeżyła samotnie, przy zamkniętych drzwiach i w zupełnej ciszy.

W twarzy wybiegającego bez słowa w śnieżny poranek męża Reiko wyczytała już postanowienie śmierci. Gdyby porucznik nie powrócił żywy, zdecydowana była pójść jego śladem. Po cichu zajęła się porządkowaniem osobistych rzeczy. Kilka wizytowych kimon przeznaczyła na pamiątkowe podarunki dla przyjaciółek z lat szkolnych, zawięła je w arkusze papieru do pakowania i na każdym wypisała odpowiednie nazwisko. Napominana stale przez męża, by nie myśleć o przyszłości, Reiko nie prowadziła nawet dziennika, nie miała więc zaznać teraz przyjemności gorączkowego odczytywania, przed wrzuceniem do ognia, zapisków o swym szczęściu z ostatnich kilku miesięcy. Na odbiorniku radiowym stały małe figurki z porcelany – pies, zajaczek, wiewiórka, niedźwiadek i lis. I jeszcze mały flakonik i karafka. Była to jedyna kolekcja Reiko, ale nie zostawi przecież tych przedmiotów nikomu jako pamiątki po sobie. Nie nadawały się też do tego, by poprosić o umieszczenie ich w trumnie. Gdy tak rozmyślała, porcelanowe zwierzątka zaczęły na nią spoglądać z coraz

większym smutkiem porzuconych, nikomu niepotrzebnych istot.

Reiko wzięła do ręki wiewiórkę i w zamyśleniu utkwiała w niej wzrok. Myślami była jednak daleko od dzieciennych wspomnień. Oczami duszy widziała wielką, świętą jak słońce Sprawę, którą ucieleśniał dla niej jej mąż. Z ochotą da się unieść ku zagładzie rydwanowi oślepiającego słońca, lecz teraz, przez kilka chwil samotności, nie mogła odmówić sobie niewinnej igraszki i czule smakowała swoje przywiązanie do miłych drobiazgów. Prawdę mówiąc, czasy, kiedy prawdziwie kochała te przedmioty, należały do odległej przeszłości. Dziś kochała ledwie wspomnienia swoich dawnych miłości, a serce wypełniały jej uczucia gwałtowniejsze, szczęście stokroć bardziej szalone... Ani razu nie zdarzyło się Reiko, nawet w myślach, nazwać słowem „rozkosz” wszystkich tych chwil szczęśliwych, które każdego dnia i każdej nocy wstrząsały jej ciało dreszczem ekstazy. W lutowym chłodzie lodowaty dotyk porcelanowej wiewiórki mroził piękne palce Reiko, ale nawet teraz, na wspomnienie sięgających po nią mocnych ramion porucznika, czuła, jak jej ciało, pod starannie założonym jedwabnym kimonem, zalewa gorąca fala zdolna roztopić śnieg.

Myśl o śmierci nie budziła w niej najmniejszego lęku. Siedząc samotnie w pustym domu, Reiko wierzyła głęboko, że wszystko, co czuł w tej chwili jej mąż, co myślał, cały jego ból i cierpienie, tak samo jak jego ciało, poprowadzą ją ku zbawczej śmierci. Czuła, że ciało jej będzie mogło z łatwością roztopić się w najmniejszym nawet odprysku męzowskiej myśli.

Z nadawanych co chwila komunikatów radiowych dowiedziała się, że wśród rebeliantów znajduje się kilku naj-

blizszych przyjaciół męża. Były to komunikaty śmierci. Miała szczegółowy obraz sytuacji, która w ciągu jednego dnia została przesądzona. W każdej chwili spodziewano się proklamacji cesarskiej, a tymczasem ci, którzy podjęli zryw w imię – jak się zrazu wydawało – Odnowy, zostali już napiętnowani hańbiącym mianem buntowników. Z pułku nie nadchodziła żadna wiadomość. Resztki śniegu zalegały miasto, w którym walki mogły rozgorzeć w każdej chwili.

Ogarnięta strasznymi przeczuciami, Reiko usłyszała gwałtowny łomot u drzwi wejściowych wieczorem dwudziestego ósmego. Podbiegła i drżącymi rękoma odrygłowała zamek. W cieniu rysującym się po drugiej stronie matowej szyby bez wątplenia rozpoznała męża. Nigdy dotąd zamek u rozsuwanych drzwi nie wydawał się Reiko tak irytująco niesprawny. Im dłużej się mocowała, tym większy opór stawiał jej rękoma i drzwi w żaden sposób nie chciały się otworzyć.

Gdy wreszcie się rozsunęły, postać okryta płaszczem koloru khaki natychmiast wtargnęła do środka i wysokie, ciężkie od błota i śniegu buty stanęły na kamiennej posadzce sieni. Zasuważąc za sobą drzwi, porucznik zarygłował na powrót zamek. W jakim celu, nie wiedziała.

– Witaj.

Reiko nisko skłoniła głowę, lecz porucznik nie odpowiedział na pozdrowienie. Odpiął miecz i zaczął ściągać płaszcz, więc żona stanęła za nim, by mu pomóc. Płaszcz, gdy go odebrała, zawisł ciężko na jej ramieniu. Był chłodny, wilgotny i nie miał tej szczególnej woni końskiego nawozu, jaką bywał przesycony po dłuższym wystawieniu na słońce. Powiesiła go na wieszaku, wzięła w ramiona miecz i, osłaniając go rękawem kimona, podążyła za mężem, któ-

ry ściągnął tymczasem buty i skierował się do stołowego, owego sześciomatowego pokoju na parterze.

W jasnym świetle lampy twarz męża, pokryta kilkudniowym zarostem, wydała się jej tak wymizierowana, jakby należała do kogoś obcego. Policzki miał zapadnięte, pozbawione zwykłego blasku i prężności. Kiedy Shinji był w dobrym nastroju, natychmiast po powrocie przebierał się w domową odzież i domagał się kolacji; tym razem jednak, nie zdjawszy nawet munduru, siadł do stołu z nisko zwieszoną głową. Reiko wstrzymała się z zapytaniem, czy ma przygotować kolację.

Po jakimś czasie porucznik przemówił:

– O niczym nie wiedziałem. Tamci mnie nie wciągnęli. Pewnie chcieli mnie oszczędzić, wiesz, jakoby dlatego, że jestem świeżo po ślubie... Kano i Homma, i Yamaguchi.

W pamięci Reiko stanęły twarze przyjaciół męża, młodych, dziarskich oficerów, którzy często gościli w ich domu.

– Jutro prawdopodobnie wyjdzie rozkaz cesarski. Tamci zostaną uznani za buntowników. A mnie wyznaczą na dowódcę oddziału i będę musiał na nich uderzyć... Nie mogę. Ja tego zrobić nie potrafię.

Mówił dalej.

– Zdjęto mnie teraz ze służby wartowniczej i pozwolono wrócić na tę noc do domu. Jutro z rana na pewno będziemy musieli na nich ruszyć. Ja nie mogę tego zrobić, Reiko.

Reiko siedziała wyprostowana z opuszczonymi oczami. Wiedziała dobrze, że mąż mówi już tylko o śmierci. Postanowienie dojrzało w poruczniku. W każdym słowie była niewzruszona siła, tym większa, że śmierć, jak mroczny

mur, stała za nim. W tym, co mówił, wyczuwała udrękę, ale wahania już tam nie było.

W milczeniu, jakie między nimi zapadło, była klarowność strumieni, którymi śnieg spływa na wiosnę. Siedząc w domu na wprost żony, po ciężkich zmaganiach dwóch minionych dni, porucznik odzyskał spokój. Wiedział od razu, że żona, mimo iż nie odezwała się ani słowem, odgaduje jego nienazwane, a przecież niezłomne postanowienie.

– Rozumiesz... – Oczy porucznika, żywe i jasne mimo nieprzespanej nocy, były szeroko otwarte i po raz pierwszy patrzyły wprost w oczy żony. – Tej nocy popełnię *seppuku*.

Reiko nawet nie drgnęła. Napięcie w jej owalnych oczach było mocne jak bicie dzwonu.

– Jestem gotowa. Pozwól, bym mogła ci towarzyszyć.

Porucznik czuł, że siła jej wzroku wprawia go niemal w stan odrętwienia. Jego słowa płynęły wartko i lekko jak w hipnotycznym transie. Jemu samemu trudno było pojąć, że zgoda w sprawie tak doniosłej może być wyrażona równie beztroskim tonem.

– W porządku. Zrobią to razem. Ale chcę, byś była obecna przy moim *seppuku*. Zgoda?

W chwili gdy słowa te zostały wypowiedziane, serca obojga wezbrały bezgranicznym, nagle wyzwolonym szczęściem. Reiko do głębi poruszył ogrom zaufania, którym obdarzył ją mąż. Cokolwiek się stanie, porucznik musi odebrać sobie życie i nie może w tym chybić. Dlatego potrzebuje świadka. To, że rolę tę powierzył własnej żonie, było pierwszym dowodem zaufania. Drugim, większym jeszcze dowodem było to, że choć zgodzili się umrzeć razem, nie zamierzał wpierw zabić żony, tylko zdecydował, że jej śmierć nastąpi potem, kiedy go już nie będzie, by to

sprawdzić. Gdyby był mężem nieufnym, najpewniej zabiłby żonę najpierw, jak to zazwyczaj praktykowano w przypadku wspólnych samobójstw kochanków.

Kiedy usłyszał Reiko, gdy mówi: „Pozwól, bym mogła ci towarzyszyć” – odebrał to jako wspianiały rezultat nauk, które starał się wpajać żonie od pierwszej wspólnej nocy aż po ten dzień. Wiedział, że to wychowanie każe jej wypowiedzieć bez najmniejszego wahania te słowa. Świadomość ta schlebiała jego próżności. Nie był aż tak zadufany i marzycielsko naiwny, by wyobrażać sobie, że słowa te dyktuje żonie spontaniczny odruch miłości.

Wielka radość i szczęście wypełniły ich serca i małżonkowie bezwiednie uśmiechnęli się do siebie. Reiko czuła się tak, jakby po raz wtóry wróciła noc poślubna. Nie widziała przed sobą ani bólu, ani śmierci, tylko ogromną przestrzeń, rozciągającą się w bezkresną dal.

– Kąpiel gotowa. Wejdiesz teraz?

– Mhm.

– A kolacja?

Słowa brzmiały powszednio i domowo, aż porucznikowi przez ułamek sekundy wydało się, że się przesłyszał.

– Nie, chyba nie będziemy jedli. Ale może podgrzała-byś trochę sake?

– Dobrze.

Reiko wstała, by wyjąć ciepłe kimono dla męża do przebrania się po kąpeli i umyślnie skierowała jego uwagę na otwartą szufladę. Porucznik wstał, podszedł do komody i zajrzał do środka. Ze starannie ułożonych, zawiniętych w papier pamiątek pożegnalnych odczytał, jedno po drugim, nazwiska adresatów. Okazany w ten sposób dowód męznego postanowienia nie zasmucił go. Jego serce przepełniła tkliwość. Jak mąż, któremu żona pokazuje swoje

dziecinne zakupy, porucznik, do głębi wzruszony, objął żonę od tyłu i pocałował w kark.

Dla Reiko w tym dotyku nieogolonych policzków było coś więcej niż tylko zmysłowe odczucie doczesnego świata. Znalazła w nim potwierdzenie realności istnienia, a w świadomości, że niebawem wszystko na zawsze utraci, odkrywała niedającą się z niczym porównać świeżość. Każda pojedyncza chwila zyskiwała ożywczą moc, budziła się każda cząstka jej ciała. Mocno wsparta ubranymi w *tabi** stopami, przyjmowała pieśczoły stojącego za nią męża.

– Wezmę kąpiel, a potem napijemy się sake i... Przygotuj na gorze posłanie, dobrze? – szeptał żonie do ucha.

Reiko w milczeniu skinęła głową.

Porucznik pośpiesznie zdjął mundur i wszedł do łazienki. Słuchając przytłumionych odgłosów pluszczącej wody, Reiko sprawdziła ogień w palenisku i zabrała się do podgrzewania sake.

Wzięła kimono, pas i bieliznę, zaniósła mężowi do łazienki i spytała, czy woda ma odpowiednią temperaturę. Porucznik, przykucnięty na posadzce, golił się. Przez kłęby pary mogła niewyraźnie zobaczyć, jak wraz z poruszeniami ramion żywo grają mięśnie jego barczystych, mokrych pleców.

Nic nie wskazywało, że chwila jest w jakikolwiek sposób szczególna. Reiko, krzątając się wokół swoich zwykłych zajęć, przygotowywała naprędce jakąś przekąskę do sake. Ręce jej nie drżały, wszystkie czynności wykonywała nawet jakby sprawniej i żwawiej niż zazwyczaj. Tylko co jakiś czas czuła w sercu dziwne łomotanie. Nachodziło ją nagle z dojmującą ostrością jak daleka błyskawica, po

* *Tabi* – rodzaj skarpetek z oddzielnym dużym palcem.

czym równie szybko ustępowało. Prócz tego jednego doznania nic nie odbiegało od codzienności.

Goląc się, porucznik poczuł, że ogrzane ciało zrzuciło wreszcie ciężar nieznośnych męczarni, które wyczerpały je do cna. Mimo bliskiej śmierci przepelniało je podniecające oczekiwanie. Dochodziły go wygłuszone odgłosy krzątani-ny żony i tłumione od dwóch dni fizyczne pożądanie upominało się o swoje prawa.

Miał pewność, że nie było nic niegodnego w radości, jaką odczuli w momencie, gdy postanowili umrzeć. Może w sposób nie w pełni uświadomiony wierzyli, że tej intymnej i znanej im tylko radości strzegą: Wielka Sprawa, autorytet bogów i nienaruszalne, absolutne normy moralne. Patrząc sobie w oczy i odkrywając w nich śmierć, czuli się dodatkowo chronieni, osłonięci żelaznym murem, którego nikt nie strzaska, zakuci w zbroję z Piękna i Prawdy, której nikt nie ośmielił się nawet tknąć. Porucznik nie widział najmniejszej sprzeczności między cielesnym pożądaniem a szczerością patriotycznych uniesień, co więcej, traktował je jako jedno.

Wysuwając nieco do przodu twarz, golił się starannie i wpatrywał w swoje odbicie w ciemnym, porysowanym i zaparowanym lustrze. Tak będzie wyglądać jego twarz w chwili śmierci. Nie wolno mu pozostawić na niej żadnych przykrych dla oka zadraśnień. Ogolona twarz znów nabrała młodzieńczego blasku i zdawała się rozjaśniać ciemne lustro. W połączeniu promieniejącej zdrowiem twarzy ze śmiercią było coś z wyrafinowanej elegancji.

I pomyśleć, że tak właśnie będzie wyglądać jego pośmiertna maska! Już w tej nawet chwili ta twarz w zasadzie przestała należeć do porucznika i upodobniła się do wizerunku poległego żołnierza na zdjęciu nagrobkowym.

Na próbę mocno zacisnął powieki. Wszystko spowiła ciemność, zniknął spomiędzy istot widzących.

Wyszedł z kąpieli z niebieskawym, połyskliwym śladem na ogolonych policzkach i usiadł przy dobrze rozgrzanym piecyku. Zauważył, że Reiko, mimo że zajęta domową krzątaniem, znalazła czas, by dyskretnie poprawić makijaż. W jej twarzy nie było smutku – policzki błyszczały jaśniejszym blaskiem, wargi były wilgotne. I znowu – pomyślał porucznik – dała mu dowód gorącej, namiętnej natury i po raz kolejny uświadomił sobie, jak słuszny zrobił wybór, biorąc ją za żonę.

Wychylił czarzkę i natychmiast podał ją Reiko. Choć nigdy przedtem nie miała w ustach sake, bez słowa przyjęła napełnioną czarzkę i nieśmiało zanurzyła wargi w trunku.

– Chodź tu – powiedział porucznik.

Reiko zbliżyła się do męża i znalazła się w jego objęciach.

Pierś falowała jej gwałtownie, jak gdyby wzburzona połączeniem smutku, radości i mocnej sake. Porucznik patrzył z góry na twarz żony. To ostatnia ludzka twarz, ostatnia twarz kobiety, jaką widzi na tym świecie. Wpatrywał się w nią, dokładnie badając i zapamiętując jej najdrobniejsze szczegóły, tak jak podróżny, kiedy, ruszając w powrotną drogę, rzuca ostatnie spojrzenie widokom, których już nie zobaczy. Mógłby patrzeć bez końca na tę piękną twarz, o lekko rozchylonych ustach, rysach regularnych, a przecież bez cienia chłodu. Bezwiednie ucałował jej wargi. Mimo że żaden niemiły grymas nie wykrzywił twarzy żony, spostrzegł, że pod długimi, opuszczonymi rzęsami wzbierają w kącikach oczu łzy i płyną jedna za drugą połyskującym strumykiem.

Gdy po pewnym czasie porucznik zaczął nalegać, by

przeszli do sypialni na górę, żona odpowiedziała, że weźmie tylko kąpiel i zaraz przyjdzie. Wszedł więc sam na piętro, do ogrzewanej gazowym piecykiem sypialni i ułożył się na pościeli z rozstawionymi szeroko nogami. Wszystko było zwyczajne, normalne, nawet czas oczekiwania na żonę nie był ani krótszy, ani dłuższy niż zazwyczaj.

Splótł dłonie nad głową i wpatrywał się w ciemne deski sufitu, dokąd nie docierało światło lampy stojącej u wezłowania. Na co teraz czekał – na śmierć czy na szaleństwo zmysłowych rozkoszy? Mogło się wydawać, że jedno i drugie splatało się nawzajem, zupełnie jak gdyby sama śmierć stawiała się przedmiotem pożądania. Jedno było pewne – nigdy przedtem nie zdarzyło się porucznikowi zakosztować każdą cząstką ciała tak całkowitej, doskonałej wolności.

Za oknem rozlegały się odgłosy przejeżdżających samochodów. Można było usłyszeć pisk opon ślizgających się po śniegu zalegającym skraj drogi. Dźwięk klaksonów odbijał się od pobliskiego ogrodzenia. Słuchając tych odgłosów, miał wrażenie, że znajduje się na opuszczonej wyspie, wznoszącej się samotnie w morzu ludzi goniących jakby nigdy nic za swoimi sprawami. Wokół jego domu rozciągał się bezkształtny, pozbawiony ładunku kraj, którego dobro tak mu leżało na sercu. Jemu odda swe życie. Nie wiedział, czy ten wielki kraj, któremu gotów był udzielić przestrogi za cenę samozniszczenia, poświęci najmniejszą choćby uwagę jego śmierci. I nie miało to znaczenia. Stał na polu bitewnym bez blasku chwały, na pobojuwisku, na którym nikt nie mógł odznaczyć się chwalebny czynem – stał na pierwszej linii ducha.

Rozległy się kroki wchodzącej na górę Reiko. Strone schody starego domu okropnie skrzypiały. Z dźwiękiem

tym łączyły się najmiłsze wspomnienia – niejeden raz, leżąc w oczekiwaniu, nasłuchiwał tego błogiego skrzypienia. Gdy pomyślał, że nigdy go już nie usłyszy, zaczął wsłuchiwać się w jeszcze większym skupieniu, starając się wypełnić każdy ułamek cennego czasu miękkim odgłosem stóp na skrzypiących schodach. Czas połyskiwał migotliwie niczym drogocenny klejnot.

Reiko miała na sobie *yukatę* przewiazaną czerwonym pasem *obi* ze wzorzystej tkaniny z Nagoi – jego czerwień pociemniała w przyćmionym świetle. Porucznik sięgnął ku niemu i pas, zsunięty pomocną ręką żony, ześlizgnął się z szelestem i spłynął na matę. Chciał objąć Reiko, jak stała, wciąż jeszcze w *yukacie*, i wetknął dłonie w rozcięcia pod pachami. Ledwie jego palce dotknęły ciepłego, nagiego ciała, poczuł, że cały płonie. Nim się spostrzegli, leżeli nadzy w świetle palącego się piecyka. Żadne z nich tego nie wypowiedziało, ale świadomość, że to ostatni raz, ożywiała serca i wzburzone ciała. Mogło się wydawać, że na każdym skrawku ich ciał mieli wypisane niewidzialnym tuszem słowa: „Ostatni raz”.

Porucznik przygarnął do siebie ze wszystkich sił żonę i namiętnie ją całował. Kiedy ich języki zgłębiały nawzajem najskrytsze zakamarki ust, czuli, że niczym jeszcze niezwiastowane śmiertelne cierpienia hartują ich zmysły, jak rozpalone do czerwoności żelazo. Niezaznany jeszcze ból śmierci, oddalone cierpienie wyostrzały i sublimowały zdolność przeżywania rozkoszy.

– ‘Ostatni raz widzę twoje ciało. Pokaż, daj mi się natrzeć. – Porucznik przechylił abażur stojącej lampy i tak skierował światło, by objęło całą jej postać.

Reiko leżała z przymkniętymi oczami. Nisko ścieląca się smuga światła znakomicie podkreślała cudowne kształ-

ty, wszystkie wzniesienia i zagłębienia jej białego ciała. Ze szczyptą egoizmu porucznik cieszył się myślą, że zostanie mu szczęśliwie oszczędzony widok tego piękna w stanie zniszczenia. Nieśpiesznie napawał oczy niezrównanym obrazem, jak gdyby starał się wyryć go w głębi duszy. Jedną ręką pieścił włosy, drugą głaskał delikatnie piękną twarz i całował, całował wszędzie, gdzie spoczął jego wzrok. Całował chłodne, strome czoło i oczy przysłonięte długimi rzęsami pod łukowato wygiętą linią brwi, i kształtny nos, zęby połyskujące spomiędzy lekko rozchylnych, pełnych, szlachetnie wykrojonych warg, i miękkie policzki, i nieduży wdzięczny podbródek... W wyobraźni porucznika wszystkie te szczegóły układały się w obraz promiennej maski pośmiertnej. Raz po raz dotykał ustami białej szyi, ssał miejsce, które Reiko przebije niebawem własną ręką, aż zabarwiło się bladym różem. Powrócił do warg, lekko przycisnął ustami usta żony, jego wargi zdawały się płynąć na jej wargach jak drobna, kołysząca się na falach łódeczka. Gdy zamykał oczy, miał wrażenie, że cały świat zamienia się w kołyskę.

Wargi porucznika posłusznie podążały za każdym spojrzeniem jego oczu. Wznoszące się z każdym oddechem piersi zwieńczone były podobnymi do pączków dzikiej wiśni brodawkami, które twardniały w ustach porucznika. Wzdłuż ciała, po obu stronach piersi, łagodnie spływały piękne, jakby misternie toczone ramiona. Ich krągłość poprzez zwężenia nadgarstków przechodziła na koniec w delikatne palce, te same, które w dniu zaślubin ścisnęły wachlarz. Palce chowały się, jakby zawstydzone, przed wargami porucznika, który całował je kolejno, jeden po drugim... Naturalne wgłębienie łączące piersi z brzuchem, miękkie, a przecież obdarzone sprężystością, bez najmniej-

szych oznak zwiotczenia, obiecująco zapowiadały pełne, krągłe kontury biegnące niżej, ku biodrom. Oddalone nieco od światła brzuch i biodra, obfite i białe, przywodziły na myśl mleko przelewające się z wielkiego dzbana, a wyraźnie zaznaczone wgłębienie pępka mogło wydawać się świeżym śladem dopiero co spadłej kropli deszczu. Tam, gdzie cień stopniowo gęstniał, miękko rysowała się kępka włosów, a nad nią, w miarę jak rosło wzburzenie ciała, które spokój opuścił już na dobre, unosiła się, przenikając powietrze, mocna woń, jak zapach aromatycznych kwiatów.

W końcu Reiko odezwała się niepewnie.

– Pokaż... Mnie też pokaż. Ostatni raz, na pożegnanie.

Tak mocnego, jawnego żądania porucznik nie słyszał jeszcze z ust żony. Zabrzmiało tak, jak gdyby skrywane długo przez skromność, na koniec wybuchło wyzwolone. Posłusznie wyciągnął się na wznak i oddał całkowicie we władanie żony. Białe, drżące ciało Reiko zwinnie uniosło się nad nim przepelnione tkliwym, rozkosznym pragnieniem oddania mężowi tego, co on uczynił dla niej, i dwa białe palce przymknęły pieszczotliwym dotknięciem oczy porucznika wpatrujące się w nią uważnie.

W przypiływie nagłej czułości Reiko, której policzki rozpałała fala namiętności, oplotła ramionami krótko ostrzyżoną głowę. Szorstkie włosy boleśnie kłuły w piersi, długi chłodny nos wbijał się w jej ciało, czuła na piersiach jego gorący oddech. Odsunęła się odrobinę i wpatrywała przez chwilę w tę męską twarz. Surowe brwi, zamknięte oczy, cudowna linia nosa, mocno zaciśnięte kształtne wargi. Policzki, z niebieskawymi śladami po goleniu, połyskiwały słabym, odbitym światłem. Reiko obsypywała pocałunkami szeroki kark, mocno wzniesione barki, potężną pierś

podobną do dwóch spiętych ze sobą tarcz i czerwono-brązowe sutki. Słodkawy, duszny zapach unosił się z kępek włosów pod pachami, skrytymi w cieniu dobrze umiejscowionych ramion. W słodczy tej woni zawierało się bezpośrednio, prawie namacalne przecucie śmierci za młodu. Pod skórą, lśniącą jak łan dojrzałego zboża, wyraziście rysowały się na całej długości ciała mięśnie, które, biegnąc w dół, ku podbrzuszu, zwierały mocnymi splotami niepozorny pępek. Patrząc na młodzieńczy, prężny brzuch, dyskretnie osłonięty owłosieniem, Reiko pomyślała, że już wkrótce zostanie bezlitośnie rozplątany, i zdjęła ją taka żalność, że zanosząc się szlochem, zaczęła żarliwie pokrywać go pocałunkami.

Porucznik, leżąc na plecach, czuł, że łyżony, zraszając mu brzuch, natchnęły go taką odwagą, że gotów był teraz znieść najsrozsze męki *seppuku*.

Zbędne jest chyba rozwodzić się i opisywać niewyraźne rozkosze, jakich oboje zaznali. Porucznik uniósł się i uściskiem mocnych ramion objął żonę, wycieńczoną żalnością i łzami. W szaleńczym zapamiętaniu przyłgnęli do siebie, przytulili policzek do policzka. Reiko drżała na całym ciele. Ich piersi, mokre od potu, były połączone, młode, piękne ciała stopiły się w jedno z taką mocą, że wydawało się niemożliwe, by kiedykolwiek mogły się od siebie oddzielić. Reiko krzyknęła. Z wysokości spadali w otchłań, dostawali skrzydeł i znów z otchłani wlatywali na zawrotne wysokości. Porucznik dyszał jak chorąży pułkowy podczas długiego marszu... Ledwo jedno miłosne starcie mieli za sobą, natychmiast, przepelnieni namiętnością i bez śladu zmęczenia, ruszali zgodnym zrywem, by znów wspiąć się na sam szczyt.

Porucznik rozluźnił w końcu uścisk nie dlatego, że po-

czuł się zmęczony. Obawiał się, by nie nadwyrężyć zanadto sił, których będzie potrzebował dla dokonania rytuału. Z drugiej strony nie chciał zbyt dużą zachłannością zmącić ostatnich, najśłodszych wspomnień.

Odsunął się zdecydowanie, więc i Reiko, jak zawsze posłuszna, poszła za jego przykładem. Leżeli nadzy, na wznak, ze splecionymi palcami i wzrokiem utkwionym w ciemny sufit. Pot na ich ciałach zdążył już ostygnąć, ale w ciepłe bijącym od piecyka w ogóle nie odczuwali chłodu. Wokoło panowała martwa cisza, umilkły nawet odgłosy samochodów. Łoskot kolei i tramwajów od strony stacji Yotsuya odbijał się o teren okolony fosą i nie dochodził tutaj, dodatkowo tłumiony gąszczem drzew w parku ciągnącym się wzdłuż szerokiej jezdni przed pałacem Akasaka. Aż trudno było uwierzyć, że ten zakątek Tokio był tak pełen napięcia, iż w każdej chwili mógł stać się widownią bratobójczych walk w szeregach tragicznie podzielonej Armii Cesarskiej.

Rozkoszując się ciepłem bijącym od ich ciał, rozpamiętywali najśłodsze, zakosztowane przed chwilą upojenia. Wspominali w najdrobniejszych szczegółach smak pocałunków, których nigdy nie byli syci, dotyk nagich ciał, każdy moment oszałamiającej szczęśliwości. Przez deski sufitu zaglądała już jednak śmierć. Te upojenia miały być ostatnie i mieli nigdy już ich więcej nie zaznać. Byli jednak niemal pewni i w pewności tej zgodni, że tak pełnego szczęścia nie doświadczyliby po raz drugi, gdyby nawet żyli jeszcze wiele, wiele lat.

Dotyk splecionych palców – to również mieli niedługo utracić. I widok słoików w deskach sufitu, na które teraz patrzyli – on także zostanie im odebrany. Czuli, jak z wolna, ukradkiem wpełza śmierć. Nie można dłużej zwlekać.

Trzeba zebrać odwagę, wyjść jej naprzeciw, samemu po nią sięgnąć.

– No, trzeba się wziąć do przygotowań – rzekł porucznik. Jego stanowczy głos nie pozostawiał wątpliwości, a mimo to nigdy jeszcze głos męża nie wydał się Reiko równie ciepły i czuły.

Teraz, gdy wstali, czekało ich wiele absorbujących czynności. Porucznik, któremu nie zdarzyło się dotąd pomagać przy uprzątnięciu pościeli, odsunął drzwi ściennej szafy, zrywając zebrął kołdry i materace i schował do środka.

Reiko, jeszcze zanim mąż wrócił do domu, sprzątnęła dokładnie pokój. Gdy wyłączyła piecyk gazowy i odsunęła lampę, ośmiomatowa izba – może tylko z wyjątkiem przesuniętego w kąt stołu z sandałowego drewna – wyglądała, jakby była przygotowana na przyjęcie ważnego gościa.

– Nieźleśmy tu sobie popijali, co? Z Kato, Hommą, Noguchim...

– Tak, wszyscy lubili wypić.

– Niedługo ich spotkamy na tamtym świecie. Już widzę, jak się będą ze mnie nabijać, gdy zobaczą, że przyprowadziłem cię ze sobą.

Schodząc po schodach, obejrzał się i jeszcze raz rzucił okiem na pokój, teraz spokojny i czysty w jasnym świetle lampy. Przed oczyma przemknęły mu twarze młodych oficerów, którzy niejedną raz tu popijali, bawili się głośno i prześcigali w niewinnych przechwałkach. Ani mu przez myśl wówczas nie przeszło, że przyjdzie mu kiedyś w tym pokoju rozplatać sobie brzuch.

Płynnie i rzeczowo, jakby nigdy nic, każde z nich zabrało się do przygotowań, które ich czekały w dwóch pokojach na dole. Porucznik wszedł do toalety, a następnie do łazienki, żeby się umyć. Reiko tymczasem złożyła ociep-

lane kimono męża, zaniosiła do łazienki mundur i nowiutką śnieżnobiłą opaskę na biodra. Następnie wyłożyła na stół arkusze papieru na listy pożegnalne i, zdjęwszy wieczko z przyborami do kaligrafii, zaczęła rozcierać laseczkę tuszu. Wiedziała już, co napisze w swoim pożegnaniu.

Palce Reiko mocno naciskały połączony uchwyt laseczki tuszu i po chwili korytko z wodą pociemniało, jak niebo zasnuwane nagle czarną chmurą. Nie myślała już o tym, że te powtarzane czynności – nacisk palców, towarzyszące im monotonne wznoszenie się i opadanie przytłumionego dźwięku – służą wyłącznie śmierci. Powszednimi domowymi czynnościami najzwyczajniej, jak umiała, wypełniała czas, jaki pozostał do chwili, kiedy śmierć stanie na progu. A mimo to w dotyku laseczki, w miarę pocierania coraz gładszej, w woni gęstniejącego tuszu czaił się niewypowiedziany mrok.

Z łazienki wyszedł porucznik w nienagannie skrojonym mundurze włożonym wprost na ciało. Bez słowa siadł wyprostowany za stołem, wziął do ręki pędzel i zapatrzył się niezdecydowanie w arkusz papieru.

Reiko weszła do łazienki z białym, jedwabnym kimonem w rękę. Gdy wróciła do pokoju, umyła, z lekko umalowaną twarzą, ubrana na biało, na papierze czerniły się w świetle lampy lakoniczne słowa pożegnania:

„Niech żyje Armia Cesarska! – porucznik piechoty Takeyama Shinji”.

Kiedy Reiko siedziała naprzeciwko i pisała pożegnalne słowa, porucznik, bez słowa, z powagą śledził opanowane ruchy jej białych palców trzymających pędzel.

Oboje, z pożegnalnymi kartkami w rękę, stanęli przed domowym ołtarzykiem – on z przypasanym do boku mie-

czem, ona ze sztyletem zatkniętym za pas białego kimona – i odmówili cichą modlitwę, po czym pogasili wszystkie światła na parterze. Wchodząc na piętro, porucznik obejrzał się w połowie schodów i zapatrzył w wynurzającą się z ciemności piękną, białą postać żony, idącej za nim ze spuszczoneymi oczami.

Pozegnalne listy zostały ułożone obok siebie w *tokonomie*^{*}, w pokoju na parterze. Przez chwilę zastanawiali się, czy nie powinni zdjąć zwoju zdobiącego alkowę, ponieważ jednak była to kaligrafia pędzla ich swata, generała Ozeki, zdecydowali się w końcu pozostawić go na miejscu, tym bardziej że złożony z dwóch znaków napis głosił: „Czystość serca”. Generał, byli tego pewni, wybaczy im, nawet gdyby zwój miał zostać poplamiony krwią.

Porucznik siadł ceremonialnie na piętach, plecami do filara tokonomy, i położył przed kolanami miecz. Reiko usiadła naprzeciwko w odległości jednej maty od niego. Jej wargi, lekko pociągnięte szminką, wyglądały szczególnie zachwycająco na tle olśniewającej bieli całej postaci. Oddaleni od siebie, całą mocą patrzyli sobie w oczy. Miecz porucznika leżał przed nim. Reiko przyszła na pamięć ich pierwsza noc i zdjął ją bezbrzeżny smutek. Mąż odezwał się zdławionym głosem:

– Ponieważ nie mam pomocnika, będę ciął głęboko. To może wyglądać okropnie, ale nie wolno ci tracić głowy. Każda śmierć jest straszna, kiedy się na nią patrzy z bliska. Nie załamuj się z powodu tego, co zobaczysz. Rozumiesz?

– Tak.

* *Tokonoma* – wgłębienie w ścianie, rodzaj alkowy, ozdabianej zwykle zwojem z obrazem lub kaligrafią, kwiatami, a także wizerunkami zmarłych krewnych; pełni funkcję domowego ołtarzyka.

Reiko nisko skłoniła głowę.

Patrząc na jej białą wiotką postać, porucznik, twarzą w twarz ze śmiercią, przeżył niezwykle uniesienie. Za chwilę dokona czynu, do którego zobowiązywał go żołnierski stan, czynu, jakiego żona nigdy dotąd nie była świadkiem. Śmierć, którą sobie zada, będzie tej samej próby co śmierć na polu bitwy, będzie wymagała takiej samej odwagi i gotowości, jaka towarzyszy żołnierzom ruszającym do boju. Ukaże teraz żonie swoją postawę w ogniu walki.

Na krótki, ulotny moment przeniósł się w regiony fantastycznego urojenia. Samotna śmierć na polu bitwy, a na wprost – własna żona, uosobienie piękna. Oto wstępuje w oba te wymiary jednocześnie i sprawia, że splatają się w niemożliwej, zdawałoby się, spójni. Świadomość, że w taki sposób dokona życia, przepełniła serce porucznika niewysłowioną słodyczą. Czyż nie na tym polega prawdziwe, największe szczęście? Piękne oczy żony zobaczą wszystkie etapy jego umierania. Dzięki temu będzie zdążać ku śmierci jakby niesiony aromatycznym powiewem łagodnego wiatru. Widział w tym łaskę. Dokładnie sobie tego nie uświadamiał, ale czuł, że zostało mu dane przyzwolenie, by wstąpić w obszary dla innych niedostępne, że dostąpił nieznanej nikomu łaski. Zdawało mu się, że w cudownej, spowitej w biel postaci żony widzi promienną wizję Cesarskiego Domu, Państwa, Sztandaru, wszystkiego, co umiłował i za co odda życie. Choćby były bardzo daleko od niego, czuł je wszędzie, czuł, że są stale obecne, jasne i czyste jak spojrzenie żony.

Reiko, wpatrzona w męża, który miał niebawem ją opuścić, myślała, że nigdy jeszcze nie widziała czegoś równie pięknego. Mimo że zawsze było mu do twarzy w mundurze, surowe brwi i zaciśnięte wargi wydobywały z twarzy

męża w tej przedśmiertnej godzinie cechy najwyższej męskiej urody.

– No, już pora – odezwał się wreszcie.

Reiko pochyliła się nisko ku macie w głębokim ukłonie. W żaden sposób nie była w stanie unieść twarzy. Nie chciała zepsuć makijażu, ale mimo to nie mogła pohamować łez. Gdy uniosła wreszcie głowę, poprzez łzy ujrzała niewyraźnie męża, który owijał klingę obnażonego miecza kawałkiem białego materiału, pozostawiając nieosłonięty czubek długości kilkunastu centymetrów.

Ułożywszy miecz przed sobą, zmienił pozycję, usiadł swobodnie z podkurczonymi nogami i rozpiął haftki u kołnierza munduru. Jego oczy nie widziały już żony. Wolno odpiął jeden po drugim płaskie mosiężne guziki. Wyjrzała smagła pierś, po chwili ukazał się brzuch. Rozpiął sprzączkę pasa i guziki spodni. Ukazała się śnieżnobiała opaska na biodra. Zsunął ją niżej, odsłaniając jeszcze bardziej brzuch, po czym w prawą rękę ujął klingę owiniętą białą tkaniną. Nie zmieniając pozycji, masował lewą ręką podbrzusze, patrząc przy tym spuszczonej oczami na swoje ciało.

By sprawdzić ostrość miecza, odwinął górę spodni po lewej stronie, obnażając udo, i lekko przejechał ostrzem po skórze. Rana natychmiast podeszła krwią i kilka cienkich czerwonych strużek spłynęło w dół po wewnętrznej stronie uda, połyskując w jasnym świetle.

Ujrawszy po raz pierwszy krew męża, Reiko poczuła, jak przeraźliwie łomocze jej serce. Podniosła oczy na jego twarz. Porucznik przyglądał się krwi z największym spokojem. Choć zdawała sobie sprawę, że to słaba i krótkotrwała pociecha, przez chwilę Reiko poczuła się odrobinę pokrzepiona na duchu.

Ostry, niemal drapieżny wzrok porucznika zatrzymał się na postaci żony i znieruchomiał. Przesunął teraz miecz do przodu, uniósł nieco biodra tak, by górna połowa ciała pochyliła się nad końcem miecza. Gniewnie naprężone pod mundurem ramiona świadczyły, że zbiera w sobie wszystkie siły. Postanowił pchnąć głęboko i zdecydowanie w lewą część brzucha. Ostry krzyk przeszył ciszę pokoju.

Mimo że sam zadał sobie pchnięcie, poczuł, jak gdyby ktoś obcy uderzył go boleśnie grubym żelaznym drągiem w bok brzucha. Na moment pociemniało mu w oczach, nie wiedział, co się stało. Kilkunastocentymetrowy koniec miecza tkwił całkowicie w ciele, płótno, przez które trzymał go w zaciśniętej pięści, dotykało brzucha.

Wrócił do siebie. Ostrze – myślał – z pewnością przeszło przez powłokę brzuszną. Jego oddech stał się ciężki, w piersiach czuł gwałtowne łomotanie. Gdzieś, w odległej głębinie – aż trudno było mu uwierzyć, że wszystko to dzieje się w jego własnym wnętrzu – straszny, przeszywający ból zaczynał wzbierać jak gorąca lava wyrzucana z głębi ziemi i zbliżał się z zastraszającą szybkością. Porucznik zagryzł dolną wargę, dławiąc mimo woli wydobywający się jęk.

Więc to jest *seppuku* – myślał. Doznał całkowitego zamętu, jakby niebo mu spadło na głowę, jakby świat zachwiał się w posadach. Wola i odwaga, które wydawały się tak niezłomne, zanim dokonał cięcia, stopniały teraz do jednego, cienkiego jak włos drucika. Pełen niepokoju, uświadomił sobie, że musi ucześcić się tej jedynej ostoji, jaka mu pozostała, tak zawzięcie, jak tylko potrafi. Zaciśnięta pięść zwilgotniała. Zauważył, że i dłoń, i białe płótno są zbroczone krwią. Opaska na biodrach również zabarwiła się ciemnym szkarłatem. Aż dziwne – pomyślał – że

pośród straszliwych cierpień można dostrzegać rzeczy, że wszystko, co było, trwa nadal.

Widząc, jak wraz z pchnięciem miecza krew odpływa z twarzy porucznika niczym opadająca nagle kurtyna, Reiko z trudem powstrzymała się, żeby do niego nie podbiec. Cokolwiek się stanie, musi patrzeć. Musi patrzeć do samego końca. To powinność, jaką powierzył jej mąż. Na wprost, o jedną matę od siebie, widziała wyraźnie twarz męża, zagryzającego wargi, by zdławić ból. Miała ten ból przed sobą, wyraźnie jak na dłoni. I nie było w jej mocy, by uwolnić go od mąk.

Krople potu błyszczą na jego czole. Przymknął oczy i, jakby przeprowadzał eksperyment, znów je otworzył. Straciły swój zwykły blask, były teraz bezbronne i puste, jak oczy małego zwierzątka.

Ból, który Reiko miała przed oczyma, piekł jak mocne, letnie słońce i wydawał się nie mieć żadnego związku z beznadziejną rozpaczą, która nią szarpała. Ból ten rósł i ogromniał. Sięgał wyżej i wyżej. Reiko czuła, że mąż należy już do innego świata, że całe jego jestestwo sprowadzone zostało do bólu, że stał się więźniem zamkniętym w klatce bólu i że nie dosięgnie go tam żadna ręka. A Reiko bólu nie czuła. Rozpacz nie boli. Na myśl o tym zrozumiała, że czyjaś okrutna ręka postawiła między nią a mężem wysoki mur.

Odkąd się pobrali, jej istnienie zawsze było istnieniem jej męża, każdy jego oddech był jej oddechem, a teraz, kiedy mąż istniał w bólu aż nadto realnie, ona nie mogła znaleźć choćby najmniejszego potwierdzenia własnego istnienia.

Porucznik, ściskając prawą ręką miecz, próbował pociągnąć go dalej w prawo, ostrze utknęło jednak w jelitach

i, natrafiwszy na miękki opór, wypychane było na zewnątrz za każdym ponawianym wysiłkiem. Zrozumiał, że aby kontynuować cięcie, musi jednocześnie przytrzymać obiema rękami klingę, przyciskając ją mocno do brzucha. Pociągnął. Cięcie nie poszło tak łatwo, jak na to liczył. Włożył całą siłę w prawą rękę i pociągnął jeszcze raz. Ostrze przesunęło się o jakieś dziesięć–dwanaście centymetrów.

Ból dobywał się powoli z głębi trzewi, aż cały brzuch rozedrgał się pulsującym echem, jak gdyby bezładne dudnienie dzwonu rozdarło ciszę. Zdawało mu się, że z każdym oddechem, z każdym uderzeniem pulsu ból szarpie i wstrząsa jego całym istnieniem jak tysiąc jednocześnie rozbrzmiewających dzwonów. Nie mógł już zdławić jęku. Zobaczył zadowolony, że ostrze znalazło się poniżej pępka. Dodało mu to odwagi.

Krew, jakby toczona miarowymi uderzeniami pulsu, tryskała z rany z coraz większym impetem. Na matę nasiąkniętą już czerwonymi strumieniami spływały strugi krwi, która zebrała się w fałdach spodni koloru khaki. Kropła krwi prysnęła i głucho spadła na jedwab okrywający kolana Reiko.

Ręka znalazła się wreszcie po prawej stronie brzucha, miecz tkwił już dość płytko, a nagle ostrze zaczęło prześwitywać spomiędzy warstw tłuszczu i krwi, gdy nagle porucznik, wstrząsany spazmem wymiotów, krzyknął zduszonym, chrapliwym głosem. Mdłości spotęgowały rozdzierający ból, a brzuch, dotąd mocno napięty, gwałtownie zafalował i przez szeroko rozwartą ranę chlusnęły uwolnione wnętrzności. Jelita, najwyraźniej nieświadome cierpień swego pana, z całym impetem, z niesmaczną wprost żywotnością wysunęły się na zewnątrz i wypełniły zagłębienie

nie między udami. Porucznik zwiesił głowę. Ramiona unosiły się wraz z ciężkim oddechem, rozchylone lekko powieki tworzyły wąskie szparki, z ust zwisała cienka nitka śliny. Nad barkami połyskiwały złocenia epoletów.

Krew była wszędzie. Przechylony na jeden bok, klęczał wśród krwi, podpierając się jedną ręką. Pokój przenikała mdła woń. Jego ramiona poruszały się gwałtownie w rytm ataków torsji wstrząsających raz po raz pochylonym ciałem. Ostrze miecza, wypchnięte przez wnętrzości i obnażone po sam czubek, spoczywało w mocno zaciśniętej prawej dłoni porucznika.

Trudno byłoby z czymkolwiek porównać obraz męstwa mężczyzny, który zebrał wszystkie siły i wyprostował się, odrzucając do tyłu głowę. Ruch był tak gwałtowny, że rozległ się wyraźny odgłos uderzenia o słup. Reiko, która do tychczas klęczała z opuszczoną głową, wpatrzona hipnotycznie w strumień krwi przybliżający się do jej kolan, zaskoczona tym odgłosem, podniosła oczy.

Twarz porucznika nie była już twarzą żywego człowieka. Oczy zapadnięte, skóra sucha, policzki i wargi, jeszcze niedawno tak piękne, miały teraz barwę zaschniętego błota. Tylko prawa ręka, ściskająca z największym wysiłkiem miecz, poruszała się niepewnym, błędzącym ruchem marionetki, rozpaczliwie próbując nakierować czubek miecza na nasadę szyi. Reiko wpatrywała się w męża podejmującego ten ostatni, najokrutniejszy i wciąż daremny wysiłek. Koniec miecza, połyskujący krwią i tłuszczem, raz po raz mierzył w szyję. I wciąż chybiał celu. Już nie stawało sił. Czubek miecza trafiał w kołnierz, zjeżdżał po naramiennikach. Mimo że haftki zostały odpięte, sztywny kołnierz wojskowego munduru zamykał się, broniąc dostępu do gardła.

Reiko nie mogła już znieść tego widoku, chciała podbiec do męża, ale nie mogła wstać z miejsca. Ruszyła na kolanach, czołgając się przez rozlaną krew. W jednej chwili jej biały strój zmienił kolor na czerwonobrunatny. Podeszła od tyłu do męża i pomogła mu przynajmniej tyle, że oswobodziła szyję z kołnierza. Drżący czubek miecza znalazł drogę do obnażonej szyi. Przez chwilę Reiko się zdało, że to ona pchnęła męża do przodu. Myliła się jednak. Był to ostatni zryw, zamierzony i wykonany przez niego samego. Rzucił się nagle ciałem na miecz, ostrze przeszło ciało na wylot, krew trysnęła potężnym strumieniem i porucznik zamarł w bezruchu. W świetle lampy wystający koniec miecza połyskiwał chłodnym, niebieskawym blaskiem.

W śliskich od krwi *tabi* Reiko wolno zeszła po schodach. Na piętrze zaległa już martwa cisza.

Włączyła światło na parterze, sprawdziła dopływ gazu, zamknęła główny zawór gazowy i zalała wodą resztki żarzących się węgli w piecyku *hibachi**. Zatrzymała się w czteroipółmadowym pokoju przed stojącym lustrem i uniosła poły kimona. Krew ozdobiła brzeg białej szaty śmiałym, jaskrawym deseniem. Siadła przed lustrem i wzdygnęła się, czując chłodną wilgoć na udach zmoczonych krwią męża. Oddała się nieśpiesznym zabiegom kosmetycznym. Nie szczędziła różu policzkom, wargi umalowała mocnym, intensywnym kolorem. Nie był to już makijaż przeznaczony dla męża. Malowała się dla świata, który pozostawi. I może dlatego pociągnięcia ręki były wyjątkowo śmiałe. Kiedy

* *Hibachi* – przenośny grzejnik na węgiel drzewny, dziś także na prąd, używany w tradycyjnych domach japońskich; często w formie dzbana z kamionki, czasami z metalu lub pnia drzewa.

wstała, mata przed lustrem była mokra od krwi. Reiko nie dbała o to.

Wracając z toalety, zatrzymała się na posadzce przy wejściu do domu. A więc dlatego mąż zaryglował drzwi poprzedniego wieczoru. Stała przez chwilę bez ruchu, roztrząsając w myślach błahy problem – zostawić zamek otwarty czy nie? Jeśli go zarygluje, może się zdarzyć, że sąsiedzi przez ileś dni nie odkryją samobójstwa. Niemiała jej była myśl, że ich ciała miałyby zostać znalezione w stanie rozkładu. Lepiej więc zostawić otwarte. Odryglowała zamek i lekko uchyliła drzwi oszklone matową szybą. W jednej chwili zimny wiatr wdarł się do środka. Na drodze pogrążonej w nocnej ciemności nie było śladu człowieka. Poprzez drzewa rosnące przy domu po drugiej stronie ulicy gwiazdy prześwitywały zimnym, migotliwym blaskiem.

Zostawiła odryglowane drzwi i weszła po schodach. Krzątała się już nieco po mieszkaniu, więc *tabi* przestały się ślizgać. Mniej więcej w połowie schodów jej nozdrzy dobiegła osobliwa woń.

Porucznik leżał w morzu krwi, twarzą do ziemi. Koniec miecza wystający z karku wydawał się jeszcze wyrazistszy. Reiko przeszła obojętnie przez kałużę krwi. Usiadła obok ciała męża i długo, z uwagą wpatrywała się w jego twarz, dotykającą jednym policzkiem maty. Oczy miał szeroko otwarte, jak gdyby z ciekawością przyglądał się czemuś. Otulając jego głowę rękawem kimona, uniosła ją, otarła wargi z krwi i złożyła na nich pożegnalny pocałunek.

Wstała i ze schowka w ścianie wyjęła nowy biały koc oraz tasiemkę. Owinęła się kocem i przewiązała biodra tasiemką, żeby poły kimona nie rozrzuciły się bezładnie. Usiadła mniej więcej o pół metra od zwłok męża. Zza pasa

kimona wyjęła sztylet, krytycznie przyjrzała się ostrzu i dotknęła go językiem. Wypolerowana stal miała słodkawy smak.

Reiko się nie ociągała. Na myśl o tym, że ból, który oddzielał ją przepaścią od umierającego męża, teraz stanie się jej udziałem, czuła tylko radość. Radość sprawiała jej świadomość, że wstąpi w świat, który był już światem męża. Zobaczyła w jego cierpiącej twarzy coś, czego nie mogła sobie wytłumaczyć. Za chwilę sama znajdzie odpowiedź na tę zagadkę. Czuła, że zbliża się pora, gdy pozna wreszcie gorycz i słodycz Wielkiej Sprawy, w którą on wierzył. Sama zakosztuje tego, czego mogła dotąd jedynie domyślać się poprzez doznania męża.

Dotknęła czubkiem sztyletu nasady szyi. Pchnęła. Za płytko. Poczowała, że gorąca fala zalewa jej głowę. Ręce zatrzepotały w popłochu. Pociągnęła ostrzem w bok. Ciepło wypełniło jej usta, oczy przesłoniła czerwień – obraz wzbierającej krwi. Zebrała siły i wbiła ostrze głęboko w gardło.

Śmierć w środku lata

„W pełni lata jeszcze bardziej porusza nas śmierć”

Charles Baudelaire, *Sztuczne raje*

Uzdrowisko nadmorskie A., położone niedaleko południowego cypla półwyspu Izu, to znakomite kąpielisko, jeszcze niezniszczone przez hordy wczasowiczów. Co prawda dno morskie pełne jest nierówności, a fale bywają dość gwałtowne, jednak krystalicznie czysta woda oraz wychodząca daleko w morze płycizna czynią z niego wymarzone miejsce dla plażowiczów.

Dzięki temu, że leży na uboczu głównych szlaków komunikacyjnych, miejscowość wolna jest od zgiełku typowego dla innych kąpielisk w rejonie Shōnan. Potrzeba aż dwu godzin jazdy autobusem, ażeby się tu dostać z miasta Itō.

Właściwie jedynym pensjonatem jest Eirakusō, które oferuje również domki do wynajęcia. Znajdziemy tam, na szczęście, tylko jedną czy dwie prowizorycznie sklecone budy z pamiątkami i napojami. Latem ich mnogość bardzo szpeci nadmorskie miejscowości. Plaża jest przepiękna, piasek jak pył miękki i biały, a mniej więcej pośrodku zbo-

cza prowadzącego na brzeg wyrasta nagle pochyłona ku morzu skała, nad którą góruje kilka sosen, zupełnie jakby to była dekoracja. Podczas przyływu skała znajduje się do połowy pod wodą. Widok, który się stąd roztacza, jest urzekający. Kiedy zachodni wiatr rozgoni mgły z powierzchni wody, oczom ukazują się położone niedaleko wybrzeża wyspy: Ōshima tuż na wprost, w pewnym oddaleniu Toshima, a pomiędzy nimi mała wysepka w kształcie trójkąta – Utoneshima. Na południu, za wychodzącym w morze skrawkiem lądu zwanym Nanago, widać przylądek Sakai, którym kończy się ciągnący się przez cały ten długi obszar górski grzbiet, jak gdyby zapuszczał swoje korzenie w morską toń. A jeszcze dalej przylądek zwany Pałacem Smoka Yatsu oraz przylądek Tsumeki, najbardziej na południe wysunięty cypel, gdzie co noc świeci latarnia morska.

Tomoko Ikuta zapadła w drzemkę w swoim pokoju w Eirakusō. Była matką trojga dzieci. Nikt by jednak w to nie uwierzył, patrząc na jej śpiącą sylwetkę, w nieco przykrótkiej lnianej sukience bladołososiego koloru, spod której widać było kolana. Pulchne ramiona, świeża, wypoczęta twarz śpiącej i lekko wydęte wargi tchnęły młodością. Było upalnie, na czole i w zagłębieniach u nasady małego noska zebrały się kropelki potu. Przy akompaniamencie głuchego, natrętnego brzęczenia much, w powietrzu nagrzanym jak wewnątrz rozpalonego dzwonu łososiowa sukienka opinająca brzuch to unosiła się, to opadała równo z oddechem, w rytmie oddającym ociężałość bezwietrznego popołudnia.

Większość gości pensjonatu wyszła nad morze. Pokój Tomoko znajdował się na piętrze. Pod oknem bieląta huśtawka dla dzieci. Na rozległym trawniku, o ponad ty-

siącmetrowej powierzchni, poustawiane były krzesła oraz stoliki, także pomalowane na biało, jak również tarcza z drążkami do rzucania kólkami do celu. Kółka leżały porozrzucone bezładnie na trawniku. W ogrodzie nie było nikogo. Od czasu do czasu rozlegało się buczenie jakiejś zabłąkanej pszczoły, ale natychmiast cichło zagłuszone dobiegającym zza żywopłotu odgłosem morskich fal. Tuż za ogrodzeniem zaczynał się sosnowy las, który ciągnął się aż do plaży i fal rozbijających się o brzeg. Pod hotelikiem płynął strumień, który, zanim wpadał do morza, jakby zatrzymywał nagle swój bieg i tworzył małe rozlewisko, gdzie każdego popołudnia stado kilkunastu gęsi z lubością taplało się, pożywiało i nawoływało niezbyt przyjemnym jazgotem.

Najstarszy syn Tomoko, Kiyō, miał sześć lat, córka Keiko – pięć, a najmłodszy syn, Katsuo, skończył trzy lata. Cała trójka poszła nad morze z Yasue, siostrą męża Tomoko. Kiedy Tomoko miała ochotę uciąć sobie drzemkę, mogła bez żadnych skrępowań poprosić szwagierkę o popilnowanie dzieci.

Yasue była starą panną. Kiedy przyszła na świat Keiko, Tomoko, po radzie z mężem, postanowiła ściągnąć ją z małego prowincjonalnego miasteczka do domu, w rezydencyjnej dzielnicy Dennen Chōfu w Tokio, gdzie państwo Ikuta mieszkali. Tomoko nie radziła sobie sama z opieką nad dziećmi.

Właściwie nie wiadomo, dlaczego Yasue nie wyszła za mąż. Nie olśniewała, być może, nadzwyczajną urodą czy wdziękiem, ale nie była bynajmniej brzydka. Tak długo odprawiała jednak swatanych jej kolejno kandydatów na męża, aż okazało się, że przekroczyła już wiek odpowiedni do zamążpójścia. Jej samej marzyło się życie w Tokio,

gdzie mieszkał brat, za którym tęskniła. Tymczasem rodzina nalegała, aby koniecznie wydała się za jakiegoś miejscowego notabla. Zaproszenie od bratowej nadeszło jak wybawienie.

Nie była szczególnie bystra, ale miała naprawdę dobry charakter. Do młodszej od siebie bratowej zwracała się jak do starszej siostry, nigdy nie zanedbując okazania należnego szacunku. Niemal pozbyła się już naleciałości dialektu z prowincji Kanazawa. Pomagała w pracach domowych i opiece nad dziećmi. Dzięki bratu ukończyła kurs krawiecki i sama szyła większość rzeczy dla siebie, jak również ubrania dla Tomoko i dzieci. Zdarzało się, że zatrzymywała się przed eleganckimi butikami na Ginzie, wyjmowała notatnik i przerysowywała wzory, nowinki mody, narażając się niekiedy na kwaśne miny, a nawet kąśliwe uwagi ze strony sprzedawczyń.

Na plażę wybrała się w modnie skrojonym zielonym kostiumie kąpielowym. Tego kostiumu nie szyła sama, kupiła go w domu towarowym. Przywiązywała wielką wagę do białej cery, typowej dla kobiet z północy kraju, i chroniła ją jak mogła przed opalenizną. Natychmiast po wyjściu z wody chowała się pod parasolem. Dzieci nad brzegiem wody budowały zamki z piasku, więc i Yasue zabawiła się, pokrywając swoje białe uda mokrym piaskiem. Piasek natychmiast wysychał i układał się w ciemne fantazyjne wzory, połyskujące małymi skrawkami muszelek. Jakby zdjęta trwogą, że nie da się go usunąć, energicznym ruchem ręki startła warstwę piasku z nóg. Mały, półprzezroczysty morski owad wyskoczył w popłochu z piachu i pognał przed siebie.

Z wyprostowanymi nogami, opierając się na łokciach, Yasue wpatrywała się w morze. Kłębiaste chmury wy-

pełniały niebo. W majestatycznej ciszy zdawały się pochłaniać dochodzące zewsząd odgłosy, łącznie z szumem fal.

Był szczyt lata. W promieniach ostrego słońca wyczuwało się niemal wściekłość.

Dzieciom znudziło się budowanie zamków. Ruszyły biegiem mielizną wzdłuż brzegu, rozbryzgując nogami wodę. Otrzeźwiona tym widokiem Yasue ocknęła się z zadumy, w jakiej przez chwilę była pogrążona, wstała i pobięła za dziećmi.

Nic groźnego jednak nie robiły. Bały się pomruku fal. Fale rozbijały się o brzeg, a następnie odpływały, pozostawiając w płytkich zagłębieniach małe wiry. Kiyō i Keiko z błyszczącymi oczami trzymali się za ręce, stojąc nieruchomo do połowy zanurzeni w wodzie, zafascynowani potęgą bijących fal, których napór musieli wytrzymać, oraz podwodnymi strumieniami piasku, które od spodu ciągnęły je za stopy.

– O, zupełnie jakby mnie ktoś chciał porwać! – wołał Kiyō do siostry.

Yasue podeszła do dzieci i ostrzegła, by dalej do wody nie wchodziły. Wskazała na Katsuo i zwróciła uwagę, żeby go nie zostawiały samego, tylko szybko wyszły na brzeg i bawiły się razem z nim. Ale Kiyō i Keiko w ogóle jej nie słuchali. Kiyō z rozbawieniem uśmiechał się porozumiewawczo do siostry, która trzymała go za rękę. Cieszyli się swoją małą tajemnicą, tymi raz po raz cofającymi się podwodnymi prądami, które, ciągnąc ku morzu, pozostawiały pod stopami strumyki piasku.

Yasue bała się słońca. Obejrzała ramiona i widoczne ponad wycięciem kostiumu piersi. Ich biel przypominała jej śnieg z rodzinnych stron. Czubkami palców lekko

uszczypnęła się w skórę powyżej biustu i uśmiechnęła się, gdy poczuła w rękach ciepło. Paznokcie były nieco za długie, pod nimi widać było ciemny piasek. Jak wróć do pokoju – pomyślała – będę je musiała przyciąć.

Nie widziała Kiyō i Keiko. Pewnie wyszli już z wody.

Gdy obejrzała się w stronę plaży, zobaczyła, że Katsuo stoi sam. Pokazywał coś zwrócony w jej kierunku, twarz miał wykrzywioną dziwnym grymasem.

Yasue poczuła nagle, że jej serce zaczyna bić gwałtownie. Spojrzała na wodę u stóp. Woda znowu odpłynęła i w odległości około dwóch metrów zobaczyła, jak w pianie morskiej, unoszone na powierzchni kołysze się małe jasnopopielate ciało. W ułamku sekundy dojrzała małe niebieskie kąpielówki Kiyō.

Czuła, że serce bije jej jeszcze mocniej. Bez słowa, jak ktoś osaczony, zaczęła przedzierać się w tym kierunku. Zobaczyła falę, która dziwnym trafem nie rozbiła się wcześniej, tylko wyrosła nagle tuż na wprost niej i załamała się na wysokości jej oczu. Uderzyła ją prosto w pierś. Przewróciła się, upadła do wody. Dostała ataku serca.

Katsuo się rozplakał, więc podbiegł do niego chłopiec, który stał w pobliżu. Kilka innych osób ruszyło biegiem w kierunku brzegu. Rozbryzgiwana stopami woda tryskała wokół opalonych na brąz ciał.

Dwie albo trzy osoby widziały, jak Yasue upadła. Przekonane początkowo, że za chwilę wstanie, nie zwróciły na to szczególnej uwagi. Takim wypadkom zwykle towarzyszy jednak jakieś przeczucie. Gdy nadbiegli, uświadomili sobie, chociaż wciąż nie dowierzając, że w tym upadku było coś niepokojącego.

Położono Yasue na rozpalonym piasku. Miała otwarte oczy i mocno zaciśnięte zęby, jak gdyby wciąż porażona

czymś, co widziała nad sobą. Ktoś zbadał jej puls. Był niewyczuwalny. Objawy wskazywały na zgon. Ktoś, kto widział ją wcześniej, rzucił:

– Tak, wiem, to mieszkanka Eirakusō.

Poproszono go, by wezwał właściciela. Chłopiec z wioski, dumny, że zlecono mu tak ważne zadanie, pobiegł w kierunku pensjonatu po rozpalonym piasku, tak szybko jak tylko mógł, ażeby przypadkiem nikt mu nie odebrał tej zaszczytnej misji.

Nadszedł właściciel. Miał około czterdziestki, nosił biały wyciągnięty podkoszulek i krótkie spodenki, brzuch miał opasany wełnianym, postrzępionym pasem. Przekonywał, że najpierw należy przenieść kobietę do hotelu i dopiero tam udzielić jej pierwszej pomocy. Ktoś z zebranych oponował. Sprzeczka jeszcze trwała, gdy dwaj młodzi ludzie podnieśli Yasue za ręce i nogi i ruszyli przed siebie. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą leżała, pozostał odcisnięty w mokrym piasku kontur ludzkiego ciała. Katsuo, nie przestając pochlipywać, ruszył za nimi. Ktoś go zauważył i wziął sobie na plecy.

Tomoko przerwano drzemkę. Właściciel wprawnym ruchem doświadczonego człowieka obudził ją, delikatnie potrząsając za ramię. Uniosła głowę i zapytała, o co chodzi.

– Wie pani, kobieta imieniem Yasue...

– Co się stało Yasue?!

– Właśnie udzielamy jej pierwszej pomocy. Lekarz powinien być lada chwila.

Tomoko zerwała się i razem z szefem czym prędzej wybiegła z pokoju. W ocienionym kącie ogrodu, na trawniku przy huśtawce leżała Yasue, a na niej siedział okrakiem prawie nagi mężczyzna. Robił jej sztuczne oddychanie.

Z boku dwoje ludzi próbowało rozniecić ogień ze słomy i rozwalonych skrzynek po mandarynkach. Płomień zaraz przechodził w dym, bo drewno, przemoknięte deszczem poprzedniej nocy, w ogóle nie chciało się zająć. Dym leciał ku twarzy Yasue, więc trzeci mężczyzna rozpedzał go wachlarzem.

Podczas prób reanimacji podbródek Yasue poruszał się miarowo to w górę, to w dół i mogło się wydawać, że odycha. W świetle przedostających się między drzewami promieni słonecznych widać było pot spływający strużką po opalonych plecach siedzącego okrakiem mężczyzny. Białe kobiece nogi, rozrzucone na trawie, były pulchne i bladocięte. Sprawiały wrażenie obojętnych, jak gdyby w ogóle dystansowały się od desperackiej walki, która toczyła się w górnej partii ciała. Tomoko przysiadła na piętach na trawie.

– Yasue! Yasue!

Płacząc, wyrzucała z siebie nieskładne zdania.

– No i co z nią będzie? Jak to się mogło stać? Co ja powiem mężowi?

Jej twarz naraz stężała.

– A dzieci?

– O, zobacz, tu jest mama.

Rybak w średnim wieku, trzymając Katsuo na rękach, wskazał na kobietę. Mały wyduł wargi, sprawiał wrażenie wystraszonego. Tomoko spojrzała w ich stronę i podziękowała mężczyźnie za zaopiekowanie się dzieckiem.

Na miejscu był już lekarz, który przejął inicjatywę przy sztucznym oddychaniu. Tomoko nie była w ogóle w stanie myśleć. Jej policzki były rozpalone od płomieni ogniska. Mrówka pełzała po jej twarzy. Tomoko zgmiotła ją z całej siły i wyrzuciła precz. Po chwili kolejna mrówka roz-

poczęła wspinaczkę od trzęsących się włosów ku uszom. Tę również zgmiotła. Zabijanie mrówek stało się jej zajęciem.

Sztuczne oddychanie kontynuowano jeszcze przez cztery godziny. Gdy pojawiły się symptomy stężenia pośmiertnego, lekarz kazał zaprzestać prób. Ciało przykryto prześcieradłem i wniesiono na piętro. W pokoju było zupełnie ciemno, więc ten, który miał wolne ręce, pobiegł naprzód, wyprzedzając niosących ciało i zapalił światło.

Tomoko była skrajnie wyczerpana. Spłynęło na nią słodkie uczucie pustki. Nie odczuwała smutku. Przypomniała sobie o dzieciach i spytała:

- A dzieci?
- Pod opieką Gengo, w świetlicy na dole.
- Cała trójka?
- Hmm...

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

Tomoko, odepchnąwszy ich, wyleciała z pokoju i zbiegła po schodach. Rybak Gengo siedział w bawełnianym letnim kimonie na kanapie i przeglądał z Katsuo książkę z obrazkami. Chłopiec miał na sobie kąpielówki, a na wierzch ktoś włożył mu dużą, jak dla dorosłego, koszulę. Katsuo nie patrzył w książkę, rozglądał się z roztargnieniem dokoła.

Gdy Tomoko weszła do środka, mieszkańcy pensjonatu, którzy wiedzieli już, co się stało, przestali się wachlować i jak jeden mąż spojrzeli w jej stronę.

Tomoko rzuciła się ku Katsuo, usiadła i spytała ze złością:

- Gdzie Kiyō i Keiko?

Katsuo wpatrywał się ze strachem w twarz matki. Pochlipując, zachłystując się, wykrztusił.

– Kiyō... Keiko... Bul, bul...

Tomoko, boso, jak stała, pobiegła nad morze. Igły kłuły ją w stopy, gdy biegła piaszczystą ścieżką przez sosnowy las w stronę plaży. Był przyływ i woda dochodziła aż do podnóża nadmorskiej skały. Ażeby dostać się na brzeg, Tomoko musiała najpierw na nią wejść. Dalej rozciągał się bezmiar białego piasku. Widoczność była znakomita. Na tle wieczornego morza samotnie krzywo sterczał plażowy parasol w biało-żółte pasy. Należał do niej.

Reszta towarzystwa dogoniła ją na plaży. Jak nieprzytomna biegła tam i z powrotem wzdłuż linii, gdzie rozbiły się fale. Ktoś próbował objąć ją i zatrzymać. Wyszarpnęła się z irytacją.

– Czy wy nic nie rozumiecie? Tam zostało dwoje dzieci!

Wśród tych, którzy nadbiegli, byli tacy, którzy nie słyszeli od Gengo, co się wydarzyło, i byli przekonani, że kobieta oszalała.

To wprost niepojęte, że w ciągu tych czterech godzin, kiedy zajmowano się Yasue, nikt nie zwrócił uwagi na nieobecność dwojga dzieci. Mieszkańcy pensjonatu zawsze widzieli, że trójka dzieci bawi się razem. Trudno też uwierzyć, że pomimo ogromnego poruszenia żadne przeczucie nie kazało matce zaniepokoić się o los ukochanych dzieci.

Tak bywa, że nieszczęśliwy wypadek wywołuje zbiorową psychozę sprawiającą, że nikt nie jest w stanie wyłamać się z kręgu jednakowych skojarzeń. W takiej sytuacji nie jest łatwo formułować myśli na przekór utartym sądom. Tomoko, wyrwana z popołudniowej drzemki, najwyraźniej przyjęła bezkrytycznie opinię, którą jej przekazano, i bez zastrzeżeń uznała ją za własną.

Przez całą noc palono nad wodą ogniska w odległości kilku metrów od siebie. Co pół godziny młodzi ludzie nurkowali w poszukiwaniu ciał. Aż do samego rana Tomoko nie schodziła z plaży. Z napięcia, a może też dlatego, że spała zbyt długo w ciągu dnia, nie była senna.

Nastał świt. Na polecenie lokalnego dowództwa obrony cywilnej nie zarzucono tego dnia sieci.

Słońce wstawało zza gór po lewej stronie wybrzeża. Poranny wiatr smagał policzki Tomoko. Tego ranka wschód słońca zdejmował ją lękiem. Domyślała się, że światło poranka ukaże przebieg zdarzeń w całej jaskrawości i dopiero teraz wypadek stanie się czymś realnym.

– Może by pani poszła trochę odpocząć? – zaproponował któryś ze starszych uczestników akcji.

– Jeśli coś znajdziemy, obudzimy panią, a na razie proszę nam zaufać. Niechże się pani zdrzemnie.

– Tak, tak. Koniecznie.

Oczy właściciela pensjonatu były przekrwione po nieprzespanej nocy.

– Nie daj, Boże, aby na domiar złego jeszcze pani miała się rozchorować! Niech pani sobie tylko wyobrazi, co pocznie w Tokio mąż szanownej pani.

Myśl o spotkaniu z mężem budziła w Tomoko przerażeniem. Czuła się tak, jakby miała stanąć przed sądem. Spotkanie czekało ją jednak nieuchronnie. Jego nadejście odbierała jak kolejne zbliżające się nieszczęście.

Zdobyła się wreszcie na odwagę i postanowiła nadać depeszę. Był to też dobry pretekst, aby wrócić do hotelu. Z podniecenia wydawało się jej, że wszyscy nurkujący pokazywali ją sobie palcami.

Ruszyła z powrotem i obejrzała się. Morze było spokojne. Na powierzchni wody przy brzegu ślizgały się białe-

srebrzyste światełka. Wyskakiwały do góry ryby. Wydawały się niemal odurzone radością. Tomoko pomyślała, że spotyka ją niesprawiedliwość.

Jej mąż, Masaru Ikuta, miał trzydzieści pięć lat. Jako absolwent Tokijskiego Uniwersytetu Języków Obcych jeszcze przed wojną zatrudnił się w amerykańskiej firmie handlowej. Świetnie znał angielski i był wysoko kwalifikowanym pracownikiem. Raczej małomówny, całą energię poświęcał pracy. Niedawno został mianowany przedstawicielem amerykańskiej firmy samochodowej na Japonię. Wraz ze stanowiskiem przysługiwał mu, po części w charakterze reklamy firmy, samochód, a także miesięczna pensja w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy jenów. Ponieważ zdarzało mu się ponadto korzystać z pewnych tajnych funduszy firmy, rodzina nie musiała sobie niczego odmawiać. Stać było Ikutę na utrzymanie Tomoko, Yasue, jak również opłacenie gosposi do dzieci. Nie było żadnego powodu, aby zredukować o troje liczbę domowników.

Tomoko zdecydowała się raczej na telegram niż na telefon, ponieważ bała się rozmowy z mężem. Treść depešy przekazano mu telefonicznie, jak było w zwyczaju w willowych dzielnicach na obrzeżach miasta. Właśnie wychodził do biura. Nie przywiązując do tego większej wagi, podniósł słuchawkę w stołowym, przekonany, że to sprawa służbowa.

– Pilny telegram z uzdrowiska A. do pana – usłyszał głos kobiety z urzędu pocztowego. W sercu poczuł niepokój. – Czytam treść, można? „Yasue nie żyje. Kiyō i Keiko zaginęli. Tomoko”.

– Proszę powtórzyć.

Za drugim razem tekst nie chciał brzmieć inaczej. „Yasue nie żyje. Kiyō i Keiko zaginęli. Tomoko”. Zrazu zirytowany, po chwili poczuł się tak, jakby bez najmniejszego powodu i bez uprzedzenia otrzymał w pracy wymówienie. Odłożył słuchawkę, wzbierała w nim złość.

Powinien już wyruszyć samochodem do pracy. Zadzwoił natychmiast i powiadomił, że nie przyjdzie dziś do biura. Pomyślał najpierw, że pojedzie do A. własnym samochodem. Nie czuł się jednak na tyle pewnie, by w takim stanie psychicznym samemu prowadzić wóz długą i niebezpieczną drogą. Zresztą całkiem niedawno miał wypadek samochodowy. Ostatecznie zdecydował, że pojedzie do Itō pociągiem, a stamtąd weźmie taksówkę.

Dziwne i niejasne jest to, jak dociera do nas myśl o nagłych wypadkach, jak toruje sobie ona drogę do świadomości człowieka. Nie wiedząc jeszcze dokładnie, co się zdarzyło, wychodząc z domu, Masaru wziął ze sobą większą sumę pieniędzy. Wypadki zazwyczaj bywają kosztowne.

Kazał się zawieźć taksówką na dworzec Tokio. Nie doznawał teraz żadnych szczególnych emocji. Czuł się trochę jak oficer śledczy, który udaje się na miejsce zdarzenia. Przeraziła go myśl, że w obliczu nieszczęścia, tak osobiście go dotyczącego, dominuje w nim ciekawość, przemożna chęć racjonalnego wyjaśnienia tego, co się zdarzyło.

Mogła przecież zadzwonić. Tak, boi się rozmowy ze mną. Mężowska intuicja go nie myli. Zresztą mniejsza z tym. Najważniejsze to pojechać samemu i na miejscu zorientować się, co się stało.

Widok z okna taksówki wskazywał, że wjeżdżali do centrum. Gęsty tłum przechodniów ubranych na biało sprawiał, że w to letnie przedpołudnie ulice wydawały się

jeszcze bardziej rozświetlone. Drzewa rosnące wzdłuż kra-
węźników rzucały pionowo intensywny cień. Jaskrawe,
biało-czerwone żaluzje u wejść hotelowych były mocno
napięte. Ostre słoneczne promienie wyglądały jak złote
sztabki spoczywające na tych żaluzjach. Świeża ziemia,
wykopana podczas dopiero co rozpoczętych robót drogo-
wych, zdążyła już przybrać burą barwę.

Rzeczywistość, która go otaczała, była jak najzwyczaj-
sza. Nic wielkiego się nie zdarzyło; gdyby chciał, mógłby
wyobrazić sobie, że i jemu nic się nie wydarzyło. Poczuł
dziecinną pretensję do świata. W jakimś nieznanym mu
miejscu, bez jego najmniejszego udziału dzieje się coś, co
go nagle odrywa i rzuca nie wiadomo dokąd.

Kiedy się jedzie do Itō przez Atami, można, jak wiado-
mo, przesiąść się na pociąg lokalnej linii Shōnan. W po-
wседневni dzień, w południe, nie było najmniejszych proble-
mów z kupieniem miejscówki.

Z nawyku, jakiego nabrał, pracując w zagranicznej fir-
mie handlowej, miał na sobie marynarkę i krawat. Męskie
perfumy zabijały wprawdzie przykry zapach, ale Masa-
ru czuł, jak strużki potu spływają mu po plecach i po bo-
kach.

Nikogo z towarzyszących mu pasażerów nie dotknęło
takie nieszczęście – pomyślał. Myśl ta przeniosła go nagle
o poziom wyżej albo o poziom niżej – Masaru nie był pe-
wien – od jego zwykłego „ja”. Sprawiała, że znalazł się
w innym, odrębnym świecie. Czuł się kimś szczególnym,
odmiennym od pozostałych. Uczucia tego nigdy wcześniej
nie doświadczył. Urodzony jako drugi syn w bogatej rodzi-
nie na prowincji, zamieszkał u wuja w Tokio, dziś już nie-
żyjącego, i odebrał staranne wykształcenie. Rodzina hojnie
łożyła na jego utrzymanie, więc biedy nigdy nie zaznał.

Podczas wojny powołany został do urzędu informacji, dzięki czemu ominął go werbunek do armii. Poślubił pannę z dobrego tokijskiego domu i założył nową gałąź rodu. A kiedy wojna się skończyła, nieoczekiwanie otrzymał lukratywne stanowisko. Miał o sobie i swoich zdolnościach bardzo dobre mniemanie i uważał, że na tle tego, co wokół siebie widział, los traktował go łaskawie. Nigdy jednak dotąd nie doświadczył takiego uczucia, jakby należał do innego gatunku i uważał się z tego powodu za coś lepszego lub gorszego od innych.

Tak jak mężczyzna urodzony z wielkim fioletowym znamieniem na plecach odczuwa od czasu do czasu potrzebę, żeby stanąć przed wszystkimi i wykrzyknąć: „Słuchajcie, wy o tym nie wiecie, ale ja mam ogromną, siną plamę na plecach!”, tak samo Masaru miał ochotę zwrócić się do swoich współpasażerów i zawołać: „Nie macie państwo o tym pojęcia, ale właśnie dziś, za jednym zamachem straciłem dwoje z trojga moich dzieci oraz siostrę!”.

Naraz opuściła go pewność siebie. Ach, żeby tylko dzieciom nic się nie stało! A może żona pomyliła się i napisała Kiyō zamiast *kyō* („dziś”)? I zamiast po prostu powiedzieć, że się zgubili, ze zdenerwowania wyszło jej w telegramie, że „zaginęli”. Tak, następny telegram, z poprawionym tekstem, z pewnością dotarł już do pustego mieszkania. Uzmysłowił sobie, że, zaabsorbowany sobą, bardziej przejmuje się swoją reakcją niż tym, co się stało. Wyrzucał sobie, że przed wyjściem nie zadzwonił od razu do Eirakusō i nie dowiedział się, co tam się dzieje.

Plac przed dworcem w Itō tonął w oślepiającym świetle. Stał tam nieduży, podobny do policyjnej budki, kantor firmy taksówkowej. W środku tej zbitej z desek klatki słońce prażyło niemiłosiernie. Przyczepione na zewnątrz papierki

z telefonami taksówek do wynajęcia były zeschnięte od słońca i zwinęły się w rulonik.

– Ile za kurs do kąpieliska A.? – zapytał.

– Dwa tysiące jenów.

Mężczyzna w służbowej czapce z daszkiem na głowie miał szyję owiniętą ręcznikiem. Nieproszony, czy to z uprzejmości wobec klienta, czy też dlatego, że nie palił się do roboty, udzielił Masaru dodatkowej informacji.

– Jeśli się panu bardzo nie śpieszy, taniej wyjdzie autobusem. Odjeżdża za pięć minut.

– Śpieszę się. Dostałem wiadomość, że zmarł ktoś z rodziny.

– Aa, właśnie słyszałem o tej historii. To ktoś z pańskiej rodziny tam się utopił? Okropny wypadek. Kobieta i dwoje dzieci, tak za jednym zamachem. No, no.

Od upału zakręciło mu się w głowie. Umilkł i przez całą drogę nie odezwał się do kierowcy ani razu.

Widoki wzdłuż szosy łączącej Itō z kąpieliskiem A. nie wyróżniały się niczym szczególnym. Samochód to wspinał się, to opadał po zakurzonej górskiej drodze. Morza prawie nie było widać. Na wąskich odcinkach szosy, kiedy taksówka mijala się z innym samochodem, gałęzie i liście przydrożnych drzew z hałasem przypominającym łoskot skrzydeł spłoszonych ptaków uderzały w uchylone okno, bezlitośnie obsypując piachem i grubym żwirem starannie wyprasowane spodnie Masaru.

Zamyślił się nad tym, jaką powinien przyjąć postawę wobec żony. Miał wątpliwości, czy w tej sytuacji, kiedy żaden ze znanych mu dotąd stanów uczuciowych nie był odpowiedni, „naturalna postawa” w ogóle wchodziła w grę. Może właśnie „postawa nienaturalna” byłaby tu bardziej na miejscu.

Taksówka zbliżała się do A. Stary rybak z koszem wypełnionym świeżo złowionym ostrobokiem na ramionach stanął z boku na zabłoconej trawie, przepuszczając samochód. Najwidoczniej szedł od strony łowiska na wschodnim cyplu wybrzeża Nakauma. Morze w tych stronach obfituje latem w ostroboki, *isaki*, kalmary, płastugi, a okoliczne pola słyną z uprawy mandarynek, pomarańczy i grzybów *shiitake*.

Taksówka wjechała przez starą bramę ze szerniałego drewna na podwórze Eirakusō. Kiedy podjeżdżała do wejścia, ze środka, głośno stukając chodakami, wybiegł na powitanie właściciel.

– Nazywam się Ikuta.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Gospodarz nisko skłonił głowę. Masaru zapłacił kierowcy, podziękował właścicielowi i wsunął mu do ręki tyśiącjenowy banknot.

Tomoko i Katsuo przenieśli się do pokoju sąsiadującego przez ścianę z pomieszczeniem, gdzie stała trumna z ciałem Yasue. Ciało obłożono suchym lodem, sprowadzonym z Itō. Wszystko było przygotowane do kremacji, czekano jedynie na przyjazd Masaru.

Masaru wyprzedził o krok właściciela pensjonatu i odsunął ruchomą ściankę prowadzącą do pokoju. Tomoko, która leżała na sofie, odwróciła twarz ku wchodzącym i zerwała się na nogi. Nie spała.

Włosy miała nieuczesane, jej hotelowa bawełniana *yukata* była w nieładzie. Niczym więźniarka, zebrała poły okrycia i z pokorną gracją przysiadła na klęczkach. Uczyniła to tak zwinnie, że mogło przyjść na myśl, iż gest ten był obmyślany zawczasu. Spojrzała ukradkiem na męża i, zgięta w pół, zaniosiła się szlochem.

Masaru krępował się w obecności kierownika pensjonatu dotknąć dłonią ramienia żony. Byłoby to jeszcze gorsze, niż gdyby obcy ludzie mieli podejrzec ich w intymnej sytuacji w sypialni. Zdjął marynarkę i rozglądał się za jakimś wieszakiem. Tomoko, jakby przyglądała się tej scenie, wstała, zdjęła z belki nad progiem pomalowany na niebiesko wieszak i powiesiła przepoconą marynarkę męża. Masaru siadł obok Katsuo, który, słysząc płacz matki, obudził się, lecz nie wstawał. Ojciec posadził go sobie na kolana. Zdumiało go, jak wiotkie może być ciało dziecka. Chłopczyk był bezwolny jak kukielka. Mógł wręcz powątpiewać, czy trzyma w ramionach żywą istotę.

Tomoko, płacząc w kącie pokoju, wypowiedziała słowa, na które czekał Masaru.

– Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Z tyłu pochlipywał właściciel.

– Proszę pana, nie chcę się wtrącać w nie swoje sprawy, ale bardzo proszę, niech pan będzie wyrozumiały dla małżonki. To nie była pani wina. To się stało akurat wtedy, kiedy pani się zdrzemnęła.

Masaru miał uczucie, jak gdyby już kiedyś uczestniczył w takiej scenie albo gdzieś o niej czytał.

– Rozumiem, rozumiem.

Poruszając się jakby wedle ustalonego schematu, wstał z dzieckiem na ręku, podszedł do żony i położył jej dłoń na ramieniu. Gest ten wykonał bez żadnego wysiłku.

Tomoko jeszcze gwałtowniej zaniósła się płaczem.

Następnego dnia znaleziono ciała dwójki dzieci. Wszyscy członkowie służby cywilnej nurkowali na przemian na całej długości plaży, aż je wreszcie znaleźli. Leżały zanurzone w wodzie na wprost górującej nad plażą skały. Mor-

skie żyjątko opływały ciała, podskubując je to tu, to tam. Kilka z nich znalazło sobie schronienie w małych dziecięcych nozdrzach.

Wypadek taki jak ten śmiało usprawiedliwiłoby nieliczenie się z konwenansami, a jednak ludzie, zwłaszcza w tak krańcowych sytuacjach, tym większą odczuwają potrzebę trzymania się ustalonego obyczaju. Małżonkowie z całą skrupulatnością dopełniali wszelkich obowiązujących rytuałów towarzyskich, przyjmując wizyty kondolencyjne i nie zaniedbując rewizyt w podzięcie za słowa pociechy i dary.

Jak to zwykle bywa, śmierć wymaga zabiegów urzędowych. Mieli tyle spraw na głowie! Masaru zwłaszcza, jako głowa rodziny, nie miał nawet, bez przesady, czasu, żeby się smucić. Małemu Katsuo natomiast wydawało się, że nieprzerwanie trwa dziwny festyn, w którym dorośli odgrywają jakieś przedstawienie.

Uporali się wreszcie ze żmudną mitręgą, towarzyszącą wydarzeniom losowym. Pieniężne dary kondolencyjne osiągnęły całkiem pokaźną kwotę. Jest przyjęte, że są one wyższe wtedy, gdy głowa rodu i jego finansowa podpora pozostaje przy życiu, niż kiedy to właśnie ją się żegna.

I Masaru, i Tomoko rozumieli, że muszą „wziąć się w garść”. Tomoko nie była w stanie pojąć, jak to możliwe, że przeżywając taką tragedię, która śmiało mogłaby doprowadzić na skraj obłędu, udaje się mimo wszystko sprostać wymagającym pełnej mobilizacji obowiązkom. Z uprzejmą miną uczestniczyła w posiłkach, chociaż nie umiałaby nawet określić smaku tego, co jadła.

To, co ją naprawdę dręczyło, to perspektywa spotkania

z rodzicami Masaru, którzy mieli przyjechać z Kanazawa. Przyjechali do Tokio dokładnie na czas, by zdążyć na pogrzeb. Czuła się fatalnie. Znowu wydusiła z siebie „nie mam słów na swoje usprawiedliwienie”, po czym zaczęła wyżywać się na swoich rodzicach, którzy także zjechali z prowincji. Tak jakbym była roztargnioną gosposią, która się zagapiła i dzieci wpadły do wody.

– Sami powiedzcie, komu powinni najbardziej współczuć. Czy to nie ja straciłam dwoje dzieci? Tymczasem wszyscy milcząco mnie oskarżają. To moja wina, ja muszę za wszystko przeproszać. Przecież to Yasue z nimi była. Ma szczęście, że nie żyje. Dlaczego nikt nie chce zrozumieć, że to ja ucierpiałam? W końcu to ja straciłam dwoje dzieci!

– Odgrywasz się na innych. Kto ciebie oskarża? Nie widziałaś, jak pani Ikuta płakała i mówiła, że najbardziej jej żal ciebie?

– Tak się tylko mówi.

Bez widocznego powodu Tomoko była obrażona na cały świat. Czuła się jak ktoś, czyje zasługi zostały niedocenione, kto został niezasłużenie zdegradowany, komu stała się krzywda. Wydawało się jej, że taka tragedia daje jej jakieś nadzwyczajne uprawnienia, a tymczasem musiała w kółko usprawiedliwiać się pokornie przed teściową. Teraz sama miała o to do siebie pretensje. Jak małe dziecko, nie mogąc sobie poradzić z własnym oburzeniem i rozdrażnieniem, dokuczliwym jak swędząca wysypka, wylewała nagromadzone żale przed własną matką.

Nie zdawała sobie z tego sprawy, jak trudno jest pogodzić się z emocjonalnym ubóstwem człowieka. Jak może rozsądny człowiek oczekiwać, że śmierć jednego człowieka czy nawet dziesięciu osób wywoła coś więcej niż kilka

przelanych łez? Czy ilość wylanych łez może być miernikiem uczuć? Kogo widzą w niej obcy, kiedy patrzą na nią swoimi oczami? A jaką frustrację ona sama odczuwa, ilekroć próbuje wejrzeć w siebie, i w żaden sposób nie potrafi pojąć istoty własnej, niedającej się z niczym porównać rozpacz.

Sama się dziwiła, że się nie załamała. Że nie zemdląła w tym skwarze, mimo iż przez ponad godzinę stała w żałobnym stroju. Za każdym razem, gdy tylko wydawało się jej, że traci przytomność, przywracało ją do rzeczywistości wciąż żywe uczucie niewyrażalnej, porażającej grozy śmierci.

– Jestem bardziej wytrzymała, niż się wydawało, prawda? – Obróciła zapłakaną twarz ku matce.

Uświadomiła sobie, że nie odczuwa już smutku po śmierci Yasue. Jako osoba z gruntu dobra, nie miała do niej żalu, ale jeśli mimo wszystko odczuwała coś zbliżonego do pretensji, to dlatego, że asystując przez cztery godziny przy ratowaniu swojej szwagierki, zapomniała w krytycznej chwili o dzieciach.

Zrobiło jej się trochę przykro, gdy Masaru w rozmowie z rodzicami uronił łzę, litując się nad biedną Yasue, która odeszła z tego świata w staropanieńskim stanie.

Ciekawę, kto dla niego ważniejszy, dzieci czy siostra? – zapytała w duchu.

Była w stanie pełnej gotowości. Wiedziała, że powinna się przespać po nocnym czuwaniu, ale nie mogła zasnąć. Mimo to czuła się dobrze, nie miała nawet śladu migreny. Była w świetnej formie i czuła, że jej głowa pracuje znakomicie.

Składający kondolencje nie przestawali okazywać troski

o jej zdrowie. Zdarzyło się jej stracić cierpliwość i zareagować nieco opryskliwie.

– Nie troszczcie się o mnie. Mnie już wszystko jedno, czy żyję, czy umarłam.

Myśli o samobójstwie czy obłędzie były jej obce. Katsuo stanowił dla niej, przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości, najlepsze uzasadnienie, by żyć nadal. Kiedy jednak obserwowała syna, któremu panie w żałobnych strojach czytały książeczki z obrazkami, przyszło jej kilkakrotnie na myśl, że jej przekonanie o tym, jak to dobrze, że jednak pozostała przy życiu, bierze się albo z braku odwagi, albo z uczuciowego uwięźdu. W takie noce, przytulona do męża, wpatrywała się szeroko otwartymi jak u zająca oczami w krąg światła, które rzucała lampka przy łóżku, i jak gdyby zeznając, powtarzała:

– Tak, to była jednak moja wina, mój brak odpowiedzialności. Mogłam przewidzieć, że Yasue sama sobie nie poradzi, a mimo to powierzyłam jej trójkę dzieci.

Jej głos był głuchy jak wołanie, kiedy sprawdzamy, czy echo niesie się w górach.

Masaru wiedział, co oznacza to samobiczowanie się. Żona oczekiwała jakiejś kary. Kary tej, można by rzec, pożądała.

Czternaście dni po śmierci odprawiono uroczystość żałobną i życie wróciło wreszcie do normy. Wielu znajomych przekonywało ich, że właśnie teraz powinni wyjechać gdzieś razem z dzieckiem i wypocząć. Jednak sama myśl, że miałyby się udać w góry, nad morze albo do gorących źródeł, przejmowała Tomoko trwogą. Była przesądna i wierzyła, że nieszczęścia chodzą parami.

Któregoś wieczoru późnym latem Tomoko zabrała Katsuo i poszła z nim do centrum na Ginzę. Umówiła się

z mężem, że spotkają się po jego pracy i razem pójdą coś zjeść.

Synek był rozpieszczony, nie odmawiała mu niczego. I matka, i ojciec byli opickuńczy aż do granic absurdu. Obchodzili się z dzieckiem jak ze szklaną laleczką. Na przykład, kiedy musieli przejść przez ruchliwą ulicę, matka najpierw rozglądała się nerwowo, upewniając się, że samochody i ciężarówki zatrzymały się na światłach, i dopiero wówczas przebiegała na drugą stronę, kurczowo trzymając Katsuo za rękę.

Niesprzedane stroje kąpielowe zalegały wystawy i straszły Tomoko. Przyspieszyła kroku, przechodząc przed sklepem, gdzie kątem oka dojrzała na wystawie manekin ubrany w zielony kostium, do złudzenia przypominający ten, który nosiła Yasue. Starła się nie patrzeć, więc po chwili zastanowienia uznała, że manekin był chyba bez głowy, miał tylko tułów. A może, przeciwnie, właśnie miał głowę? Tak, przypominała pośmiertną twarz Yasue, z zamkniętymi oczami i mokrymi, splątanymi włosami. Wszystkie manekiny udawały topielców.

Oby to lato wreszcie się skończyło. Samo słowo budziło w niej skojarzenie ze śmiercią i zniszczeniem. W oślepiającym świetle późnego lata czuła odór gnicia.

Było jeszcze trochę czasu do umówionego spotkania, więc wstąpili do domu towarowego. Zostało zaledwie pół godziny, może nieco więcej do zamknięcia. Katsuo koniecznie chciał zobaczyć dział zabawek, więc pojechali na drugie piętro. Przeszli bardzo szybko obok stoiska z artykułami plażowymi dla dzieci. Matki z wypiekami na twarzy grzebały w stosach precenionych dziecięcych kąpielówek i kostiumów. Jedna z matek uniosła granatowe majteczki wysoko w kierunku okna, przez które wpadały

promienie zachodzącego słońca. Światło odbijało się od metalowej klamki i ostro świeciło w oczy. Z jakim zapachem wybierają całuny – pomyślała Tomoko.

Ledwie Katsuo dostał od mamy klocki, zażądał, by pojechali windą na dach. W ogrodzie urządzonym na szczycie budynku panował miły chłód. Dość silny wiatr od strony morza trzepotał markizami.

Przez metalową siatkę, ponad dachami miasta, rozciągał się widok aż po most Kachidoki, nabrzeże Tsukishima i towarowe statki kołyszące się na redzie w portowej zatoce.

Nim się spostrzegła, Katsuo, uwolniwszy się spod opieki matki, już stał przed małpą w klatce. W jednej chwili Tomoko stanęła opiekuńczo za nim. Małpa, być może z powodu wiatru, wydawała bardzo silny zapach. Marszcząc czoło, z bardzo poważną miną, bacznie się przyglądała matce z synem. Trzymając się troskliwie jedną ręką za pośladki, przeskoczyła naraz na sąsiednią gałąź. Przyglądając się jej podstarzałej twarzy, Tomoko ujrzała sterczące z boku przybrudzone uszy, pokryte prześwitującymi czerwonymi żyłkami... Nigdy jeszcze nie zdarzyło się jej tak dokładnie obserwować zwierzęcia.

Obok klatki był sztuczny staw z nieczynną fontanną pośrodku. Wokół ceglanego murku rosły w rabatkach peonie. Chłopiec w wieku Katsuo przechodził po murku okrążającym fontannę. Rodziców nie było w zasięgu wzroku.

– Obyś wpadł! Obyś wpadł do stawu i utonął!

Tomoko z wszystkich sił wpatrywała się w niepewny krok chłopca. Chłopiec się nie przewrócił. Obszedł staw dookoła, spostrzegł, że jest bacznie obserwowany, i dumny ze swego wyczynu, uśmiechnął się do Tomoko. Nie od-

wzajemniła uśmiechu. Miała wrażenie, że chłopiec z niej drwi.

Tomoko złapała Katsuo za rękę i szybko zjechała z dzieckiem na dół.

Podczas posiłku, przerywając przedłużające się nieprzyjemnie milczenie, Tomoko odezwała się:

– Widzę, że czujesz się wybornie. Tak jakby ci w ogóle nie było smutno.

Masaru, zaskoczony, rozejrzał się wokół po sąsiednich stolikach.

– Czy ty nie rozumiesz? Nie widzisz, że staram się jak mogę dodać ci otuchy?

– Obejdę się. Wcale nie trzeba mi dodawać otuchy.

– A to już skrajny egoizm z twojej strony. Nie wydaje ci się, że należałoby oszczędzić Katsuo ponurych przeżyć?

– I tak zostałam już zdyskwalifikowana jako matka.

Całą kolację diabli wzięli.

Masaru zajmował coraz bardziej defensywną postawę wobec rozpaczliwej żony. Mężczyzna ma pracę. Znajduje w pracy odprężenie. Tymczasem Tomoko pielęgnowała w sobie smutek. Ten jej niezmienny, konsekwentny smutek czekał na niego za każdym razem, gdy wracał do domu. W końcu zaczął wracać coraz później i później.

Tomoko zaprosiła gosposię, która kiedyś u niej pracowała, i oddała jej wszystkie ubranka oraz zabawki Kiyō i Keiko. Jej dawna pokojówka miała dzieci w podobnym wieku.

Któregoś ranka obudziła się nieco później niż zazwyczaj. Masaru, który poprzedniej nocy znowu wrócił pijany, spał zwinięty w kłębek po swojej stronie szerokiego łóżka małżeńskiego. Powietrze było przesycone odorem przetrwanego alkoholu. Mąż obrócił się na posłaniu, zaskrzy-

biały sprężyny materaca. Zostało im jedno dziecko, więc Tomoko, chociaż wiedziała, że to niewskazane, kazała wstawić dziecinne łóżeczko Katsuo do ich sypialni na piętrze. Przez podwójną warstwę białej moskitiery nad ich łóżem i drugiej, nad łóżeczkiem obok, widziała twarz odychającego miarowo, pogrążonego we śnie syna. Miał taki nawyk, że we śnie wykrzywił buzię w podkówkę.

Tomoko wyciągnęła rękę spod moskitiery, żeby odciągnąć zasłony. W rozgrzanej ze snu dłoni z przyjemnością odczuła twarde w dotyku sznur, okryty koncpnym materiałem. Zasłony lekko się uchyliły. Rozświetlone od spodu szerokie liście rosnącego przed ich oknem drzewa błękitnej paulowni, z nakładającymi się na nie cieniami wydawały się jeszcze bardziej mięsiste i miękkie niż zazwyczaj. Głośno świergotały wróble. Zawsze rano po przebudzeniu świergotały, nawołując się z wszystkich sił, po czym milkły i rządkiem zaczynały swoje pochody rynną pod dachem. Twardy, bezładny stukot ptasich łapek przenosił się raz na jeden kraniec rynny, raz na drugi, tam i z powrotem. Tomoko bezwiednie uśmiechnęła się.

Był błogi poranek. Świadoma, że jej się to nie należy, nie mogła jednak nie poddać się tej błogości. Leżała nieruchomo, z głową wtuloną w poduszkę. Czuła, jak fala szczęścia wypełnia jej ciało.

Nagle się opamiętała. Dotarło do niej, dlaczego była w takim radosnym nastroju. Tej nocy po raz pierwszy nie śniły jej się zmarłe dzieci. Dotąd ukazywały się jej każdej nocy bez wyjątku, a tym razem żadnych takich snów, prócz jakichś niepoważnych drobiazgów.

Kiedy to sobie uświadomiła, wpadła w popłoch i przynębienie z powodu swojej beztroski i zapomnienia. Rozpłakała się, prosząc dusze dzieci o przebaczenie. Masaru

obudził się i patrzył z boku na zapłakaną twarz żony. W miejsce zwykłego udręczenia wyczuł w jej płaczu coś innego, jakiś spokój.

– Znowu ich widziałaś, prawda?

Oszczędziła sobie trudu wyjaśniania i skłamała.

– Tak.

Teraz jednak, kiedy powiedziała nieprawdę, miała żal do męża, że nie płacze razem z nią. Gdyby zobaczyła w jego oczach łzy, być może uwierzyłaby we własne kłamstwo.

Z wolna zaczęło ogarniać ją zwątpienie, czy jako małżeństwo byli przygotowani do przyjęcia tak straszliwego wyzwania. Jeśli nawet wypadek był w sposób oczywisty dziełem przypadku, to przecież im się on nie należał. Stopniowo nabierała przekonania, że przekracza jej siły zatrzymanie w pamięci wiernego obrazu tego, co się stało. Czyż nie powinni, jak wszyscy, z ufnością wyrzucić wszystko z pamięci? I natychmiast, zła na siebie za własną słabość, próbowała wzniecić w sobie gniew taki sam, jaki odczuwała zawsze, gdy starsi ludzie rzucali na pocieszenie maksymy w rodzaju: „Ach, wszystko to wola nieba!”, budząc tym jej gwałtowny sprzeciw. Zaczęła dociekać, skąd brał się ten gniew, ten bunt. Chodziło zapewne o lęk przed pogodzeniem się z losem. Wobec zmarłych mamy zwykle poczucie, że jesteśmy im coś winni. I choć głupotą jest robienie sobie poniewczasie wyrzutów, że za ich życia nie zrobiło się tego lub tamtego, jest też prawdą, że to jedyny sposób, w jaki człowiek może oddać zmarłym ostatnią należną im posługę. Pragniemy sprowadzić śmierć do rzędu ludzkich zdarzeń, ująć ją w ramy dramatu z ludzkiego świata.

Tomoko doświadczyła aż w nadmiarze wyrzutów sumienia oraz rozczarowań, ponieważ nie umiała płakać

i okazywać smutku, w głębi jednak była przekonana, że nie grozi jej rezygnacja. Zaczęły ją natomiast osaczać poważne wątpliwości innej zgoła natury. Nabrała przekonania, że w całym tym nieszczęściu tkwiło coś z gruntu fałszywego. Coś strasznie podejrzanego. Jakieś bluźnierstwo przeciw ich dotychczasowemu, niczym niezagrożonemu życiu rodzinnemu. Perfidna złośliwość wobec wszystkich chwil szczęśliwości, które przeżyli. Było w tym wypadku coś zasadniczo nieludzkiego, co odróżniało go od zwyczajnej śmierci albo pospolitego morderstwa. Jakby w całym jego przebiegu od momentu, gdy się wydarzył, aż do całkowitego zakończenia, nie było nic, co przypominałoby zdarzenie z normalnego, ludzkiego świata...

Przejął ją lęk, że łzy i rozpacz były daremne. Lato miało się ku końcowi. Tak bardzo pragnęła, aby się skończyło, a teraz nawet i tego się lękała. Kiedy lato odejdzie, nie będzie go przez rok. A kiedy lata nie będzie, to może uwierzy, że i tamten wypadek się nie wydarzył...

Masaru tymczasem miał takie usposobienie, że rzeczy, których nie pojmował, po prostu dla niego nie istniały. Jeśli zdarzyło się, że jego charakter uległ pewnej zmianie, to chyba wtedy tylko, gdy jechał taksówką do kąpieliska A. Minęło już jednak nieco czasu i doszło do tego, że gotów był nawet pomyśleć z uznaniem, iż notatka prasowa na temat nieszczęścia, jakie dotknęło jego rodzinę, została zupełnie nieźle sformułowana. Czytając, miał jedno tylko zastrzeżenie – podając wiek Yasue, pomylili się o trzy lata. Nie szukał powodów, by się smucić. Ten z natury zdrowy mężczyzna rozpacz odczuwał tak samo, jak się odczuwa głód. I tak jak jedząc, zaspokajał apetyt, rozpacz koił, roniąc łzy.

Pod względem próżności Masaru z pewnością przewyż-

szął swoją żonę. Sprawiało mu satysfakcję, że inni widzą go jako niešťczęśliwego, pogrążonego w żałobie ojca. Obraz obdarzonego licznymi talentami, zaradnego człowieka, którego dotyka nieszczęście, miał w sobie coś pozytywnego, ponieważ osłabiał ludzką zawiść, a w dodatku dodawał mu szczególnego wdzięku człowieka mocnego, ale niepozbanionego pewnych słabości.

Buntując się przeciwko uzurpowaniu sobie przez żonę monopolu na smutek, zaczął wychodzić, by pić. Chociaż wracał późno, alkohol najwyraźniej nie sprawiał mu przyjemności. Dostarczała mu nawet dobrego samopoczucia świadomość, że dyscyplinuje go wewnętrzny cenzor, który, włączając się automatycznie, nie pozwalał na beztruską zabawę i koł wyrzuty.

Nabrał ostatnio zwyczaju kupowania w dródze powrotnej do domu upominku dla Katsuo. Nigdy o tym nie zapominał. Chłopcowi niczego nie brakowało, wszystkie jego zachcianki natychmiast spełniano i sam już nie wiedział, czego jeszcze mógłby chcieć. Efekt był taki, że stawał się coraz bardziej bezwolny i popadał w otępienie. W końcu niczego już nie pragnął. Rodzice zaczęli poważnie martwić się o jego zdrowie.

Minęły uroczystości żałobne przypadające czterdzieści dziewięć dni po śmierci. Małżonkowie nabyli miejsce na cmentarzu Tama. Miał to być pierwszy grób tej gałęzi rodziny męża i pierwsze prochy tam właśnie miały spocząć. Po naradzie Masaru i jego rodzina postanowili powierzyć Tomoko opiekę nad dziećmi także na tamtym świecie i postanowili, że po śmierci jej prochy spoczną w tym samym miejscu.

Obawy Tomoko się nie sprawdziły, z upływem czasu jej smutek nabierał jeszcze większej intensywności. Kiedyś

wybrali się razem z dzieckiem, żeby obejrzeć miejsce na cmentarzu. Była już wczesna jesień. Przez trzy z górą lata nic poważnego pomiędzy małżonkami się nie wydarzyło, bo też i nie mogło się wydarzyć. Rozpacz sprawiła jednak, że oboje, choć każde na swój sposób, spoważnieli. Wyczuwało się to szczególnie, kiedy udzielali się towarzysko. W oczach znajomych byli tak bardzo ze sobą utożsamiani, że ich głęboki związek tłumaczono sobie wspólną potrzebą zachowania powagi.

Dzień był prześliczny, upały minęły bezpowrotnie.

Pamięć sprawia, że w naszej świadomości wydarzenia nierzadko układają się tak, jakby biegły w czasie równoległe, a czasami nakładały się na siebie. Tomoko doświadczyła tego dwukrotnie w ciągu jednego dnia. Może za sprawą przezroczystego niemal powietrza i promiennego światła najgłębsze zakamarki jej duszy aż po sferę nieświadomości zostały wydobyte na światło i również stały się półprzezroczyste.

Mniej więcej na dwa miesiące przed tragedią Masaru miał wypadek samochodowy. Nie odniósł wprawdzie żadnych obrażeń, ale odkąd zginęły dzieci, Tomoko nigdy już nie wsiadała do samochodu męża, jeżeli zabierała ze sobą Katsuo. Tego dnia Masaru również miał razem z nimi jechać pociągiem.

Akurat wysiadali na stacji M., ażeby przesiąść się na lokalny pociąg, który jechał na cmentarz Tama. Masaru wziął Katsuo na ręce i wyszedł pierwszy, a Tomoko wysiadła za nimi. Było sporo wysiadających, Tomoko wyszła w ostatniej chwili, tuż przed zamknięciem się automatycznych drzwi wagonu. Usłyszała ostry gwizd i kącikiem oka zobaczyła zamykające się za nią drzwi. Natychmiast, niemalże krzyżąc, rzuciła się do tyłu i zaczęła mocować

z drzwiami, próbując rękami je przytrzymać. Była przekonana, że w wagonie zostawiła Kiyō i Keiko.

Masaru zaniepokojony, że z żoną dzieje się coś niedobrego, wziął ją za ramię. Rzuciła harde spojrzenie mężowi niczym kobieta zatrzymana na oczach tłumu przez agenta policji. Ale już w następnej chwili doszła do siebie i zaczęła gorączkowo tłumaczyć się mężowi ze swego przywidzenia. Masaru poczuł się nieswojo. Zachowanie żony odebrał jako egzaltację. Ale czy słusznie na ten emocjonalny odruch, wywołany potrzebą zatrzymania pamięci w jakimś zachowaniu lub geście, zareagował z takim rozdrażnieniem? Przecież Tomoko rozpaczliwie, choć może nieudolnie próbowała tylko dać znać, z jakim trudem dźwiga brzemię życia.

Mały Katsuo był zachwycony staromodnym parowozem, który wioził ich w stronę cmentarza. Miał fantazyjny komin w kształcie trąby i wydawał się nienaturalnie ogromny, jak gdyby poruszał się na szczudłach. Maszynista opierał się łokciem o drewniany parapet kabiny, osmalony, jakby był z węgla. Wreszcie, jęcząc, wzdychając, zgrzytając zębami, parowóz ruszył ku byle jakim ogródkom i poletkom typowym dla podmiejskiej okolicy.

Tomoko była zdziwiona pogodną atmosferą cmentarza w Tama, który odwiedziła po raz pierwszy. To zmarli mają aż tyle miejsca dla siebie? I te zadbane trawniki, te rzędy zielonych drzew, te przestronne alejki. A nad głową ten cudowny błękit nieba. Miasto umarłych jest o wiele bardziej uporządkowane i staranniej utrzymane niż miasto żywych. Nie mieli dotąd żadnego powodu, by zetknąć się z tym miejscem. Dzisiejsza wizyta, do której zrządzeniem losu doszło, mimo wszystko nie sprawiała im przykrości.

Ani Masaru, ani Tomoko nie mieli szczególnych skłonności do myślenia w kategoriach religijnych, a mimo to wi-
zja świata, w którym wszystko naznaczone jest jakimś
mrocznym fatalizmem, dawała im pewne poczucie bez-
pieczeństwa. Gwarantowała stabilność, ułatwiała życie,
a nawet dostarczała szczególnego rodzaju przyjemności.
Zdołali już oswoić się z myślą o śmierci i tak jak ludziom,
którzy pogodzili się ze swoim upadkiem, nic już nie jest
straszne, tak i dla nich życie toczyło się, nie niosąc żadnych
zagrożeń.

Działka, którą nabył Masaru, znajdowała się dość daleko
od bramy głównej, więc zanim w trójkę dotarli na miejsce,
przeszli spory kawał i nieźle się spocili. Z zainteresowaniem
przyglądali się mijanym po drodze nagrobkom. Rzucili
okiem na grób admirała T. Roześmieli się na widok jakiegoś
nowobogackiego nagrobka w beznadziejnym guście,
ozdobionego kawałkami lustra.

Do uszu Tomoko dotarł stłumiony odgłos późnych, je-
siennych cykad. Poczwała aromat dymu z kadzideł przemie-
szany ze świeżym zapachem listowia i traw pod drzewami.
Trzymała emocje na wodzy.

– Miło tu. Kiyō i Keiko będą mieli gdzie się bawić i nie
będą się nudzić. Nie mogę oprzeć się myśli, że będzie im
tu dobrze. Dziwna jestem, prawda?

Katsuo był spragniony. Na skrzyżowaniu alejek stała
wysoka brązowa wieża. Z góry sączył się strumyk wody,
pozostawiając czarne wilgotne plamy na betonowych schod-
kach otaczających budowlę. Gdzieś w połowie wysokości
fontanny było ujęcie wody do picia. Dzieci szalały. O ścia-
nę wieży oparły siatki na kijach, z którymi biegały za ważka-
mi, piły wodę, opryskiwały się, zatykając palcem kran,
miały świetną zabawę. Od czasu do czasu jakiś pojedynczy

strumyk wymykał się gdzieś w bok, rysując w powietrzu wielobarwny, tęczyowy łuk.

Ich syn miał taki temperament, że gdy tylko miał na coś ochotę, natychmiast przechodził do działania. Skoro zachciało mu się napić wody, nie było sposobu, by go od tego odwieść. Nikt nie trzymał go za rękę, więc rzucił się biegiem. Matka ostrym głosem zawołała:

– Dokąd to?!

– Napić się wody! – odkrzyknął, nie przerywając biegu. Matka rzuciła się za nim i z całych sił złapała go za ramiona.

– Boli! – krzyknął przerażony. Zdawało mu się, że jakiś straszny potwór dopadł go od tyłu i próbuje spętać.

Tomoko przykucnęła na kłującym żwirze i obróciła dziecko ku sobie. Katsuo patrzył na ojca, który stał zdumiony parę kroków dalej, pod zielonym żywopłotem.

– Nie będziesz pił tamtej wody, zrozumiałeś? Mamy tu naszą, specjalnie wzięłam. – Zaczęła odkręcać zakrętkę od termosu, który wystawał z kolorowej torby przytrzymywanej kolanami.

Dotarli na swoją niewielką działkę. Był to nowy rewir cmentarza położony za rzędem nagrobków i porośnięty z rzadka wątlymi bukszpanami. Po chwili okazało się jednak, że drzewka były sadzone planowo wedle ustalonego porządku. Prochów nie przeniesiono jeszcze ze świątyni i nie złożono w grobie rodzinnym, toteż drewniane plakietki z imionami zmarłych nie zostały wetknięte. Ot, po prostu mały, płaski skrawek ziemi, odgrodzony sznurem.

– Cała trójka spocznie tutaj w jednym miejscu – powiedział Masaru.

Jego uwaga nie wywołała w Tomoko tragicznych wspo-

nień. A więc możliwe jest – myślała – że zdarzają się rzeczy tak nierzeczywiste, które nie mają prawa się wydarzyć. Niechby w morzu utonęło jedno dziecko, rozumiem, każdy jest w stanie pojąć, że coś takiego może się zdarzyć. Ale trójka? To farsa. A gdyby to było, powiedzmy, dziesięć tysięcy? A, to znowu co innego. W każdej przesadzie jest element groteski, ale już na przykład w kataklizmach przyrody albo w wojnach w ogóle nie ma nic śmiesznego. Śmierć pojedynczego człowieka jest poważna i podniosła, tak jak śmierć miliona jest czymś poważnym i podniosłym. Wystarczy jednak, że odrobinę przekroczymy miarę i farsa gotowa.

W gruncie rzeczy Tomoko miała dotychczas problem z ogarnięciem skali nieszczęścia. Dlatego z rozmyślań o nim wyłączała niekiedy śmierć Yasue, kiedy indziej znów wolała myśleć o utracie Kiyō i Keiko, jak gdyby była to śmierć bliźniąt. Tego rodzaju mechaniczne ćwiczenia, w zetknięciu z widokiem miejsca zdarzenia, w którym ponownie się znalazła, zmusiły ją do refleksji. Złękała się nawet, czy w swojej rozpaczce nie dopuszcza się jakiejś niewierności. Mimo że w tamtym szczęśliwym, beztroskim życiu, jakie wcześniej wiodła, obce jej było wyróżnianie któregoś z dzieci, co nieświadomie robią czasem matki, zaczęły ją naraz dręczyć rozterki natury moralnej. Jeśli kiedyś gotowa była wierzyć w matczyzny altruizm, teraz, pogrążona w rozpaczce, nie bardzo mogła uwierzyć, że istnieje bezinteresowna miłość. Smutek to najbardziej egoistyczne z uczuć. I chociaż starała się, przez przywoływanie na pamięć i Kiyō, i Keiko, odczuć coś w rodzaju zespolonego smutku, prowadziło to jedynie do tego, że jej smutek stawał się bardziej abstrakcyjny.

– Cała trójka! Cóż za absurd! Cała trójka! – Tomoko

wyrzucała z siebie. Jak na jedną rodzinę to stanowczo za wiele, z punktu widzenia społeczeństwa – garstka. W dodatku były to samotne śmierci indywidualnych ludzi i w niczym nie przypominały skojarzeń, jakie budzą śmierć na polu bitwy albo śmierć na posterunku. Zagadka liczby nie dawała spokoju skołowanej, po kobiecemu skupionej na sobie Tomoko. W odróżnieniu od żony Masaru, istota społeczna, uzmysłowił sobie w którymś momencie, że warto może spojrzeć na wszystko tak, jak patrzy na to ktoś z zewnątrz.

Tomoko doświadczyła ponownie tego samego, co poprzednio, doznania nakładania się czasu, które wywołuje płatająca figle pamięć. Stali właśnie przed budynkiem stacyjnym. Do przyjazdu pociągu mieli jeszcze około dwudziestu minut. Katsuo zapragnął zabawki w kształcie borsuka, jakie sprzedawano w kioskach przy dworcu. Zrobione z podpalanej watoliny w kolorze borsuczej sierści, miały przyprawione uszy, oczy i ogonek i zwisały na nitkach nad stoiskiem.

- Patrz, jakie urocze! Mają tu jeszcze te stare zabawki!
- Widocznie dzieci wciąż je lubią.
- Przecież ja jeszcze się nimi bawiłam, jak byłam mała!

Tomoko kupiła zabawkę, odebrała paczuszkę od starej kobiecinki i podała Katsuo. Chwilę później przyłapała się na tym, że rozgląda się po innych stoiskach, jakby szukając wzrokiem czegoś do kupienia. Rozglądała się za jakimś stosownym upominkiem z podróży dla Kiyō i Keiko, którzy zostali przecież sami i pilnowali domu.

- O co chodzi? – zapytał Masaru.
- Nie wiem, co się dziś ze mną dzieje. Pomyślałam, że muszę kupić prezenty dla pozostałych dzieci.

Uniosła pulchne ramiona i zaciśniętymi dłońmi brutalnie pocierała czoło od powiek po skronie. Jej nozdrza zadrdzały, jakby miała się za moment rozplakać.

– Idź i kup. No weź, kup to – nalegał Masaru prawie błagalnym głosem. – Postawimy w domu na ołtarzyku. No, proszę.

– Nic z tego. Tak nie można. Musiałabym naprawdę wierzyć, że żyją. – Dotknęła chusteczką nosa. – My tu sobie żyjemy, a oni są martwi. – Czuła, że dopuszcza się okropnego wykroczenia. Jakież to okrutne być żywym!

Rozejrzała się jeszcze raz. Ogarnęła wzrokiem czerwone reklamowe chorągiewki nad przydworcowymi restauracjami i barami, lśniąca bloki białego granitu poukładane w piramidy przed warsztatami kamieniarskimi, wyżej, na wysokości piętra, kratowane przesuwane ścianki oprawione w wypłowiały papier, dachówki pokrywające domy, błękit nieba przejrzysty prawie jak porcelana, lekko ciemniejący o zmroku. Jak wyraźnie wszystko widać – pomyślała. W tym okrutnym odczuwaniu życia jest głęboki, przyprawiający o zawrót głowy spokój.

Jesień postępowała, życie rodzinne dzień po dniu odzyskiwało spokój. Smutek, oczywiście, nie opuszczał małżonków. W miarę jak żona odzyskiwała równowagę, Masaru, który coraz częściej przebywał w domu i okazywał coraz więcej ciepłych uczuć Katsuo, wracał teraz wcześniej z pracy. Nawet wtedy, gdy po zaśnięciu syna rozmowa dochodziła na smutny temat, który zazwyczaj starali się omijać, przynosiło im to pocieszenie.

W miarę jak okrutne zdarzenie było oswojane i wtapiało się stopniowo w ich powszednie życie, pojawił się inny rodzaj trwogi pomieszanej ze wstydem, jakby byli

przekonani, że dopuścili się strasznej zbrodni, która już nigdy nie miała wyjść na jaw. A przy tym trójka nieobecnych ciągle tkwiła w ich świadomości, co w jakiś dziwny sposób wzbogacało ich i dawało im oparcie.

Nikt nie postradał zmysłów, nikt nie popełnił samobójstwa. Nikt się nawet nie rozchorował. Wydawało się pewne, że ten straszny wypadek minął niemal bez śladu. Nadszedł moment, kiedy Tomoko zaczęła się nudzić. Zachowywała się, jakby coś miało się wydarzyć. Przez dłuższy czas odmawiali sobie wszelkich przyjemności, nie chodzili do teatru ani na koncerty. Znudzona Tomoko zaczęła tłumaczyć sobie, że przecież po to właśnie stworzono rozrywki, by niosły pocieszenie strapionym. Małżonkowie dostali bilety i poszli na koncert sławnego skrzypka, który przyjechał na tournée do Japonii. Katsuo musiał zostać sam w domu. Trochę dlatego, że nie mieli wyjścia, ale też dlatego, że Tomoko zapragnęła przejechać się na koncert samochodem męża.

Jej toaleta trwała bardzo długo. Wiele czasu zajęło doprowadzenie do ładu włosów, które od dłuższego czasu były zaniedbane. Kiedy wreszcie była gotowa, odbicie własnej twarzy w lustrze obudziło w niej wspomnienie dawno zapomnianych przyjemności. Z czym da się porównać radość zapomnienia towarzyszącą wpatrywaniu się we własne odbicie? Zapomniała, jaką przyjemnością jest przeglądanie się w lustrze. Dlatego zapewne, że rozpacz, skupiająca z samolubną zachłannością uwagę na sobie, odbiera człowiekowi radość zapomnienia.

Przymierzała po wielekroć różne kimona i dobierała pasy *obi*. W końcu zdecydowała się na wykwintne jedwabne kimono w tonacji fioletowej i ręcznie tkany brokatowy

pas. Masaru, który czekał, siedząc na miejscu kierowcy w samochodzie, oniemiał z wrażenia, kiedy zobaczył piękną postać wychodzącej z domu żony.

W foyer przyciągała powszechną uwagę. Masaru był dumny jak paw. Tomoko czuła jednak, że pięknie wyglądać to za mało. Dawniej, gdyby zdołała przyciągnąć tyle spojrzeń, wzbudzić takie zainteresowanie, wracałaby do domu pełna szczęścia. Jeśli teraz nie potrafiła cieszyć się swoim powodzeniem, to chyba dlatego – próbowała sobie tłumaczyć – że nie udało się jej wyleczyć ze smutku, o czym przekonywała się szczególnie dotkliwie w miejscach gwaru i zabawy. Prawda jednak była taka, że w ten sposób ujawniało się trudne do określenia poczucie krzywdy po śmierci dzieci, że sposób, w jaki ją traktowano, nie ma się nijak do ogromu doznanego nieszczęścia.

Muzyka ją rozrzewniła, przechadzała się ze smętną miną po holu sali koncertowej, odkloniła się napotkanej znajomej. Wyrazy współczucia, które jej przekazała, dobrze harmonizowały z wyrazem twarzy Tomoko. Znajoma przedstawiła jej młodego człowieka, swego towarzysza. Ten, nieświadomy tego, co się zdarzyło, nie złożył oczywiście Tomoko kondolencji, tylko z miejsca podjął banalną konwersację, wtrącając przy okazji dwie, trzy kąśliwe uwagi pod adresem solisty.

Co za niewychowany smarkacz! – pomyślała, oglądając się za czarną młodzieńczą czupryną, która oddalała się w tłumie. Ani słowa pocieszenia. I niech mi nie mówi, że nie zauważył, jaka byłam smutna.

Mężczyzna był wysokiego wzrostu i wyróżniał się w tłumie. Kiedy lekko się obrócił, Tomoko zauważyła jego brwi, roześmiane oczy, niesforny kosmyk włosów opadający na

czoło. Widać było jedynie sam czubek uczesania jego partnerki.

Zdjęła ją zazdrość. Czyżby oczekiwała ze strony mężczyzny jakichś zupełnie innych, specjalnych słów? Na myśl o tym aż zatrzęsała się w swoim poczuciu przyzwoitości. No nie, jak takie absurdalne przypuszczenie mogło mi w ogóle przyjść do głowy? Mnie, Tomoko, która nigdy nie była rozczarowana swoim mężem.

– Nie chce ci się pić? – Masaru pożegnał się ze znajomym i podszedł do żony. – Mają tam jakąś oranżadę.

Ludzie przy bufecie trzymali w rękach przechylone butelki z żółtawym napojem i wystającą słomką. Tomoko przyglądała się im przez chwilę w typowy dla krótkowidzów sposób, podejrzliwie marszcząc brwi. Nie czuła pragnienia. Przypomniał jej się dzień, kiedy byli na cmentarzu, a potem nie pozwoliła Katsuo napić się wody z fontanny i zamiast tego podała mu przegotowaną wodę, którą wzięła ze sobą. To może być groźne nie tylko dla Katsuo. W takiej cieczy o barwie drożdży muszą się kryć całe miliardy szkodliwych mikrobów.

Po tym koncercie Tomoko trochę bez umiaru zaczęła gonić za rozrywką. Było coś mściwego w tej desperackiej potrzebie zabawy. Bynajmniej nie szukała przygód pozamałżeńskich, nie o to chodziło. Gdziekolwiek się wybierała, była zawsze z mężem i czuła się z nim dobrze.

Jej sumienie krążyło wciąż wokół zmarłych. Kiedy wracała z zabawy i Katsuo leżał już w łóżku ułożony do snu przez pokojówkę, wpatrywała się w jego śpiącą twarz, przywoływała z pamięci śpiące twarze nieżyjących dzieci. W takich momentach bezlitośnie samobiczowała się za to, że z takim zapamiętaniem oddawała się zabawie. Mogło

się wręcz zdawać, że to pragnienie użycia miało służyć nieustannemu pobudzaniu wyrzutów sumienia.

Obowiązki zawodowe niekiedy zmuszały Masaru do zajmowania się cudzoziemcami. Zapraszał ich wówczas na kolacje do dyskretnych, ekskluzywnych lokali. Tak jak przed wypadkiem Tomoko znowu zaczęła towarzyszyć mężowi, gdy ten podejmował gości. Całkowicie ich oczarowywała. Rozbawiona, jakby uczestniczyła w jakimś spektaklu, spełniała powinności małżonki z jeszcze większym oddaniem i gościnnością niż w beztroskich czasach poprzedzających dramatyczne zdarzenie.

– Znakomicie opanowałaś sztukę zabawiania gości – komplementował ją mąż.

– Najważniejsze to zdać sobie sprawę, że uczestniczy się w przedstawieniu, prawda? Paradoksalnie, w czasach, kiedy naprawdę sprawiało mi to przyjemność, musiałam wyglądać na wyjątkowo opryskliwą i niegościnną.

Niedziele spędzali zwykle z Katsuo, zabierając go a to do zoo, a to na wycieczki. Tak bardzo mu dogadzali, że szybko zaczął zdradzać cechy rozpieszczonego dziecka. Rodzice jednak przymykali na to oko. Pokładając wszystkie nadzieje w przyszłości syna, padli ofiarą złudzenia, że cokolwiek służy jego pomyślności, jest usprawiedliwione. Trzeźwe podejście demonstrowane przez pedagogów wydawało im się czymś niepoważnym.

Masaru, zatroskany fikcją żony na punkcie strojów, liczył na to, że Tomoko da się może wciągnąć w naukę na przykład jakichś tradycyjnych sztuk, ona jednak nie zdradzała najmniejszych w tym kierunku inklinacji. W próbach znalezienia zapomnienia takimi zużytymi sposobami wyczuwała jakieś żałosne samooszukiwanie się. Trudno jej było rozbudzić w sobie zapał dla rozrywek. Raczej ude-

rzała ją ich pustka, zachęty zaś i namowy potęgowały jedynie poczucie próżni.

Nie bardzo wiedząc, czego naprawdę pragnie, zaczęła rozglądać się za nowymi zajęciami i widowiskami. W czasie nieobecności męża zaczęła wychodzić z domu, a na towarzyski wędrówek wybierała swoje dawne szkolne koleżanki, które akurat nie miały innych zajęć. Jedna z nich szalała na punkcie aktorek występujących w męskich rolach w przedstawieniach rewii kobiecej. Mimo że uważała to za niemądre, umawiała się na wspólne posiłki w gronie żon, wielbicielek gwiazd.

Jej znajoma obsypywała przedmiot swego uwielbienia prezentami, czerpiąc z tego nadzwyczajną przyjemność. Lubiała potem, w największej tajemnicy, zwierzać się Tomoko z tej niewinnej rozrzutności.

Czasami odwiedzali aktorkę w garderobie. Ubrana w biały męski frak, siedziała z podkurczonymi nogami na wytwornych jedwabnych poduszkach. Wokół na ścianach wisiały przygotowane do następnych odśłon stroje, tym razem w stylu hiszpańskim, u wejścia zaś tłoczył się zbity tłum wielbicielek. Nie odzywając się ani słowem, z zapartym tchem połykały wzrokiem obiekt uwielbienia, starając się nie stracić z oczu nawet najmniejszego poruszenia gwiazdy.

Tomoko nie lubiła dziewczęcej rewii. Dlatego chyba – sądziła – że zarówno na scenie, jak i na widowni większość stanowiły dziewice. Były oczywiście wyjątki, jak choćby panie domu, z którymi się przyjaźniła. Z pewnością dotyczyło to jednak aktorek. Ta grająca mężczyznę aktorka w białym fraku z pewnością jest dziewczycą. Nie ma nic do stracenia ani do zyskania. Jedyłą jej troską, gdy tak z lusterkiem w ręku poprawia sobie cienkimi palcami szminkę,

jest, aby jak najwierniej wcielić się w tę nie swoją postać mężczyzny. Tak jak publiczność, tak i ona ma jakieś własne wyobrażenie mężczyzny. Gdzieś poza sferą iluzji to dwa wyobrażenia schodzą się, tworząc psychologiczny efekt, który później, na użytek reklamy, zwykło się nazywać marzeniem.

Doświadczenie, jakie przyniosło jej życie, a także jej marzenia sprawiały, że nie mogła patrzeć na to wszystko bez irytacji i zniecierpliwienia. Ona została pozbawiona marzeń inaczej niż każda przeciętna kobieta. Jej marzenia miały inny wymiar, były niewzruszone i określały jej świat znacznie mocniej niż marzenia tych niedoświadczonych dziewczyc. Były też zapewne bardziej „romantyczne”.

To ciało wydało na świat dzieci – rozmyślała Tomoko. – Czy można zdruzgotać czyjeś marzenia okrutniej niż zabierając mu jego dzieci? I co może na ten temat wiedzieć którakolwiek z tych pań?

Nagle zapragnęła mieć jeszcze jedno dziecko. I chociaż na nic się jeszcze nie zanosilo, bardzo chciała, żeby to była dziewczynka... Bawiło ją, kiedy stawała razem z Keiko przed lustrem i zachęcała ją, aby dorosłym gestem robiła sobie makijaż. Tak jak kota nie trzeba uczyć, by polubił suszoną rybę *katsuo*, podobnie dziewczynki mają wrodzone zamiłowanie do pudru i szminki. Keiko, naśladując matkę, malowała sobie kredką usta, po czym zwilżała wargi językiem. „Wcale mi nie smakuje” – mówiła przy tym. Nauczyła się nazwy: „mleczko kosmetyczne”. Kiedyś pokazano jej w przedszkolu kwiat goździka i zapytano, co to takiego. Odpowiedziała z manierą małej kobietki: „To mleczko kosmetyczne, prawda?”. Znała tytuły piosenek, chwaliła się przed matką pieśniami, które zasłyszała od jednego z młodszych wujów, niegdyś na służbie w mary-

narce. Popisywała się przed matką: „Umiem już zaśpiewać *Patriotyczny marsz z lampionami* i *W pościgu za tuńczykiem*, a nawet *Światła hotelu*, wiesz...”.

Zdjął ją lęk, że jej nowe dziecko, jeszcze zanim się narodzi, mogłoby być już naznaczone wspomnieniami matki. Nie miała już takiej pewności siebie, aby jak niegdyś, kiedy była matką trojga, z naiwną ufnością wobec losu przyjmować w stosunku do dzieci postawę pełnego przyzwolenia. Zbyt wiele kosztowało ją uporanie się z prostym faktem, że ona sama żyje, aby móc myśleć o urodzeniu dziecka. I miało to jeszcze trwać przynajmniej dopóty, dopóki nie uwolni się od rozpacz.

Znajoma dała sygnał, że na nie czas. Wokół zaczęła podnosić się gwar poprzedzający wyjście na scenę. Za chwilę miała się podnieść kurtyna. Próbując przedostać się z zaplecza z powrotem na widownię, Tomoko została nieco z tyłu za towarzyszką. Rozdzielił je tłum zbiegających po schodach, przepychających się półnagich aktorek. W oparach pudru, pośród szelestu jedwabiu zrozumiała nagle całą próżność i bezsens tej, jak to sobie wmawiała, „rozrywki”. Tancerki, przerzucając się krótkimi okrzykami w dialekcie z Osaki, staczały się jak lawina ku scenie. Jej wzrok przyciągnął ślad zacerowanego rozdarcia na jedwabnych spodniach u jednej z nich. Ujął ją ten najzwyczajniejszy szew i wydał jej się w swej bezpretensjonalności dziwnie bliski. Przypomniat jej Yasue, przywołał na pamięć ład, jaki nadawała domowi ta rozmiłowana w robotkach dziewczyna.

Tomoko dojrzała koleżankę, która zmierzała ku ich miejscom, żeby zdążyć przed podniesieniem kurtyny. Z zaferowaniem dawała znaki Tomoko, żeby się pospieszyła.

Po powrocie do domu opowiedziała mężowi o tych po-

dartych spodniach. Historyjka trochę rozbawiła Masaru swoją błahością, nie bardzo jednak rozumiał intencji żony, więc zbył wszystko grzecznym uśmiechem.

Tomoko zaskoczyła męża, oznajmiając nieoczekiwanie, że chce rozpocząć naukę szycia. Nie po raz pierwszy Masaru próbował bezskutecznie zrozumieć niezbadane drogi i meandry, jakimi biegnie myśl kobiety.

Zacząła uczyć się krawiectwa i przestała uganiać się gorączkowo za rozrywką. Spokojnie rozejrzała się na nowo wokół siebie, zapragnęła zostać zwyczajną panią domu. Postanowiła, że odtąd „będzie brać życie takim, jakie ono jest”.

Rozejrzała się po domu i stwierdziła wyraźne oznaki długiego zaniedbania. Czuła się tak, jakby wróciła z dalekiej podróży. Całymi dniami sprzątała, to znów oddawała się praniu. Gosposia, niemłoda kobieta, z zakłopotaniem patrzyła, jak zabiera jej robotę.

W szafce na obuwiu Tomoko natknęła się na buty Kiyō. Innym razem wypadły z niej maleńkie filcowe kapcie w błękitnym kolorze, które należały do Keiko. Pamiątki z przeszłości sprawiały, że nieszczęsna matka pogrążała się w rozmyślaniach, nieraz folgowala sobie, płacząc przy tym do woli. Ponieważ jednak rzeczy po zmarłych powszechnie uchodziły za złowróźbne, z miłym samopoczuciem osoby czyniącej dobry uczynek poprosiła któregoś dnia znajomą, która zajmowała się działalnością charytatywną, i ofiarowała wszystko, łącznie z rzeczami, które mogły być jeszcze dobre na Katsuo, na rzecz sierocińca.

Za każdym razem, gdy zasiadała do maszyny do szycia, powiększała się garderoba jej syna. Zastanawiała się przez moment, czy oprócz krawiectwa nie zająć się także modnym wówczas robieniem kapeluszy, ale zabrakło jej po-

trzebnego w rzemiośle modniarskim spokoju ducha. Przy maszynie zapominała o smutkach. Mechaniczny dźwięk i monotonny ruch przywracały wewnętrzny rytm, przynosiły ukojenie wzburzonemu sercu.

Aż dziwne, że nie przyszło jej wcześniej na myśl, aby wykorzystać dla uspokojenia emocji ukryte w maszynie właściwości, spróbować tej szczególnej psychicznej gimnastyki. Faktem jest, że ta terapia zaczęła przynosić skutek dopiero wtedy, gdy dusza jej nie była już tak krnąbrna jak niegdyś. Któregoś dnia ukłuła się przy maszynie igłą. Najpierw poczuła ból, a po chwili zobaczyła, jak wzbiera i wycieka kropla krwi. Przestraszyła się. Ból łączył się w jej odczuciu ze śmiercią.

Rozczuliła się nad sobą i przyszła jej do głowy myśl, że jeżeli śmierć może nastąpić z tak błahej przyczyny, to, kto wie, może będzie jej dane pójść śladem dzieci. I zaczęła z największym zapałem pedałować. Cóż, kiedy maszyna była całkowicie bezpieczna, ani razu już jej nie drasnęła, nie mówiąc nawet o tym, by miała ją zabić.

Mimo upływu czasu na coś czekała, wciąż czegoś jej brakowało. Mąż, ku któremu kierowała to swoje nieokreślone oczekiwanie, robił uniki. Między małżonkami toczył się jakiś niemy spór, zdarzało im się nie odzywać do siebie przez cały dzień.

Zbliżała się zima. Nagrobek już stał, wszystkie rytualne wymogi spełniono. Smutek zimowych dni przywołuje na myśl lato. Pamięć o strasznym zdarzeniu z minionego lata kładła się jeszcze ostrzejszym cieniem na życiu małżonków. Ale wspomnienia te nabierały coraz bardziej cech opowieści. Jest to chyba nieuniknione, że w odblasku zimowego ognia na kominku albo przy niskim stoliku *ko-tatsu* wszystko nabiera takich właśnie powieściowych barw.

Można było odnieść wrażenie, że Tomoko zarzuca sobie nawet jakieś zaniechanie, które wyrażało się w traktowaniu tego, co zaszło, jako pewnej opowieści. W takiej konwencji wszystkie, nawet „niewyobrażalne” zdarzenia ulegają uprawdopodobnieniu. Ubrane w formę opowiadania, zupełnie anormalne w swej gwałtowności zdarzenie stawało się łatwiejsze do pojęcia.

Nie starczyło jej mimo wszystko odwagi, aby przykryć fasadą fabuły życie z czasów, gdy dzieci i Yasue jeszcze żyły. Przeciwnie, poczucie baśniowej szczęśliwości tamtych dni z dzisiejszej perspektywy wydawało się jej czymś nierzeczywistym.

W środku zimy pojawiły się symptomy, że Tomoko jest w ciąży. Dopiero od tej pory w duszach małżonków narodziło się przekonanie, że przysługuje im naturalne prawo do zapomnienia. Cięża wymagała, jak nigdy przedtem, zachowania najwyższej ostrożności. Wydawało im się niemal oczywiste, że będą problemy z porodem i że mogą stracić dziecko.

Wszystko przebiegało pomyślnie. Wytyczona została granica pomiędzy obecnym życiem a wspomnieniami przeszłości. Tomoko w gruncie rzeczy była już wyleczona. Teraz potrzebowała jedynie odwagi, aby się do tego przyznać, i odwagę tę dała jej dopiero wewnętrzna siła, jaką było dziecko w jej łonie.

Czym tak naprawdę był tamten wypadek? Mimo upływu czasu wciąż nie byli w stanie znaleźć wystarczającego dystansu, by to zrozumieć. A może nie odczuwali takiej potrzeby? Tomoko wielokrotnie i na każdym kroku doświadczała szczególnego rodzaju zawodu. Czowała się rozczarowana z tego powodu, że pomimo nieszczęścia, jakie ją spotkało, nadal jest normalna i nie popada w obłąd. Była

zdumiona niebywałą odpornością psychiczną człowieka. Jak wielka musi być tragedia, by doprowadzić do pomieszczenia zmysłów? A może jest to sprawa wrodzonych cech, bez których w szaleństwo się nie popada?

Co nas ratuje przed obłędem? Siła witalna? Egoizm? Spryt? Brak wrażliwości? A może jedyną siłą, która chroni nas przed szaleństwem, jest to właśnie, że nie umiemy do końca pojąć, na czym ono polega? Czy nie jest tak, że człowiekowi zadawane jest jedynie indywidualne cierpienie, a wszystkie, najsurowsze nawet kary, które go spotykają, są tak odmierzane, ażeby mógł je wytrzymać? Czyżbyśmy po prostu byli stale poddawani próbie i, kiedy dotyka nas osobiste nieszczęście, poddajemy się tylko złudzeniu, że nie umiemy ogarnąć go rozumem?

Tomoko szamotała się, próbując zrozumieć. Nie jest to łatwe w momencie, gdy spotyka nas nieszczęście. Zrozumienie przychodzi zazwyczaj później. Analizujemy wstecz swoje odczucia, dedukujemy i próbujemy je sobie wyjaśnić. Z dzisiejszej perspektywy Tomoko nie mogła uwolnić się od przeświadczenia, że uczuciowo zareagowała niewłaściwie wtedy, gdy to wszystko na nią spadło. Wiedziała, że to niezadowolenie z siebie będzie z całą pewnością gnębić ją dłużej niż samo cierpienie, że pozostanie jak osad w sercu i łatwo się go nie pozbędzie. Próbowała nawet wrócić do przeszłości, by to naprawić, ale okazało się to niemożliwe. Ponieważ była matką, nie dopuszczała do siebie myśli, że może mylić się w swoich odczuciach. Ale też nie mogła tak do końca pozbyć się wątpliwości.

Poczucie realności towarzyszące jej nowej kondycji okazało się jednak niewystarczające, żeby znaleźć pociechę. Istnienie – ta nowa realność – dojrzewające w jej ciele brało sobie odwet na niej, która przez długi czas je

ignorowała. Ono tymczasem wzrastało i zaczęło się poruszać. Życie emocjonalne całkowicie podporządkowane wewnętrznej rzeczywistości to doświadczenie nieznane mężczyznom, z jedynym może wyjątkiem tych, którzy żyją natchnieni ideą.

Mimo że nie było to jeszcze prawdziwe zapomnienie i przywodziło na myśl raczej cieniutką warstwę zmarzliny ścinającej wodę w stawie, zaczęło jednak zasnuwać w końcu smutne wspomnienia Tomoko. Chwilami warstwa lodu się łamała, ale wystarczyła noc, by ten lód na nowo ściał taflę wody. Zapomnienie ujawniło prawdziwą moc, kiedy małżonkowie najmniej się tego spodziewali. Wtargnęło. Znalazło sobie wąziutką szczelinę i wdarło się do środka. Jak armia niewidzialnych mikroów rozwinęło swą niszczycielską działalność, burząc pracowicie, krok po kroku, istniejący porządek. Zdarzało się, że Tomoko nieświadomie odpędzała je od siebie machinalnym gestem, jak człowiek, który próbuje przez sen odpędzić przykry sen. Czuła się niespokojna. Opierała się zapomnieniu.

Tomoko myliła się, sądząc, że to dojrzewający w jej łonie płód jest źródłem tego zapomnienia. Dziecko jedynie je wspomagało. Kontury wypadku powoli zaczynały się rwać, rozmywały się, zacierały, kruszyły się, znikały.

Któregoś letniego dnia ukazała się na niebie biała marmurowa rzeźba o wyraźnym, przerażającym kształcie. Po pewnym czasie zamieniła się w chmurę, ręce jej odpadły, głowa odleciała, z dłoni wypadł miecz. Wyraz twarzy kamiennej postaci, który wcześniej budził grozę, zatarł się i złagodniał.

Życie ma moc pobudzającą, a czasami nas odurza. Człowiek, któremu dobrze się wiedzie, nie musi być wiecznie czujny i mieć się na baczności. Bywa, że zapada w mocny

sen. Jak śmierć ofiarowuje zamierzającemu człowiekowi senność, której nie jest w stanie się oprzeć, tak samo życie aplikuje niekiedy terapię snem tym, którzy usiłują żyć. Paradoksalnie wola życia aktywizuje się wtedy, gdy obumiera.

To odurzenie zaatakowało teraz Tomoko. Trapiło ją pytanie, w jakim stopniu umiała zachować po tych wszystkich miesiącach świadomość pierwszego doznania wywołanego śmiercią. Pytanie to wymagało, czego Tomoko nie była świadoma, przyjęcia okrutnego założenia, że śmierć jest po prostu jednym ze zdarzeń, jakie funduje nam życie.

Tomoko, kobieta dobrodusznego, nieskomplikowanego usposobienia, z natury nie nadawała się do roztrząsania podobnych problemów. W wyrazie jej twarzy pojawił się jakiś nowy rys, coś nieporadnego, jakby nie całkiem dojrzałego. Tak jak u człowieka, który czegoś się dowiedział i nabrał podejrzeń. Z pewnością nie była to twarz dawnej, nieświadomej niczego, naiwnej Tomoko, tej rezolutnej, bystrej młodej matki.

Przez radio nadawano któregoś dnia audycję o matce, która straciła dziecko. Tomoko natychmiast wyłączyła odbiornik. Sama była zaskoczona, jak szybko i sprawnie poradziła sobie z ciężarem pamięci. Jako matka czwartego dziecka, które miała wydać na świat, z moralnym oburzeniem reagowała na niezdrową przyjemność oddawania się rozpaczcy. Jakaż różnica w porównaniu z Tomoko sprzed kilku miesięcy!

Dla dziecka musi zdusić w sobie ponure emocje. Musi zachować wewnętrzną równowagę. O wiele łatwiej przychodziło jej przestrzegać nakazów psychicznej higieny niż radzić sobie z lepkiem, zdradliwym zapomnieniem. Przede wszystkim poczuła się wolna. Pośród wszystkich nakazów

i zakazów czuła się wolna. Zapomnienie miało w tym, rzecz jasna, poważny wkład, ale Tomoko sama była zdumiona, że może, kierując się własną wolą, panować nad uczuciami.

Przestała od jakiegoś momentu oddawać się wspomnieniom i nawet jej nie dziwiło, że nie płakała już w czasie czytania sutr podczas rocznicowych uroczystości albo kiedy szła na cmentarz. Nabrała przekonania o własnej wielkoduszności, że potrafi wszystko wybaczyć. Kiedy na wiosnę szła z Katsuo na spacer do parku, choćby chciała, nie umiała już wykrzesać w sobie tej nienawiści i zazdrości na widok radośnie bawiących się obcych dzieci, jakie odczuwała zaraz po nieszczęściu. Ponieważ przebaczyła dzieciom, wszystkie mogły teraz beztrudnie żyć. Na tym, jak się jej zdawało, polegały siły regulujące życie społeczne.

Masaru zaczął zapominać wcześniej od żony, co nie oznacza, że był nieczuły. Jeśli ktoś, to raczej on oddawał się sentymentalnemu żalowi. Mężczyźni, pomimo kapryśnej, niestałej natury, są bardziej sentymentalni od kobiet. Kiedy Masaru zrozumiał, że uczucia jego nie wytrzymują próby czasu i żal nie będzie wiecznie mu towarzyszył, poczuł się nagle samotny i zaczął sobie pozwalać na małe przygody pozamałżeńskie. Szybko mu się znudziły. Tomoko zaszła w ciążę. Niezwłocznie wrócił do żony tak, jak się wraca do matki.

Nieszczęście opuściło ich tak, jak rozbitkowie opuszczają wrak okrętu. Czas sprawił, że mogli już spojrzeć na to, co się wydarzyło, podobnie jak czytelnicy, którzy przeczytali o tym tego samego dnia w kąciku rubryki miejskiej w gazecie. Mogli nawet powątpiewać, czy rzeczywiście sami uczestniczyli w wydarzeniu. A może byli jedynie jego najbliższymi świadkami? Wszyscy bez wyjątku uczestnicy

zmarli i poprzez śmierć zostali na zawsze związani z wydarzeniem. Po to, abyśmy się stali uczestnikami historycznego zdarzenia, w jakimś stopniu samo nasze istnienie musiałoby być zagrożone. Co ryzykowali Masaru i jego żona? I czy w ogóle mieli czas, by o tym myśleć?

Wypadek świecił gdzieś z oddali, jak latarnia morska na odległym przylądku. To gasł, to się rozświecił, jak obrotowa latarnia na przylądku Tsumeki na południe od kąpieliska A. Nie o to chodzi, że stał się im obojętny. Stał się raczej nauką, zmienił się z faktu rzeczywistego w abstrakcyjną przenośnię. Nie należał już do rodziny Ikuta, stał się własnością publiczną. Jak światło morskiej latarni, rozświecającej nocą wydmy na wybrzeżu, fale podgryzające białymi grzywami samotne skały i lasy wokół szczytu, tak samo rzucał światło na pogmatwane powszednie życie, które toczyło się wokół. Ludzie winni wyciągnąć z niego naukę. Starą, prostą naukę, którą rodzice powinni mieć na stałe wrytą w pamięci: „Jeśli wybierasz się z dziećmi nad morze, musisz mieć nad nimi stały nadzór. Ludzie topią się w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach”.

To przecież nie w imię tej banalnej prawdy Masaru z żoną złożyli ofiarę z dwojga dzieci i dorosłej kobiety. Tak się jednak złożyło, że cały pożytek płynący ze śmierci trzech istot sprowadzał się do potwierdzenia tej prostej nauki. Znamy mnóstwo przykładów heroicznej śmierci, które przyniosły równie mizerną korzyść.

Czwarte dziecko Tomoko było dziewczynką. Urodziła się pod koniec lata. Radość była ogromna. Na wieść o tym z Kanazawy zjechali do Tokio rodzice Masaru, żeby zobaczyć najmłodszą wnuczkę. Masaru zabrał ich przy tej okazji na cmentarz w Tama.

Dziewczynce nadano imię Momoko. I matka, i dziec-

ko miały się dobrze. Tomoko znała się już na wychowaniu dzieci. A Katsuo był zachwycony, że znowu miał siostrzyczkę.

Działo się to latem następnego roku. Minęły dwa lata od wypadku, rok od urodzenia Momoko. Któregoś dnia żona zaskoczyła Masaru. Nagle oświadczyła, że chciałaby odwiedzić kąpielisko A.

– Co ci się stało? Sama mówiłaś, że nigdy w życiu tam nie pojedziesz.

– Nie wiem, czemu, ale mam taką ochotę.

– Dziwna jesteś. Ja nigdzie nie jadę.

– Skoro tak, to ja też dam sobie spokój.

Przez dwa, trzy dni Tomoko słowem nie poruszała tematu, po czym znowu się odezwała:

– Wiesz, jednak chciałabym pojechać do A.

– Wobec tego pojedź sama.

– Sama jakoś nie mogę.

– Dlaczego?

– Jakoś, czy ja wiem. Chybabym się bała.

– To po co masz jechać, skoro się boisz?

– Tak bym chciała, żebyśmy tam pojechali wszyscy razem. Gdybyś wtedy był z nami, byłabym o wiele spokojniejsza. Gdybyś tylko był.

– Nie wiadomo, co się może zdarzyć, jeśli zbyt długo mnie tu nie będzie. A poza tym nie mogę wziąć tyle wolnego.

– Z jednym noclegiem w zupełności by starczyło.

– Tam jest taki trudny dojazd...

Po raz kolejny spytał, co ją tam ciągnie. Tomoko niezmiennie odpowiadała: „Nie wiem”. Przypomniawszy sobie jedną z zasad obowiązujących w powieściach detektywistycznych...

stycznych, w których się ostatnio zaczytywał. Mordercę zawsze, choćby łączyło się to z największym niebezpieczeństwem, ciągnie na miejsce zbrodni. Może Tomoko powodowana jest niepojętym impulsem, który każe jej jeszcze raz zobaczyć wybrzeże, gdzie zginęły jej dzieci.

Kiedy Tomoko, beznamiętnie, szczególnie nie nalegając, zwróciła się po raz trzeci z tą samą propozycją, Masaru zdecydował, że weźmie dzień wolny i wyjadą w powszedni dzień, unikając w ten sposób tłumów pod koniec tygodnia. Jedyne miejsce, gdzie można było się zatrzymać, było Eirakusō. Zamówili nocleg możliwie jak najdalej od tego feralnego pokoju, w którym zatrzymała się poprzednio. Ponieważ Tomoko konsekwentnie nie chciała wsiadać do samochodu, kiedy prowadził mąż, z Itō małżonkowie razem z Katsuo i Momoko pojechali wynajętą limuzyną.

Był szczyt lata. Z tyłu, za domostwami, które mijali po drodze, dorodne słoneczniki niczym lwy potrzęsały grzywami. Kurz wzbijany przez przejeżdżające samochody osiadał na otwartych, ufnych obliczach kwiatów, ale słoneczniki wydawały się niewzruszone.

Przez szybę samochodu po lewej stronie ukazało się morze. Katsuo, który zobaczył je po raz pierwszy od dwóch lat, wydał okrzyk zachwyty. Miał już pięć lat.

W czasie jazdy prawie milczeli. Samochód trzął się okropnie na wybojach i nie nastrajał specjalnie do rozmowy. Od czasu do czasu odzywała się mała Momoko, wypowiadając nowo poznany wyraz. Katsuo nauczył ją słowa „morze”, więc dziewczynka, pokazując palcem na łąsą, pokrytą czerwoną ziemią górę na prawo od szosy, oznajmiała: „Morze”. Masaru przyszło na myśl, że Katsuo uczy siostrzyczkę złowróżbnego wyrazu.

Podjechali do pensjonatu Eirakusō. Przy wejściu powi-

tał ich jego właściciel. Masaru wręczył mu napiwek. Przypomniawszy sobie z całą wyrazistością, jak drżała mu ręka, kiedy ostatnim razem dawał temu samemu człowiekowi tysiącjenowy banknot.

Sezon był kiepski, pensjonat świecił pustkami. Gdy rozlokowali się w pokoju, wspomnienia zaczęły ożywać w pamięci Masaru, wprawiając go w stan dużej irytacji. W obecności dzieci łajał żonę.

– Naprawdę nie wiem, po cośmy tu przyjeżdżali. Mamy jak najgorsze wspomnienia. Teraz, kiedy właśnie zaczęliśmy o nich zapominać, wracają. Jest tyle innych przyjemnych miejsc, dokąd moglibyśmy się wybrać w naszą pierwszą, od urodzenia Momoko, podróż. Wiesz, jaki jestem zajęty. Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty, tylko zwalniać się z pracy i jechać do takiej dziury?

– Przecież się zgodziłeś.

– Tylko dlatego, że nalegałaś.

W popołudniowym słońcu trawa była rozpalona. Wszystko było dokładnie tak jak dwa lata wcześniej. Na pomalowanej na biało huśtawce suszyły się niebiesko-zielono-czerwone kąpielówki. Dwa albo trzy kółka do rzucania leżały wokół platformy z drążkami, wbite do połowy w trawę. Drzewa rzucały cień na ten fragment ogrodu, gdzie leżało kiedyś ciało Yasue. Promienie, przecinając gałęzie drzew, malowały słoneczne plamki na gołej trawie i mogło się przez moment wydawać, że światło faluje w rytm unoszącego się i opadającego stroju kąpielowego Yasue. To podmuchy wiatru, igrając ze światłem, wywoływały takie przywidzenia. Masaru nie miał pojęcia, że ciało Yasue było tutaj złożone. Złudzeniu uległa jedynie Tomoko. Dla Masaru samo zdarzenie przecież nie istniało,

dopóki o nim nie został powiadomiony, i ten zakątek ogrodu wydawał mu się z pewnością najzwyczajniej cichym, ocienionym skrawkiem zieleni. Tak jak innym nieświadomym niczego mieszkańcom pensjonatu... Tomoko nie mogła opędzić się od takich myśli.

Żona milczała, więc Masaru, znużony, zaprzestał polajanek. Katsuo zszedł przez werandę do ogrodu i wziął do ręki kółko. Nie rzucił nim jednak, tylko poturlał po trawie. Kucnął i bacznie śledził jego tor. Wraz z towarzyszącym mu cieniem toczyło się koślawo po nierównościach, aż nagle podskoczyło, upadło i połączyło się ze swoim cieniem. Nie ruszając się z miejsca, Katsuo bacznie obserwował. Zdawało mu się, że kółko się jeszcze podniesie.

Ciszę bez reszty wypełniało trzeszczenie cykad. Masaru czuł, jak opięta kołnierzykiem szyja pokrywa się potem. Przypomniawszy sobie o ojcowskich powinnościach i wstał z miejsca.

– Chodź, Katsuo, skoczmy nad morze.

Dołączyła do nich Tomoko z Momoko na rękę. Wyszli na zewnątrz przez furtkę w żywopłocie i ruszyli przez sosnowy las. Niebawem ukazało się morze. Połyskujące fale żwawo nadbiegały ku brzegowi, rozszerzając się tyralierą.

Była pora odpływu, więc mogli bez trudu zejść na plażę, obchodząc skałę Tsukiyama. Trzymając synka za rękę, Masaru szedł po rozgrzanym piasku w drewnianych chodakach pożyczonych w pensjonacie.

Nad morzem przebywało niewielu ludzi. Nie było widać ani jednego plażowego parasola. Kąpielisko zaczynało się tuż od podnóża skały, ale w zasięgu wzroku nie było chyba nawet dwudziestu plażowiczów.

Cała czwórka zatrzymała się na skraju wody. I znów, jak niegdyś, nad taflą wody wisiały tu i ówdzie potężne, skłębione letnie chmury. Było aż niewiarygodne, że te ogromne, ciężkie masy mogą utrzymać się w powietrzu. Na dużej części błękitnego nieba błąkały się lekkie, poskręcane chmurki, jakby ktoś pozostawił je, zamiatając miotłą. Obleczony w kształt nadmiar światła i cienia przywodził na myśl ciemne, niedookreślone pragnienie, ujęte w karby wyrazistą, konsekwentną jak muzyczna kompozycja wolą.

Spod chmur zmierzało ku nim wszechobecne morze. Oporne wobec lądu, nie dawało się poskromić wcinającej się w głąb zatocze. Przeciwnie, zagarniało frontalnie wszystko, co spotykało na swojej drodze, tym łakomiej, że wejście do zatoki w tym miejscu było wyjątkowo szerokie.

Fale wzbierały, przed opadnięciem na ułamck sekundy zastygały, załamywały się. Towarzyszył temu łoskot głuchy jak bezlitosna cisza letniego słońca. Był niemal bezdźwięczny i przypominał przeszywające milczenie. Do ich stóp podpływały lirycznie przeobrażone fale i po chwili, już nie jako fale, lecz w postaci zanikających zmarszczek, wycofywały się, jakby droczyły się same z sobą.

Masaru spojrział w bok na Tomoko.

Wpatrzona była w morze. Włosy rozwiewał jej wiatr, mimo ostrego słońca nie odwracała wzroku. Oczy jej, lekko zamglone, tchnęły niemal dostojeństwem. Usta miała mocno zaciśnięte. Na ręce trzymała roczną Momoko, w słomkowym kapelusiku na głowie.

Masaru pomyślał, że taki profil żony widział już kilka-

krotnie. Od czasu owego wypadku jej twarz miewała taki wyraz, jakby była nieobecna, jakby na coś czekała.

Na co ty czekasz? – chciałby tak lekko, od niechcienia zapytać. Ale słowa te nie padły. Miał dziwne uczucie, że nawet nie pytając, wiedział, czego żona oczekuje.

Masaru, zdjęty lękiem, mocno ścisnął syna za rączkę.

Niedziela

Sachio i Hideko zajmowali najniższe stanowiska w dziale księgowości Ministerstwa Finansów. Siedzieli naprzeciw siebie przy biurkach, w pokoju ciemnym nawet w południe. Oboje mieli po dwadzieścia lat. Sachio ukończył tylko gimnazjum, Hideko zaczęła tu pracować po ukończeniu żeńskiego liceum.

Mieli wiele wspólnego. Po pierwsze, byli rówieśnikami. Po drugie, zarabiali tyle samo – ich zarobki wynosiły po 4910 jenów, w tym 3916 jenów pensji zasadniczej plus premia. Wreszcie oboje byli równie sumiennymi pracownikami i to stanowiło ich trzecią wspólną cechę.

Pracownicy kancelarii w dziale księgowości nadali im przydomek „Niedziela”. A oto jakie było jego pochodzenie.

Pewnej niedzieli, późną jesienią poprzedniego roku, cały personel biura łącznie z kierownikiem wybierał się wraz z rodzinami na wycieczkę do latarni morskiej położonej na przylądku Kan'on. Hideko, już na parę dni wcześniej, odkąd dowiedziała się o wyjeździe, była podeenerwowana, a w sobotę oznajmiła, że cierpi na ból głowy. Wszystkim żal było Sachio, że Hideko nie będzie mogła pojechać. Okazało się jednak, że rankiem umówionego

dnia żadne z nich nie stawiało się na miejscu zbiórki. Cała grupa daremnie na nich czekała, przepuszczając kilka pociągów. Wreszcie odjechała, zabawiając się przy okazji dowcipami na ich temat.

W poniedziałek rano przyszli jak zwykle punktualnie do pracy i, nie zwracając na nikogo uwagi, zajęli miejsca przy swoich biurkach. Kto kiedykolwiek pracował w tym biurze, mógł z łatwością wyobrazić sobie, jak zaciekle nagrywano się z tych dwojga. Ich szef, na przykład, znany z zamiłowania do dwuznacznych dowcipów, wzywa Sachio, żeby dać mu jakieś papiery dla kierownika kancelarii, i zwraca się do niego z poważną miną.

– No, widać ładnie zaopiekowałaś się wczoraj chorą. Wróciła już zupełnie do zdrowia, co? – i tak dalej w tym tonie.

W takich wypadkach Sachio i Hideko nigdy się nie tłumaczyli, tylko szybciej mrugali jasnymi oczami. Nie było w tym nic z nadmiernej pewności siebie. Cechowała ich raczej pewna ożywcza szczerść, której obca była wstydlivość.

Natrętne docinki ustały po kilku dniach. Wtedy właśnie Sachio, idąc ciemnym korytarzem, zgubił swój notatnik. Przechodzący tamtędy kolega podniósł go i przeczytał.

Był to reklamowy kalendarzyk pewnego banku. Każda strona podzielona była na cztery, odpowiadające dniom tygodnia, rubryki, niedziele zaś zostały wyróżnione kredkami, każda innym kolorem. Osiem rubryk dzieliło więc płaszczyznę dwóch wewnętrznych stronic. Ósma była pusta, pozostawiona na „uwagi”, a pierwsza – za każdym razem przy odwracaniu stron przykuwała uwagę pięknym zielonym albo niebieskim kolorem. Były też niedziele czarne i jasnobrązowe.

Kolega, którego ciekawość była szczęśliwie zrównoważona lojalnością wobec przyjaciela, oparł się pokusie splełtania złośliwego żartu i ujawnienia przed całym biurem odkrycia, które – jak sobie wyobrażał – mogło mieć nie wiadomo jakie znaczenie. Kiedy znalazł się sam na sam z Sachio w bufecie, zwrócił zgubę właścicielowi. Obiecał też, że jeśli tylko ten wyjawi mu znaczenie kolorowych niedziel, nikt inny się o tym nie dowie. W przeciwnym razie Sachio stanie się przedmiotem niekończących się drwin.

– Ależ to nic takiego! – Sachio roześmiał się. Tajemnice małomównych osób dają się zazwyczaj wyjaśnić w kilku słowach. Jego wyjaśnienie też było lakoniczne. – To jest, wiesz, po prostu, plan na niedziele, które spędzamy razem z Hideko. Zieleń oznacza góry, lasy i łąki, kolor niebieski – morze i jeziora, jasnobrązowy – to kolor boiska, czyli baseball.

– A czarny?

– No, zgadnij. Nie wiesz? Czarny kolor to kino.

Tych dwoje zawsze układało sobie plany na trzy miesiące naprzód i wiernie je realizowało.

– A jeśli pada deszcz albo strajkują koleje, to co wtedy robicie?

– Nawet jeśli pada deszcz, nawet jeśli jest strajk, czarne jest czarne, a zielone – zielone. O, my jesteśmy uparci. Bierzemy parasol i chodzimy w deszczu po nabrzeżu rzeki Tama.

Te niedzielne spotkania były dla Sachio i Hideko czymś, co należało chronić na przekór wszystkim przeciwnościom. Jest wśród obrazów Tycjana jeden, zatytułowany *Wniebowzięcie Matki Boskiej*. Namalowany w 1518 roku, był tym przełomowym dziełem, które stawiało Wenecję

w samym centrum nurtu dojrzałego renesansu. Sachio i Hideko nie mogli wiedzieć, kim był Tycjan, ani ich to pewnie nie interesowało. Na obrazie tym jednak przedstawiona jest duża grupa dziecięcych postaci aniołków, podpierających z poświęceniem rozświetlone chmury, po których wstępuje Matka Boska. Tych dwoje, podobnie jak owe aniołki z obrazu Tycjana, z niezachwianą wolą i uporem strzegło swoich niedziel.

Tak, nie ma to jak być kawalerem – pomyślał obarczony już rodziną kolega. – Całą swoją niewielką pensję wydają na pewno na te cztery niedziele w miesiącu. Nie wyglądają na to, aby im się przelewało, ale kto z młodych by się tym dzisiaj przejmował. Kiedy ma się rodzinę, jak ja na przykład, można sobie najwyżej raz w miesiącu pozwolić na pójście z żoną do kina. Nie, stanowczo tym dwojgu świetnie się powodzi.

Kolega dotrzymał wprawdzie słowa, ale choć samej tajemnicy nie zdradził, dawał do zrozumienia, że przydomek „Niedziela” nadaje się jak ulał dla tych dwojga, i wkrótce to nieco zagadkowe przezwisko rozpowszechniło się nawet poza biurem.

Czyżby tych dwoje młodych ludzi nawet w rzadkie wolne dni nie potrafiło zwyczajnie cieszyć się chwilą, tylko dobrowolnie narzucało sobie sztywne plany i ustalało terminy spotkań, tak jakby wykonywali jedno z wielu służbowych poleceń, do których nawykli w pracy? Nie, to nie tak. Bronili swoich niedziel, ponieważ była to jedyna – dla nich przynajmniej – rzecz, której mogli i której wolno im było strzec. Stali zatem na straży niebieskich i zielonych, czarnych i jasnobrązowych niedziel. Na straży, konkretnie mówiąc, cudownych, okrytych świeżą zielenią gór, których obraz na długo zachowają w pamięci, jezior, łąk i chmur,

boiska baseballowego i morskiego kąpieliska, dokąd można było się wybrać i wrócić w ciągu jednego dnia, portów pełnych obcych statków, rzek o szerokich korytach i zatłoczonych kin.

Kolega mylił się w swoich przypuszczeniach, przeznaczali oni bowiem na ten cel sumę doprawdy niewielką. Tokio jest miastem tak szczęśliwie położonym, że wystarczy wykupić bilet powrotny za sto jenów, żeby znaleźć się w górach lub nad morzem, dojechać nad rzekę lub jezioro. Nie brak wielu atrakcyjnych celów wycieczek, jeśli ktoś nie ma ochoty jechać dwa razy w to samo miejsce.

Kolorem zielonym oznaczali również wesołe miasteczka. W większości z nich byli stałymi bywalcami i znali na pamięć wszystkie ceny, od ceny pokarmu dla sarenek do opłaty za wynajęcie łódki. Jaką szkoda, że taka bogata i cenna wiedza była udziałem wyłącznie tych dwojga.

Szesnastego kwietnia 1950 roku wypadła niedziela. W sobotę, piętnastego, cały sekretariat zavalony był robotą, ponieważ sporządzano dokumentacje do przedłożenia dyrekcji. Kolega, odbierając od Sachio plik złożonych papierów i spinając je spinaczem po dwa arkusze, spytał po cichu z wyrazem niezbyt życzliwej ciekawości na twarzy:

- No, jaki to kolor ma jutrzejsza niedziela?
- Niebieski.
- Hmm, żeby tylko była pogoda...

Jakoś obeszło się bez kpín. Wszyscy byli zbyt zajęci tego dnia, żeby zaprzętać sobie głowę cudzymi sprawami.

Dwudziestoletni zakochani byli umówieni w niedzielę na wpół do ósmej rano, na peronie jednego z dworców. Pogoda nie była nadzwyczajna, ale prognozy też raczej nie przewidywały deszczu. Oboje byli punktualni, nigdy nie spóźniali się więcej niż o pięć minut. Sachio miał na sobie

granatowe spodnie i brązowy sweter, spod którego widać było białą, dobrze nakrochmaloną sportową koszulę. Hideko nie miała sukienki, ubrana więc była w spódnicę w kratę i jasnoniebieski sweter rozpinany z przodu. Nosiła białe podkolanówki, takie same jak noszą małe dzieci. Oboje nieśli przewieszane przez ramię manierki, a w rękach trzymali zwyczajne torby. Na nogach mieli białe tenisówki.

Piszemy o tym tak dokładnie nie dlatego, że w ubiorze naszych bohaterów było coś szczególnego. Bynajmniej – można przypuszczać, że identyczny opis mógłby dotyczyć wszystkich młodych ludzi oczekujących rankiem tej wiosennej niedzieli swego towarzysza na którymś z dworców. Tak bardzo byli wszyscy do siebie podobni.

Gdy dojrzelili siebie, uśmiechnęli się nieznacznie, z miną odrobinę nadąsaną, jak dzieci, które spotykają się po raz pierwszy i mamy zmuszają je, wbrew ich woli, do wspólnej zabawy. Być może wrażenie to spowodowane było bagażem, którym byli obciążeni. Powitanie odbyło się bez słowa.

Tłum ludzi wtargnął między poranne cienie, które kładły się ukośnie po peronie. Hideko wyciągnęła w pewnym momencie rękę i zgrabnym ruchem poprawiła zawinięty z jednej strony kołnierzyk koszuli Sachio. Bez troski gest dał jej okazję do wygłoszenia dłuższego monologu.

– Taka jestem dzisiaj niewyspana. Martwiłam się wczoraj wieczorem, żeby nie było deszczu, zupełnie jak uczeń z podstawówki przed wycieczką. Obudziłam się o czwartej nad ranem i przygotowałam jedzenie do zabrania. Mówię ci, co za wałówka! Kanapki z szynką i *norimaki**. I jeszcze

* *Norimaki* – galki gotowanego ryżu, zwykle z nadzieniem z ryby lub marynat, zawinięte w płatki prasowanych wodorostów *nori*.

kupiłam wczoraj czekoladę oraz gumę do żucia. Popatrz tylko!

Hideko oparła torbę o uniesione kolano – wyglądała w tej pozycji jak ptak wodny stojący na jednej nodze – i wyjęła dwie tabliczki amerykańskiej czekolady i dwa opakowania gumy do żucia.

– Wspaniale! Nieźle się zrujnowałaś.

– No, ale dziś przecież pierwsza niebieska niedziela w tym roku. A ja tak lubię niebieskie dni.

Czy jezioro naprawdę ma barwę niebieską? Wspólną cechą obojga było, że nie zastanawiali się nad tym, czego jeszcze nie widzieli. Skoro jezioro, to znaczy, że niebieskie. Przy takiej filozofii omyłki są wykluczone.

Przesiedli się z pociągu elektrycznego na zwykły i po przeszło półtoragodzinnej podróży, nieco po dziewiątej, przybyli do stacji położonej nad brzegiem jeziora S. Wraz z nimi przybyła grupa pasażerów, forpocza rzesz wycieczkowiczów udających się tego dnia nad jezioro. Był to sztuczny zalew, który powstał w związku z budową tamy. Kto nie widział tego „jeziora”, nie wie, że nawet nie zasługuje na tę nazwę.

Chłopiec z dziewczyną skręcili z ulicy przed dworcem – przy której znajdowało się pełno sklepów z pamiątkami – w lewo, na drogę, skąd roztaczał się widok na jezioro. Woda była brudna i mętna jak zupa, którą chory kosztuje bez apetytu i odstawia po kilku łykach. Jak okiem sięgnąć widać było odsłonięte przy brzegu nawarstwienia – naturalną podziałkę wskazującą, jak bardzo obniżył się poziom wody. Zwłaszcza na tle otaczających gór, pokrytych bladą, tchnącą wiosenną zielenią, te ślady, pozostawione przez cofającą się wodę, przedstawiały żałosny widok. Wyglądały jak brzeg przybrudzonej halki, wystającej spod nowej, czy-

stej spódnicy. Grupy wycieczkowiczów, podobnie jak Sachio i jego towarzyszka, nie zwracając na to najmniejszej uwagi, szły naprzód zakurzoną drogą wzdłuż jeziora. Wszystkich pochłaniała rozmowa przerywana raz po raz gromkim śmiechem, który rozbrzmiewał echem po górach. Nikomu nie przyszło nawet na myśl, żeby spojrzeć na krajobraz.

Sachio i Hideko bezwiednie skierowali kroki w stronę wiszącego mostu widocznego na wprost.

– To nawet lepiej, że się trochę zachmurzyło, nie uważasz? Gdyby było cieplej, lałby się już z nas pot – odezwał się chłopak.

– Aha. Satchan, chcesz może gumy do żucia?

– Poproszę. Wykosztowałaś się.

– Daj spokój. Też mi – raptem pięćdziesiąt jenów paczka.

– Poczekaj, co można by kupić za pięćdziesiąt jenów? Bilet do kina, kawę, jakiś tani krawat, skarpetki...

– Ale dla kobiety najwyżej jakąś drewnianą broszkę i nic więcej.

– O, gdybym miał choć trochę więcej pieniędzy, przynajmniej tyle, żeby mieć całą pensję na swoje wydatki...

– A gdybym ja miała dziesięć tysięcy jenów, moglibyśmy gdzieś pojechać, ale tak...

– Jak będę miał dużo pieniędzy, będziemy codziennie chodzili do kina.

– Wcale by mi się nie chciało codziennie chodzić do kina! Wiesz, co bym chciała mieć? Prawdziwe futro!

– Futro? Ile to może kosztować?

– Czy ja wiem? Najmniej ze trzysta, czterysta tysięcy.

– Trzysta, czterysta tysięcy! Ciekawe, czy można tyle zaoszczędzić, pracując nawet przez całe życie. Swoją dro-

gą uwielbiam tak sobie rzucać od niechcienia: „jakieś sześćset–siedemset tysięcy”, albo „milion czterysta–pięćset tysięcy”. Nawet samo słowo „pieniądze” ma w sobie coś szczególnego. Tacy, na przykład, bogacze w ogóle nie noszą przy sobie gotówki, wiesz? Mają tylko książeczki czekowe. Po tym się właśnie poznaje bogatych ludzi, że bez zmrużenia oka potrafią wymieniać takie sumy.

– Oj, Sachio, ale z ciebie filozof! Ja się na tym nie znam.

Ani słowo na temat jeziora nie padło w ich rozmowie. Ciekawe, że kiedy ludziom nie powodzi się najlepiej, pieniądze stają się najbardziej romantycznym tematem.

Tymczasem przez jaśniejsze partie chmur przedarły się jasnozłote promienie słońca. W ich bajkowym świetle całe jezioro przybrało niezwykły, z lekka nierzeczywisty odcień. Do pory największego natłoku turystów zostało jeszcze trochę czasu, toteż po jeziorze pływało zaledwie kilka łodzi. Woda miała w tym miejscu dziwny, trudny do określenia kolor. Być może barwa mulistego dna prześwitywała na powierzchni płytkiej wody. Kontury otaczających gór odbijały się dumnie w wodzie, jakby rekompensując sobie kształty tak nieciekawe, że gdyby nie jezioro, nikt nie spojrzałby nawet w ich stronę. Tym bardziej jednak zdradzały nędzę parweniusza. Tylko nieliczne, nieco ciekawsze granie, cofnięte jak gdyby w głąb nieistniejących fiordów, wyniosłe górowały nad powierzchnią wody, ciemnozielonkawą od otaczającej roślinności. Na brzegu smętnie zwisały tu i ówdzie czerwone chorągiewki umieszczone na żwirowych nasypach umocnień brzegowych, na nędznych chatkach i na łodziach do wynajęcia. Ni stąd, ni zowąd przemknęła żwawo motorówka z elektrowni wodnej. Siedzieli w niej jakiś dżentelmen, kobieta – najpraw-

dopodobniej jego żona, oraz grupa dziewcząt w niezbyt twarzowych kapeluszach. Widocznie rodzina jakiegoś wysokiego urzędnika pod pretekstem inspekcji przyjechała zwiedzić zaporę.

– Dokąd idziemy?

– Tak czy siak, musimy najpierw przejść przez ten most.

– A jak przez niego przejdziemy?

– To się zobaczy.

Wokół nich, po zakurzonej, a przez to jakby szerszej drodze szli ludzie. Ich ciężki, mozolny krok również zdawał się mówić: „To się zobaczy”. Widocznie przynosiło to ulgę.

Sachio i Hideko, żując gumę, szybko przeszli przez most i zatrzymali się przed tablicą wskazującą ścieżki prowadzące do punktu widokowego. Po krótkiej sprzeczce uzgodnili, że pójdą krętą drogą, która pięła się w górę. W miejscu, gdzie kończyła się droga, inna tablica nakazywała ostrożność, ponieważ osypujący się piasek czyni szkody w gospodarstwach u podnóża. Sachio i Hideko nie należeli do zuchwalców, którzy zabawialiby się tego rodzaju wybrykami.

Wspinali się stromą ścieżką, trzymając się za ręce. Na szczęście nikt nie szedł za nimi. Droga przecinała zbocze porośnięte wysoką trawą, przechodziła obok spokojnej herbaciarni – przy owym „punkcie widokowym” – i wychodziła w końcu na przestronną, lekko pochyloną polanę, gdzie sterczały pnie po ściętych drzewach, rosły cierniste krzewy, to tu, to tam kwitły krzaki dzikiej róży. Nieco wyżej rósł sosnowy las, na samym szczycie było prawdopodobnie uprawne pole. Sachio szedł przodem. Poczuł, że ręka Hideko jest lekko spocona. Jej zmęczone ciało ciążyło jak kotwica w jego dłoni.

Rząd kryptomerii otaczał półkolem polanę.

Lekki wiatr przyniósł zapach spoconego ciała Hideko, zapach dojrzałego zboża. Sachio przystanął, objął Hideko i zaczął okrywać pocałunkami jej twarz niesfornego dziecka, jej kark i białą, wdzięczną szyję. Chcieli usiąść, ale przeszkadzały im cierniste krzewy, usiedli więc na wielkim pniu, nie przerywając pocałunku. Trzeźwy rozsądek nakażywałby wątpić, czy tak wymyślnej sztuki można dokonać z zamkniętymi oczami, ale zakochani w takich chwilach zachowują się jak doświadczeni aktorzy, poruszający się wśród dobrze znanej scenografii.

Siedzieli ciasno do siebie przywarci. Chciałbym być dobrze zrozumiany – byli przywarci do siebie po prostu tak, jak dwie książki wsparte niewidzialną podpórką. Po chwili rozłączyli wargi i przytulili się do siebie policzkami. W tym momencie zauważyli, że pomiędzy nimi, między udem Sachio a udem Hideko, wyrasta śliczny zielony pęd drzewka.

– W ogóle go nie widziałem.

– Niemożliwe, wygląda, jakby wyrósł przed chwilą.

Była to miniaturowa, rzecz by można, sztuczna roślinka. Popołudniowe słońce wyjrzało zza chmur. Promienie dotarły na porębę, padły na młode liście dzikiej róży i rozświetliły delikatne, jakby widziane przez pomniejszające szkło, listki młodego pędu rosnącego przed Sachio i Hideko. Dziewicza czystość żyłek na listkach małej, a przecież doskonale już ukształtowanej rośliny rzeczywiście pozwalała przypuszczać, że wyrosła dopiero co. Oboje, wzruszeni, wzięli to za dobrą wróżbę na tę rzadką, cenną niedzielę. Kiedy poruszyli nogami, okazało się, że pęd wyrasta wprost ze ściętego pnia.

Usłyszeli niespodziewanie szmer przypominający sze-

lest tkaniny. Wrona wleciała pomiędzy drzewami zbyt głęboko w las i załopotowała skrzydłami.

– Udała się nam niedziela – powiedział Sachio.

– Udana niedziela – potwierdziła Hideko.

Obojgu, jakby się umówili, wyrwały się te słowa, słowa podziękii za niedzielę, za pogodę. W dole, na prześwitującym między drzewami jeziorze przybyło, nie wiadomo kiedy, łodzi. Sachio odetchnął pełną piersią, a było w tym i zadowolenie, i pewien niepokój, jaki rodzi się z poczuciem szczęścia. Zwrócił się do Hideko:

– Oo, gdyby takie niedziele mogły trwać długo, bez końca.

– Taak, aż do lata i do jesieni, i nawet do zimy.

– Nie tylko, i w przyszłym roku także, i za dwa lata też!

– I jak się pobierzemy?

– Pewnie, i jak się pobierzemy. Kiedy będziemy we dwójkę zarabiać jakieś dwadzieścia, no, powiedzmy, nawet piętnaście tysięcy więcej, moglibyśmy się już właściwie pobrać, nie?

– Nie wiem dlaczego, ale te nasze niedzielne spotkania są jakieś dziwne. Jak to jest, że nie możemy decydować o przyszłości, a mimo to chce się nam planować własnymi siłami takie drobne, mało znaczące spotkania? Dlaczego to jest dla nas takie ważne, że na trzy miesiące naprzód ustalamy, że na przykład jakaś niedziela ma być niebieska?

– To jest... dla nas to jest jak modlitwa.

– Nie, nieprawda. Jeśli postanowimy, że jakaś niedziela będzie niebieska, to ona musi być niebieska, choćby nie wiem co. Wiesz, czasem mi się wydaje, jakbyśmy knuli jakiś okropny spisek. Na przykład wtedy, gdy tak starannie zamalowujesz kredkami strony w notatniku.

Hideko poczuła na ramieniu ciężar. Zdjęła manierkę i w kubku podała Sachio słodzoną herbatę. Po chwili sama się napiła. Kilka kropel się wylało na jej białą szyję.

– To bardzo oryginalna myśl – ciągnęła. – Mam takie wrażenie, że ty i ja jesteśmy małymi, zakochanymi duszkami, które podtrzymują porządek świata. I że to dzięki nam świat nie rozpadł się jeszcze na kawałki. No, sam powiedz, nie jest tak? Gdybyśmy tak, dajmy na to, ustalili trzy miesiące naprzód jakąś niedzielę na niebieską, a potem wzięli ją za zieloną, to myślę, że stałoby się coś strasznego.

– Ładnie to wymyśliłaś – przyznał z błyszczącymi oczami Sachio. – Kiedy ustalamy jakiś kolor, to tak, jakbyśmy przekręcali kontakt w ważnej aparaturze, od której zależy, czy ziemia wyleci w powietrze, czy nie. Gdybyśmy kiedyś popełnili omyłkę, mogłoby to mieć straszne skutki. Do tej pory jakoś się nam udawało, ale musimy być na przyszłość bardzo ostrożni, żeby nie zrobić w naszym planowaniu jakiegoś głupstwa.

– Ale co ty mówisz, Satchan! Ustaliliśmy przecież, że zamykasz oczy i rzucasz zapalkami. Jeśli spadną na jedną stronę, wybieramy kolor czarny, jeśli na drugą – to, powiedzmy, zielony.

– Swoją drogą to cud, żeśmy się dotychczas nigdy nie pomylili.

– No, skoro ziemia jakoś nie rozsypała się jeszcze w proch...

Wybuchnęli śmiechem i rozejrzeli się dokoła. Przez moment im się wydało, że ziemia straciła równowagę i zakłótywała się. Wszędzie leżały porozrzucane obrzydliwe odpadki i resztki jedzenia z poprzedniej niedzieli. Sachio poczuł głód i zaproponował, żeby zjedli obiad. Kiedy skończyli posiłek, coś pośredniego między śniadaniem

i obiadem, domyślili się po ożywionych głosach dobiegających z dołu, że grupy wycieczkowiczów zbliżają się ku nim i lada chwila tu będą. Bardzo byli ciekawi, kim są, jak wyglądają ludzie, którzy zmierzali w ich stronę tą samą krętą ścieżką. Ukryli się za pnem kryptomerii i zaczęli ich wypatrywać. Zobaczyli kobiety i mężczyzn, którzy podchodzili, śpiewając jakieś okropne szlagiery. Jedni szli jak Sachio z Hideko, to znaczy mężczyzna szedł przodem, ciągnąc kobietę za rękę, albo kobieta trzymała się laski, którą jej towarzysz trzymał za sobą w ręku. Jedna z kobiet, chroniąc się przed słońcem, przewiązała wąskie czoło małą chustką i wyglądała, jakby chciała ukryć twarz.

– Nadchodzą. Patrz, ilu ich! – Hideko zdjął lęk przed tłumem poczciwych, Bogu ducha winnych ludzi. Ścisnęła Sachio za ramię. Ten, z opanowaniem dorosłego człowieka, odparł:

– Ciekawe, co to za jedni całe to towarzystwo.

Nie wiedział, że byli to zakochani.

Szli pod górę, śmiejąc się, podśpiewując i pokrzykując. Mocno się przy tym pocili, bo co i raz ocierali twarze niezbyt czystymi chustkami. Była wśród nich para, on – około pięćdziesiątki, ona – dwudziestoletnia mniej więcej studentka, z pewnością nie z tych najzdolniejszych. Szli, trzymając się za ręce. Mężczyzna wspinał się niezdarnie na koślawych nogach, sapał i śmiał się, odsłaniając złote zęby. Wachlował się nieustannie wachlarzem z wymalowanym godłem *hi-no maru**. Dziewczyna szła, potykając się o korzenie drzew i przekrzywiając pantofle na wysokich obcasach. Ubrana była w strój marynarski, wargi miała umalowane grubą warstwą szminki, paznokcie pomalowane na

* *Hi-no maru* – godło państwowe Japonii; czerwona tarcza symbolizująca słońce na białym tle.

jaskrawy czerwony kolor. Na wysokości piersi zwisał jej niezbyt estetycznie zwinięty ręcznik do ocierania potu. Ale oto i następna grupa – trzech studentów i trzy otyłe dziewczęta. Chłopcy nieśli marynarki przewieszane przez ramię, dumnie demonstrując pasiaste koszule w obłąkańczych kolorach. Jakby tego było mało, już z daleka stały się widoczne między przykrótkimi nogawkami spodni a butami skarpetki w szkarłatnoczerwone, zielone i żółte paski. Na palcach lewej ręki lśniły zuchwale pierścionki ze złota. Ich towarzyski, kołysząc biodrami, wołały:

– Ojej, jesteście zmęczone. Słuchajcie, zatrzymajmy się gdzieś tutaj...

Panowie intelektualiści nie przerwali jednak marszu. Grube panny nie miały wyjścia i z naburmuszoną miną brnęły dalej pod górę, zrywając i porzucając po drodze kwiaty dzikiej róży. Za grupą niezgrabny młodzieniec w kamizelce zapiętej na ostatni guzik ciągnął za sobą niezgrabną kobietę w długiej sukni. Uśmiech nie zniknął z twarzy młodzieńca. W uśmiechu można było wyczytać i pewność siebie, i samouwielbienie, które, jak należy przypuszczać, nim minie dziesięć lat, ustąpią miejsca uśmiechowi rezygnacji, pełnemu gorzkiej świadomości. Kobieta, z którą szedł, zdradzała cechy znarowionego konia. Jej suknia, pełna niepotrzebnych fałd i wypustek, przypominała świecę oblepioną spływającym woskiem. Bogata biżuteria, którą była obficie obwieszona, pobrzękiwała z każdym krokiem jak dobytek ulicznego sprzedawcy dzwonków. W oczach kobiety czaiła się złość, stanowczo zaciśnięte wargi były pełne wyrzutu pod adresem bałwana, który ją tu zaciągnął i jeszcze kazał drapać się pod górę. Za nimi szedł wychudzony, blady chłopak, trzymając za rękę starszą cudzoziemkę o pokażnej tuszy. Rolę kierownika

najwyraźniej odgrywała tu kobieta. Jej towarzysz miał nisko pochyloną głowę, mogło się wydawać, że czuje się zawstydzony. Kobieta spojrzała w jego stronę i ledwie dostrzegalnie musnęła go językiem po policzku. Podniosła głowę i okazało się, że to Japonka. Jej rude włosy były ufarbowane. Za nimi...

Sachio i Hideko przerwali obserwację, ponieważ pierwsza para dotarła już na ich polanę. Pięćdziesięcioletni mężczyzna, nieco podchmielony, miał ochotę poflirtować dla zabawy z Hideko, ale zanim jeszcze Sachio zdążył zareagować, został boleśnie uszczypnięty przez idącą z nim studentkę.

Ludzka fala stopniowo zalała polanę. Sachio i Hideko, przytłoczeni, nie byli w stanie wydobyć słowa. Nawet nie bardzo zdawali sobie sprawę z tego, co zaszło. Przez chwilę zdawało się im, że tłum przybył specjalnie po to, aby wnieść zamęt w ich cichy, samotny kącik, który, prócz porannego świergotu ptaków, nie zakłócał żaden dźwięk. Od razu jednak zrozumieli, że tylko to sobie wmawiają. Pary zakochanych porozsiadały się na pniach i spokojnie przystąpiły do rozkładania przyniesionych zapasów. Sachio i Hideko odczuli jakąś gorzką satysfakcję, że siedzą milcząco i nieśmiało uśmiechnięci pośród tej hałaśliwej, ucztującej ciżby.

Buczenie syreny oznajmiło południe. Tu i ówdzie rozległy się przestraszone kobiece głosy. Być może syrena zawyła zbyt nagle i za blisko, ale ten przestрах mógł świadczyć też o wciąż żywym wspomnieniu nalotów. Jedna para, w popłochu, zaczęła szybko chować jedzenie z powrotem do torby. Wyglądało to dość śmiesznie i żałośnie. Odgłos milknącej syreny pobrzmiwał jeszcze przez pewien czas, zmuszając wszystkich do milczenia.

– Nie mają pojęcia, co to takiego niedziela – wyszeptał Sachio.

– Bo nie mają naszego uporu, o! – odpowiedziała Hideko. Tego mogli być pewni. Spakowali swoje rzeczy i ruszyli w dół krętą drogą. W dole ujrzeli szosę, a na niej masę ludzi. Na białawą powierzchnię drogi wyraźnie kładły się cienie poszczególnych postaci. Niezliczone cienie posuwały się wolno, leniwie, wypełniając całą szerokość szosy. Dokąd szli – nie wiadomo. Patrząc z góry, z oddalenia, jeszcze trudniej było dostrzec cel tego marszu.

Herbaciarnia, przedtem pusta, teraz, w drodze powrotnej, była wypełniona do ostatniego miejsca. Nasza oszczędna para minęła ją, nie zatrzymując się. Od tego miejsca serpentyna nie była już tak stroma i prowadziła łagodnie w dół, aż do drogi. Ludzie szli nieprzerwanie w górę, wzbijając kłęby kurzu. Na każdym zakręcie siedziały grupki osób. Z sobie tylko wiadomych powodów ulokowały się na trawie tuż przy szosie i spokojnie zjadały swoje zapasy.

Ciekawe – dziwili się Sachio i Hideko – że nie poszukają sobie lepszego miejsca zamiast siedzieć tutaj i jeść zakurzony posiłek. W gruncie rzeczy to raczej oni czuli się niezręcznie, mijając po drodze ludzi spożywających w skupieniu *norimaki* na skraju szosy. „Lepsze miejsce” nie było im do niczego potrzebne, tacy już byli. A pikniki to rozrywka dla takich właśnie osób.

Chmury znowu zaczęły przesłaniać słońce. Światło, z trudem przebijając się przez kłęby chmur, padało na taflę jeziora tysiącem cudownych, tęczyowych smug. Droga prowadząca wzdłuż jeziora, dokąd światło nie docierało, poszarzała, ludzkie cienie znikwały jeden po drugim. Sachio i Hideko widzieli, jak rozpływają się na szarobiałej ziemi ich własne cienie i jak, na podobieństwo składanego wa-

chlarza, gasną w chmurach promienie światła. I w takiej scenerii – te milczące tłumy! Kim oni są? Skąd przychodzą, dokąd idą tak, bez jednego słowa, znużeni, z trudem powłócząc nogami? Na twarzy każdego z tych ludzi Sachio widział wyraz niewypowiedzianego smutku.

W doskonałych humorach, w nastroju, którego nie mógł zakłócić żaden wyraz czyjejs twarzy – bo i cóż mogło ich to obchodzić – okrążyli jezioro S. Szli, przystając co jakiś czas dla wytchnienia, to znów podśpiewując w marszu. Kiedy, trzymając się swobodnie za ręce, mijali grupę studentów wyraźnie szukających zaczepki, stali się przedmiotem głośnych kpin i żartów. Nieco wystraszeni i spięci, pogrążyli się w myślach. A może na ich twarzach malował się taki sam wyraz smutku i znużenia, jaki widzieli w tłumie mijanych po drodze ludzi? Sami nie odczuwali najmniejszego zmęczenia, ale pod wpływem głuchego łoskotu samolotów, przecinających zachmurzone niebo, wskutek ich ponurej, przenikającej ciało wibracji mimo woli udzielił im się nastrój przygnębienia i znużenia. Jezioro przypominało im teraz wielką kadź, po której, rozbryzgując na wszystkie strony wodę, pędziły mikroskopijne łódeczki.

Kiedy dotarli do stacji, była już czwarta po południu. Panował nieopisany zgiełk, ale Sachio i Hideko, z powrotnymi biletami w ręku, bez trudu minęli bramkę i znaleźli się na peronie, w samym środku niebywałego ścisku. Lada moment miał wjechać dodatkowy pociąg i tłum, rozgorączkowany nieskrywaną wolą walki o jak najlepsze miejsce, zaczął przepychać się na wąskim peronie. Odbywało się to bez słów – ramię naciskało na ramię sąsiada, pakunki nawzajem ocierały się o siebie, rzucano ukradkiem spojrzeń. Sachio i Hideko, wciąż trzymając się za ręce, zostali odepchnięci na sam skraj peronu, już poza dozwoloną

granicę oznaczoną białym pasem. Z powodu braku personelu nie było komu ich upomnieć.

O szesnastej siedem dodatkowy pociąg nadjechał w obręb peronu. W zamieszaniu, na ułamek sekundy przed wjazdem pociągu, stało się nieszczęście. Tłum naparł za wcześnie i zepchnął dwie, stojące na samym przedzie, osoby. Wszystko stało się tak nagle, że nie można było nawet wskazać, kto zawinił. Naturalnie, nie stało się to z czyjejsz złej woli, ale czy brak złej woli może być usprawiedliwieniem? Dobra wola i obojętność mogą doprowadzić do śmierci niemałej liczby ludzi. Tego konkretnego wypadku jednak lepiej byłoby raczej nie łączyć ze sprawą woli. W miłości Sachio i Hideko był upór, ale brakowało w niej woli. Tych dwoje zbyt mocno wierzyło w rzeczy, w które wypada wierzyć.

Ponieważ trzymali się za ręce, musieli zginąć oboje. Sachio, padając, pociągnął za sobą Hideko. Kiedy w przerażeniu, wywołanym tragicznym wypadkiem, zaczęto cofać skład pociągu, na kamieniach wypełniających torowisko ukazały się dwie, leżące dokładnie jedna obok drugiej, głowy kochanków. Wszyscy byli pod wrażeniem tej magicznej zgoła sztuki i gotowi byli nieomal pójść do maszynisty z wyrazami uznania dla jego kunsztu.

W biurze nie przyjęto jeszcze nikogo nowego, więc dwa krzesła wciąż stały puste. Praca posuwała się jednak naprzód bez opóźnień, słońce wstawało nadal na wschodzie, po wtorku była środa, kot nie przestawał łowić myszy, a kierownik biura chodzić na bankiety.

Czasami tylko, zdarzało się, koledzy spoglądali na dwa puste krzesła i szeptali z podziwem:

– Patrzcie tylko! Umarła Niedziela.

Fontanny w deszczu

Chłopak szedł zmęczony w deszczu, ciągnąc za sobą bezwładną dziewczynę jak worek piasku. Dziewczyna nie przestawała płakać.

Właśnie przed chwilą w kawiarni w biurowcu Marunouchi powiedział jej, że odchodzi. Pierwszy raz w życiu zerwał z kobietą!

Dokonało się coś, o czym marzył od dawna. Długo czekał na tę chwilę, kiedy będzie mógł, niczym władca, który ogłasza proklamację, wypowiedzieć te słowa: „Rozstajemy się!”. Dla tej jednej chwili kochał albo może udawał tylko, że kocha dziewczynę, używał wszystkich sposobów, by ją zdobyć, czynił różne starania, stwarzając sytuacje, by mogli się ze sobą przespać, tylko dlatego się z nią kochał. Aż nadeszła ta chwila. Wszystko było przygotowane, mógł te słowa wypowiedzieć.

Słowa, od których niebiosa, z jego wyłącznie woli, miały się rozpaść na dwoje. Słowa, co do których stracił już niemal wiarę, że kiedykolwiek je wypowie, a jednocześnie nie przestawał gorąco wierzyć, że może jednak, któregoś dnia... Te najcudowniejsze w świecie, heroiczne słowa, jak strzała, która wypuszczona z łuku przecina powietrze

i zmierza wprost do celu. Słowa-zaklęcia, które jedynie wybranym z wybranych wolno wypowiedzieć, wybranym z wybranych mężczyznom. Słowa: „Rozstajemy się!”.

Akio nie mógł sobie jednak darować, że te wypowiedziane przez niego słowa zabrzmiały potwornie niewyraźnie. Tak jakby był astmatykiem z zaflegmionym gardłem, który nie jest w stanie odchrząknąć, nawet popijając wodę.

Najbardziej obawiał się, że słowa mogły pozostać nieusłyszane. Już prędzej wolałby umrzeć, niżby miała go zapytać: „Słucham?”, a on musiał je powtórzyć. To tak, jak gdyby gęsi, która od dawna marzyła, by znieść złote jajo, wreszcie się to udało, ale zanim zdążyła się tym pochwalić – jajo się stłukło. A drugi raz niełatwo byłoby takie jajo znieść.

Szczęśliwie został jednak usłyszany. Naprawdę miał wielkie szczęście, że nie musiał powtarzać tego, co powiedział. Akio mógł wreszcie o własnych siłach przekroczyć ową niebotyczną strażnicę, która od dawna majaczyła gdzieś hen, ponad górami.

Potwierdzenie, że został usłyszany, otrzymał natychmiast, jak gumę do żucia, która wyskakuje z automatu za naciśnięciem guzika.

W kawiarni panował gwar, od którego szumiało w głowie. Mieszały się i zderzały ze sobą odgłosy rozmów, brzęk talerzy, dzwonek otwieranej kasy mechanicznej, a ponieważ zamknięto przed deszczem okna, ten ogłuszający rwetes odbijał się od szyb zaparowanych wilgocią i duchotą. W tej samej chwili, gdy słowa Akio, pokonując hałas, dotarły do uszu Masako, jej oczy – z natury duże, jak gdyby usiłowały odwrócić uwagę od jej szczupłej, dość pospolitej twarzy – rozwarły się jeszcze szerzej niż zazwyczaj.

To nie były po prostu oczy, to było jedno wielkie nieszczęście, nieodwracalna katastrofa. W tej samej chwili popłynęły z nich łzy.

Masako nie szlochała, nie zanosila się głośnym płaczem. Tylko łzy płynęły rzęsiście, ot tak, niczego nie wyrażając.

Akio był pewien, że strumień ogromnych, obficie płynących łez niebawem ustanie. Świadomość, że przygląda się temu widowisku, zachowując w duchu chłód orzeźwiającej mięty, sprawiała mu satysfakcję. Wszystko to w najdrobniejszych szczegółach zaplanował, przeprowadził i urzeczywistnił z imponującym, chociaż, być może, nieco mechanicznym rezultatem.

Powtarzał sobie: „To dla tej właśnie chwili kochałem się z Masako, ja, człowiek całkowicie wolny od pragnień”.

Oto widzi przed sobą zapłakaną twarz kobiety w całej realności! Najprawdziwszej, autentycznie porzuconej kobiety, porzuconej przez niego, Akio!

Potok łez płynął nieustannie i nic nie wskazywało, aby miał ustać. Przeciwnie, płynął z niesłabnącą intensywnością i Akio zaczął się przejmować reakcją otoczenia.

Masako, ciągle w swoim jasnym przeciwdeszczowym płaszczu, siedziała wyprostowana na krześle. Spod klap płaszcza wyglądał kołnierzyk bluzki w czerwoną szkocką kratkę. Obiema dłońmi kurczowo trzymała się krawędzi stolika, jakby zastygła w tej pozycji.

Wpatrywała się przed siebie i pozwalała łzom płynąć niczym niehamowanym strumieniem. Nie próbowała nawet sięgnąć po chusteczkę, żeby wytrzeć oczy. Jej oddech łamał się w delikatnej krtani, wydając regularny dźwięk, przypominający skrzypienie nowych butów, jej wargi, nieumalowane, z dziewczęcą przekorą naburmuszone i wy-

dęte do góry – drżały. Starsi goście w kawiarni zaczęli się im przyglądać z zainteresowaniem. Spojrzenia te psuły samopoczucie chłopaka, który chciał wierzyć, że dołączył wreszcie do świata dorosłych.

Obfitość łez Masako była zdumiewająca. Ich natężenie nie malało ani na chwilę. Znużony tym widokiem Akio spuścił wzrok i skierował go na czubek parasola, który oparł o krzesło. Spływające krople deszczowej wody utworzyły niewielkie, ciemne kałuże na kafelkach ułożonych na podłodze w niemodny, mozaikowy wzorek. Nawet te kałuże przypominały Akio łzy Masako.

Nagłym ruchem wziął rachunek ze stolika i wstał.

Czerwcowy deszcz padał od trzech dni bez ustanku. Wyszedł z biurowca Marunouchi i otworzył parasol. Dziewczyna w milczeniu szła za nim. Nie miała parasola. Chcąc nie chcąc, Akio musiał ją wziąć pod swój. Poczul, że oto pojął i przyswoił sobie obliczoną na użytek otoczenia praktykę dorosłych, w każdej sytuacji zachowujących z zimną krwią pozory dobrych manier, jakby się nic nie wydarzyło. Cóż z tego, że idą pod wspólnym parasolem zaraz po tym, jak z nią zerwał? Czyni tak przecież wyłącznie przez wzgląd na innych. Właśnie tak, stanowczo i rzeczowo. Bardzo mu to odpowiadało – być stanowczym i rzeczowym, nawet jeśli nie zawsze umiał to okazywać wyraźnie i dobitnie.

Przez cały czas, kiedy szli chodnikiem w kierunku Pałacu Cesarskiego, zaprzętała go jedna myśl – jak pozbyć się tego worka łez.

Ciekawe – pomyślał ni stąd, ni zowąd – czy w czasie deszczu z fontanny też leci woda? Zaraz, ale dlaczego przychodzi mu nagle do głowy fontanna? Zrobił jeszcze kilka kroków, gdy zdał sobie sprawę z fizycznego podłoża

dowcipu, do którego przywiódł go bieg jego myśli. Idąc obok dziewczyny pod niedużym parasolem, dotykał – chłodno i obojętnie – jej mokrego, obślizgłego niczym gad płaszcza. Pokonując niemiłe wrażenie, zmusił się, aby prześledzić drogę, jaka doprowadziła do tego żartu.

No, tak. Fontanna w deszczu. Każe łzom Masako pójść w zawody z fontanną. Nawet ona nie dorówna fontannie. Stoi na z góry straconej pozycji – musi przecież wylewać wciąż nowe łzy, tymczasem fontanny wykorzystują wciąż tę samą wodę. Choćby nie wiem jak się starała, z fontanną, pracującą w zamkniętym obiegu, nie ma szans. Nie będzie miała wyjścia i przestanie wreszcie płakać. Wtedy on pozbędzie się tego balastu. Pytanie tylko, czy fontanny działają w czasie deszczu.

Akio szedł w milczeniu. Masako, nie przerywając płaczu, szła obok niego z żalonym uporem, chroniąc się pod wspólnym parasolem. Może niełatwo będzie mu się jej pozbyć, ale nie powinien mieć trudności, żeby zaprowadzić ją, gdzie zechce. Z powodu deszczu i łez Akio czuł się na wskroś przemoczony. Masako, w białych, wysokich butach, nie mogła narzekać, ale on, w mokasynach, czuł, jakby zamiast skarpet jego stopy oblepiły grube płyty mokrych wodorostów *wakame*.

Ludzie nie wychodzili jeszcze z biur, chodniki były więc puste. Przeszli po pasach i skierowali się w stronę mostu Wadakura. Zbliżając się do zejścia z mostu ogrodzonego staromodną drewnianą balustradą, zwieńczoną kulistymi zdobieniami, zobaczyli na lewo łabędzia pływającego po fosie, a na prawo, na drugim brzegu fosy niewyraźny obraz białych obrusów i rzędów czerwonych krzeseł zamajaczył im przez zaparowane w deszczu okna restauracji hotelu P. Zeszli z mostu. Idąc wąską drogą, pomiędzy wy-

sokimi kamiennymi ogrodzeniami, skręcili w lewo i znaleźli się w parku z fontannami.

Masako, nie wydobywając z siebie ani słowa, wciąż bezgłośnie płakała.

U wejścia do parku stała duża altana w zachodnim stylu. Pod jej dachem krytym plecioną wikliną stały ławki, w miarę chronione przed deszczem. Akio, nie składając parasola, przysiadł na jednej z nich. Masako, wciąż płacząc, siadła ukosem do niego, tak że tuż pod czubkiem nosa miał rękaw jej białego płaszcza i zmoczone włosy. Kropelki deszczu, strącone z natłuszczonych włosów, utworzyły pajęczynkę filigranowych kuleczek białej rosy. Płacząc bez ustanku i z szeroko otwartymi oczami, sprawiała wrażenie, jakby popadła w stan odrętwienia, i chłopaka kusiło, aby pociągnąć ją znienacka za włosy i przywrócić do przytomności.

Dziewczyna nadal płakała w milczeniu. Wyraźnie czekała, by się do niej odezwał, co jeszcze bardziej utwierdziło go w zawziętym postanowieniu, aby nic nie mówić. Uświadomił sobie naraz, że odkąd wypowiedział tamto zdanie, nie odezwał się ani słowem.

Przed nimi fontanny wyrzucały w górę strumienie wody, Masako jednak nie zwracała na nie najmniejszej uwagi.

Od strony ławki widać było, że trzy różnej wielkości fontanny stoją w rzędzie jedna za drugą. Odgłos wody, zagłuszany szumem deszczu, wydawał się odległy i przytłumiony. Było za daleko, by dojrzeć tworzącą się z opadającej wody pianę, ale tym wyraźniej widoczne były strumienie wyrzucanej wody, które niczym wygięte szklane rury przecinały we wszystkich kierunkach powietrze.

Wokoło nie było żywej duszy. Trawnik między ławką a fontannami oraz żywopłot z azaliowych krzewów uderzały świeżą, intensywną zielenią.

Tymczasem za parkiem nieprzerwanie przesuwały się kawalkady mokrych od deszczu kabin ciężarówek oraz czerwonych, białych i żółtych dachów autobusów. Wyraźnie widać było czerwone światła na skrzyżowaniu, ale kiedy zmieniały się na dolne, zielone – ginęły z pola widzenia, ukryte za mgłą rozpylonej wody z fontanny.

To siedzenie w milczeniu wywołało w chłopaku jakąś nieokreśloną złość. Wyparowało gdzieś miłe rozbawienie wywołane żartem, który przyszedł mu na myśl.

Sam dobrze nie wiedział, co go tak zezłościło. Jeszcze chwilę wcześniej był w stanie euforii, a teraz popadł w niezrozumiały stan przygnębienia. To, że nie umiał sobie poradzić z płaczącą bez ustanku Masako, nie do końca tłumaczyło przykre, męczące uczucie frustracji.

Ba, gdyby o to tylko chodziło, poradziłbym sobie bez trudu. Zepchnąłbym ją zwyczajnie do fontanny, i w nogi – pomyślał i poprawił mu się nieco nastrój. Gdyby tylko nie ten paskudny, wszechobecny deszcz, lży i to ponure, ołowiane niebo, tak przygnębiające! Czuł się osaczony ze wszystkich stron, a jego poczucie wolności przemieniło się w coś w rodzaju mokrej ścierki...

Z wściekłości chłopak nabrał ochoty, aby zrobić coś dla samej przyjemności zrobienia czegoś złośliwego. A niech sobie Masako moknie na deszczu, aż będzie miała po dziurki w nosie widoku fontanny!

Wstał i, nie oglądając się, ruszył biegiem zwirową ścieżką wokół obramowania trzech fontann, położoną nieco ponad poziomem spacerowego chodnika. Dobiegł do miej-

sca, skąd dobrze widział wszystkie trzy fontanny, i przystanął.

Dziewczyna dogoniła go w deszczu. Nieomal wpadając na niego, zatrzymała się i kurczowo złapała za rączkę parasola, który trzymał nad sobą. Jej twarz, mokra od łez i deszczu, była blada. Z trudem łapiąc oddech, rzuciła:

– Dokąd idziesz?

Akio zamierzał w ogóle się nie odzywać, ale na te słowa odpowiedział ze swadą:

– Popatrz na fontanny. No, patrz! Możesz sobie płakać, ile tylko chcesz, i tak z nimi nie wygrasz.

Parasol przechylili nieco na bok i, uwolnieni od konieczności patrzenia na siebie nawzajem, z niejaką ulgą przyglądali się przez chwilę trzem fontanom – jednej, zdecydowanie bardziej okazałej, po środku, oraz dwu skromniejszym po obu stronach, jakby giernkom usługującym centralnej figurze.

Od wody tryskającej i spadającej z fontann nieustannie kotłowało się w basenach, co sprawiało, że prawie nie było widać śladów kropel deszczu uderzających o taflę wody. Jeśli sporadycznie dolatywały do młodych jakieś odgłosy, były to, o dziwo, jedynie nieregularne pomruki samochodów przejeżdżających w oddali, a szum fontann tak ściśle stapiał się z powietrzem, że gdyby nie wsłuchiwać się bardzo uważnie, można by mieć wrażenie, że jest się zamkniętym w doskonałej ciszy.

Strumienie wody uderzały najpierw o powierzchnię i rozbryzgiwały się pióropuszcami drobnych kropelek, po czym, zamienione w pulsujący potok, z impetem przelewały się na zewnątrz przez czarną cembrowinę granitowej misy.

Nad każdym z basenów górował słup centralnej fontanny, otoczony przez przyboczną gwardię złożoną z sześciu wodnych węży, kreślących w powietrzu wyginające się daleko łuki.

Przyglądając się uważniej, można było dostrzec, że strumień wyrzucany ze środkowej fontanny nie zawsze osiąga przed opadnięciem tę samą wysokość. Jego najwyższy punkt był za każdym razem inny, mimo że dzień był bezwietrzny i woda mogła bez przeszkód strzelać prosto w górę ku ołowianemu, deszczowemu niebu. Chwilami postrzępioną grzywę wody wynosiło na zdumiewającą wysokość, skąd opadała z powrotem w postaci pióropuszu rozproszonych kropeł.

Zbliżając się do szczytu, woda, ocieniona przez zachmurzone niebo, które przez nią prześwitywało, przyjmowała barwę szarości z lekką domieszką białego pigmentu i przypominała bardziej puder zmoczony wilgotną mgłą niż wodę. U podstawy środkowej fontanny kołysały się na wodzie czuby piany, podobne do wielkich płatów śniegu zmieszanego z deszczem.

Jednak bardziej niż trzy wyrzucane pionowo w górę centralne słupy wody uwagę Akio przyciągał kształt bijących wkoło zakrzywionych łuków.

I rzeczywiście boczne łuki wody, zwłaszcza te ze środkowej fontanny, wylatywały białymi grzebieniami daleko, znacznie poza obręb granitowej krawędzi basenu, po czym z gracją zlewały się z jego powierzchnią. Widok wody, pierzchającej niezmordowanie na wszystkie strony, niemal bez reszty pochłonął uwagę chłopaka. Ani się spostrzegł, gdy jego myśli, jeszcze przed chwilą skupione na tym, co tu i teraz, urzeczone wodą, zostały uniesione jej nurtem i odrzucone hen daleko.

Działo się to samo, kiedy przyglądał się środkowemu słupowi wody.

Na pozór wyglądał jak nieruchoma, pełna godności statua wyrzeźbiona z wody. Jednak przypatrując się uważnie, ujrzał, jak przez środek tego wodnego słupa nieustannie pulsuje z dołu do góry i z góry na dół przezroczysty duch ruchu. Z ogromną prędkością unosił się, wypełniając stopniowo z dołu do góry przestrzeń zamkniętą w walcu i, jak gdyby w trosce o utrzymanie stałej równowagi, usiłował za każdym razem kompensować poniesioną stratę. Choć z góry nie ulegało wątpliwości, że gdy osiągnie szczyt, i tak się załamie, Akio był pod wrażeniem niezłomności tej siły, która podtrzymywała powtarzający się ciąg nieprzerwanych klęsk.

Chłopak miał świadomość, że przyprowadził tutaj dziewczynę, żeby to jej pokazać fontanny, tymczasem, zachwycony ich wspaniałością, sam wpatrywał się w nie jak urzeczony. Uniósł wzrok w górę, ku niebu, z którego lał się przenikający wszystko deszcz.

Krople spadły mu na rzęsy.

Niebo, zewsząd zasklepięte gęstymi chmurami, wisiało nisko nad jego głową. Deszcz nie przestawał padać ani na chwilę. Był wszechobecny. Deszcz, który padał mu na twarz, był tym samym deszczem, który padał na widoczne w oddali dachy budynków z czerwonej cegły i hotelu. Zarówno jego pozbawiona niemal zarostu, gładka, połyskująca twarz, jak i chropowata warstwa betonu pokrywająca dach któregoś z tych opuszczonych budynków były po prostu bezbronnymi powierzchniami, które, nie stawiając najmniejszego oporu, wystawiały się na ten sam deszcz. Deszczowi było najzupełniej obojętne, czy pada na jego policzki, czy na brudny beton – były tym samym.

Widok fontann z naprzeciwka został natychmiast wytarty z jego świadomości. Fontanny w deszczu wydały mu się naraz niczym innym jak niekończącym się powtórzeniem tego samego bezsensownego, bezużytecznego cyklu.

Zapomniał zarówno o żarciu, który przyszedł mu niedawno do głowy, jak i o złości, jaka po nim przypląnęła. Czuł, jak szybko jego umysł wypełnia pustka.

Tę pustkę wypełniał jedynie padający deszcz.

Chłopak w roztargnieniu ruszył z miejsca.

– Dokąd idziesz? – spytała dziewczyna, starając się dostrzymać mu kroku w wysokich butach, tym razem mocno trzymając się rączki parasola.

– Dokąd? To chyba moja sprawa, co? Przecież niedawno wyraźnie ci powiedziałem, prawda?

– Że co?

Przerażony, patrzył na nią. Deszcz zmył już z jej mokrych policzków ślady łez i, mimo że jej opuchnięte, czerwone oczy wciąż jeszcze przypominały o niedawnym płaczu, jej głos był pewny i w ogóle nie drżał.

– Jak to „co”? Przecież powiedziałem ci wyraźnie, że się rozstajemy, tak czy nie?

W tym momencie, gdy szła w deszczu przed siebie, spoza jej profilu dostrzegł, że krzewy azalii na trawniku skąpo rozkwitły to tu, to tam małymi szkarłatnymi kwiatami.

– Co? Tak powiedziałeś? Nic nie słyszałam. – Jej głos brzmiał jak zwykle.

Chłopak z wrażenia zachwiał się na nogach. Z trudem zrobił jeszcze kilka kroków, zanim odzyskał mowę i wyjąkał:

– Zaraz... Chwilę, ale w takim razie, czemu płakałaś? Nic nie rozumiem.

Nie odpowiedziała od razu. Jej mała, mokra dłoń wciąż trzymała się kurczowo rączki parasola.

– Łzy mi po prostu pociekły. Ot tak, bez specjalnego powodu.

Wściekły, chciał coś wrzasnąć, ale zamiast krzyku wstrząsnęło nim potężne kichnięcie.

O-o niedobrze – pomyślał. – Tylko tego brakowało, żebym złapał katar.

Perła

Pani Sasaki obchodziła dziesiątego grudnia urodziny, ponieważ jednak miała w zwyczaju załatwiać wszystko możliwie jak najprościej, zaprosiła na popołudniową herbatkę tylko najbliższe koleżanki. Zebrały się panie Yamamoto, Matsumura, Azuma i Kasuga. Wszystkie były rówieśnicami gospodyni, która kończyła czterdzieści trzy lata. Należały, by tak rzec, do grona wtajemniczonych, co pozwalało mieć pewność, że nikt postronny się nie dowie, ile świeczek znalazło się tego dnia na urodzinowym torcie. Dobierając w ten sposób gości, pani Sasaki wykazywała wielką roztropność.

Tego dnia postanowiła włożyć na palec pierścionek z perłą. Uznała, że pierścionek z brylantem byłby zbyt ostentacyjny jak na przyjęcie z udziałem samych koleżanek, a poza tym perła lepiej pasowała do koloru sukni, którą miała tego dnia na sobie.

Na samym początku spotkania, gdy pani Sasaki jeszcze raz badawczo przyglądała się ciastu, perła wypadła z nieco luźnej oprawy pierścionka. Zły omen jak na uroczysty dzień – pomyślała, ale ponieważ uznała, że byłoby niewłaściwe zaprzętać niefortunnym zdarzeniem uwagę ze-

branych, położyła perłę obok dużej patery z ciastem, obiecując sobie zająć się sprawą później. Wokół rozłożone były talerzyki, widelce oraz papierowe serwetki dla pięciu osób. Przyszło jej na myśl, że wolałaby, aby podczas krojenia ciasta nie widziano, że na jej palcu brakuje perłowego oczka, zdjęła więc pierścionek i zręcznym ruchem odłożyła za siebie, do wnęki w ścianie. W gwarze rozmów, pośród zachwyków nad prezentami od przyjaciółek, solenizantka szybko zapomniała o perle. Zapalono świece na urodzinowym torcie, bohaterka wieczoru je zdmuchnęła – wszystko przebiegało zgodnie z ustalonym porządkiem. Zapalenie i gaszenie czterdziestu trzech świeczek było czynnością dość absorbującą, więc panie, przekrzykując się nawzajem, zgromadziły się wokół stolika z tortem i zgodnie pomagały w tej operacji.

Pani Sasaki miała za słabe płuca, żeby zdmuchnąć wszystkie świece naraz. Jej nieporadność dostarczyła dodatkowej okazji do swobodnych żartów. Kolejność była taka, że gospodyni najpierw wykonywała śmiało cięcie nożem, a następnie nakładała na podsuwany talerzyk porcję kawałku tortu takiej wielkości, jakiej życzyły sobie koleżanki, po czym każda wracała na swoje miejsce przy stole i zabierała się do jedzenia. Ponieważ panie wyciągały jednocześnie ręce z talerzykami, nad tortem panował wesoły gwar.

Szczyt tortu przystrojony był kwiatową kompozycją ułożoną z kremu, obficie ozdobioną maleńkimi srebrnymi kuleczkami. Ot, taka dekoracja z posrebrzanych kryształków cukrowych, dość powszechnie stosowana przy tego rodzaju tortach. W tumultcie, jaki towarzyszył rozdzielaniu i walce o swoją porcję, ozdobne płatki cukru, okruszki biszkoptowego ciasta i owe srebrne kuleczki spadały na

biały obrus. Niektóre z pań sięgały po nie palcami i kładły na talerzu, inne wkładały je sobie wprost do ust. Po jakimś czasie wszystkie panie powróciły na swoje miejsca za stołem i pośród głośnych śmiechów i przekomarzań zajadały tort w swobodnej atmosferze. Pani Sasaki nie piekła go sama, tylko zamówiła w wytwornej firmie cukierniczej, ale mimo to przyjaciółki prześcigały się w pochwałach, jaki smaczny.

Panią Sasaki przepełniało szczęście. Naraz przypomniała sobie o perle, którą niedawno odłożyła, i tknięta niepokojem, najnaturalniej jak umiała, wstała od stołu i poszła, by rzucić na nią okiem. Tam, gdzie była przekonana, że ją odłożyła – perły nie było.

Pani Sasaki nie znosiła gubienia rzeczy. Wiele się nie zastanawiając i nie zważając na to, że przyjęcie było w toku, z zapamiętaniem oddała się poszukiwaniom. Jej nerwowe ruchy zwróciły uwagę obecnych.

– Czy coś się stało? – ktoś zapytał.

– Nie, nie, nic takiego... To tylko chwilka... – odpowiedź pani Sasaki była mglista i wymijająca, ale zanim jeszcze zdecydowała się powrócić na miejsce, jej przyjaciółki, jedna za drugą, wstawały kolejno od stołu, aż na koniec całe towarzystwo, odgarnawszy obrus, znalazło się na kolanach i czołgało po podłodze.

Pani Azuma wzburzyła się nie na żarty. Była zła na gospodynię, że podnosi taki raban z powodu byle perły. Dla ratowania sytuacji postanowiła się poświęcić. Oświadczyła z heroicznym uśmiechem na twarzy:

– No tak, jasne. To musiała być perła! To, co zjadłam przed chwilą. Gdy brałam mój kawałek tortu, spadła na obrus srebrna kuleczka. Wiele się nie zastanawiając, wzięłam ją palcami i połknęłam. Prawdę mówiąc, zdawało mi

się nawet, że jakoś z trudem przechodzi mi przez gardło. Gdyby to był brylant, rzecz jasna oddałabym go, choćbym nawet miała poddać się operacji. Ale skoro to zwykła perła – wybaczysz mi, moja droga, prawda?

Ta deklaracja w jednej chwili przyniosła ulgę zebranych paniom, a co najważniejsze, przyszła, jak się zdawało, w samą porę na ratunek gospodyni. Nikomu przez myśl nawet nie przeszło, by można zakwestionować prawdziwość wyznania pani Azumy. Pani Sasaki włożyła do ust jedną ze srebrnych kuleczek rozsypanych na stole.

– Mmm, no tak – skomentowała. – Rzeczywiście można wziąć to za perłę.

Drobne wydarzenie utonęło w powodzi żartów i szybko zostało zapomniane.

Po spotkaniu pani Azuma wracała do domu sportowym samochodem, odwożąc na siedzeniu dla pasażera panią Kasugę, bliską przyjaciółkę, która mieszkała niedaleko od niej.

– Przyznaj się. To ty połknęłaś tę perłę, prawda? Wzięłam to na siebie, żeby cię kryć.

Brutalne do bólu słowa, jeśli nawet podyktowane szczerą przyjaźnią i wypowiedziane w tonie serdecznej troski, dla pani Kasugi były po prostu potwornym, całkowicie bezpodstawnym oskarżeniem. W żaden sposób nie przypominała sobie, aby mogła przez pomyłkę zamiast srebrnej kuleczki połknąć perłę. W sprawach dotyczących jedzenia była pedantyczna aż do przesady i wystarczył jeden włos znaleziony w potrawie, żeby nie przełknęła nawet kęsa. I pani Azuma musiała doskonale o tym wiedzieć.

– Jak możesz?! W życiu bym czegoś podobnego nie zrobiła! – Z natury nieśmiała pani Kasuga zaoponowała

cichym głosem, przyglądając się badawczo minie przyjaciółki.

– Nie udawaj, to na nic. Domyśliłam się natychmiast, gdy zauważyłam, jak pobladałaś.

Drobne zajście, któremu odważne wyznanie pani Azumy położyło – jak się zdawało – kres, pozostawiło po sobie przykre, niejasne uczucie niesmaku. Zastanawiając się, jak dowiedzie swojej niewinności, pani Kasuga wyobraziła sobie, że gdzieś w jej wnętrzościach tkwi perła. Wydawało się jej niemożliwe, aby przez pomyłkę zamiast srebrnej kulczki włożyła do ust perłę, ale kto wie, co w zamieszaniu zabawy mogło się wydarzyć. Próbowwała prześledzić w pamięci przebieg zdarzeń, ale absolutnie nie przypominała sobie momentu, kiedy mogła ją włożyć do ust. Chociaż, z drugiej strony, jeśli połknęła ją niechcący, nie może przecież tego pamiętać.

Nagle coś przyszło jej na myśl i oblała się pąsem. Zdała sobie sprawę, że jeżeli perła znalazła się w organizmie, po dwóch–trzech dniach z pewnością wydostanie się na zewnątrz, może tylko nieco zmatowiała na skutek działania kwasu żołądkowego. Zaczęło jej się wydawać, że rozumie motywy, jakimi kierowała się Azuma. Zawstydzona na myśl o tym, co ją czeka, postanowiła zrzucić winę na Kasugę, udając jednocześnie, że szlachetnie wzięła ją na siebie.

W tym samym czasie panie Yamamoto i Matsumura, które wracały do domu w tym samym kierunku, jechały jedną taksówką. Gdy tylko ruszyły, pani Matsumura otworzyła torebkę, żeby poprawić makijaż. Uświadomiła sobie, że od czasu niedawnego zamieszania nie doprowadziła się jeszcze do porządku. Gdy wyjmowała puderniczkę, ujrzała, jak coś nagle spada na dno torebki, połyskując mato-

wym światłem. Koniuszkami palców wymacała przedmiot, wzięła go do ręki i ze zdumieniem stwierdziła, że to perła. Stłumiła okrzyk zdumienia. W żadnym razie nie miała ochoty na to, aby koleżanka, z którą od pewnego czasu była w nie najlepszych stosunkach, poznała jej tajemnicę, mogącą ściągnąć na nią straszliwe podejrzenia. Na szczęście pani Yamamoto wyglądała przez okno i wszystko wskazywało na to, że nie zauważyła jej zmieszania.

Pani Matsumura była zbyt poruszona, aby próbować dojść, jakim cudem perła znalazła się w jej torebce. Zamieniła się tylko znów w tę chodzącą uczciwość, jaką była od zawsze. Wykluczone, aby nawet przez nieuwagę mogła coś podobnego zrobić. Skoro jednak przedziwnym trafem perła znalazła się w jej torebce, najwłaściwsze byłoby, nie zwlekając, wrócić do pani Sasaki i perłę oddać. W przeciwnym razie sumienie dręczyłoby ją i nie dawało spokoju, tym bardziej że rzecz dotyczyła perły, przedmiotu ani przesadnie drogiego, ani też zupełnie pozbawionego wartości.

Zważywszy jednak, że przykry incydent został dzięki wspaniałomyślności pani Azumy tak zręcznie zażegnany, nie miała najmniejszej ochoty, aby jej sąsiadka z samochodu dowiedziała się, co odkryła, a czego w żaden sposób nie umiałaby wytłumaczyć. Pani Matsumura zdecydowała, że musi natychmiast wysiąść. Udając, że przypomniała sobie nagle o chorym krewnym, którego obiecała po drodze odwiedzić, wysiadła pośrodku cichej, willowej okolicy.

Panią Yamamoto nieco zdziwiło, że złośliwy figiel, który spletała koleżance, wywołał tak gwałtowną reakcję. Przyglądając się chwilę wcześniej jej odbiciu w szybie, doskonale widziała, jak pani Matsumura znalazła w torebce perłę. Kiedy na przyjęciu pani Yamamoto pierwsza udała się po swój kawałek tortu, podniosła srebrną kulkę, która

spadła na stół, i położyła ją na swoim talerzyku. Wróciła, także przed wszystkimi innymi, na swoje miejsce i zdała sobie sprawę, że to perła. Natychmiast przyszedł jej do głowy złośliwy fortel. Korzystając z tego, że uwaga wszystkich pań skupiona była na torcie, szybko wrzuciła perłę do pozostawionej na krześle torebki Matsumury, tej nieznośnej hipokrytki.

Znalazłszy się w willowym zakątku miasta, gdzie nie miała szans złapać taksówki, pani Matsumura, wytrącona z równowagi, oddawała się gorączkowym rozmyśleniom.

Po pierwsze, nawet nie dopuszczała do siebie myśli, aby dla uspokojenia własnego sumienia miała teraz pójść i na nowo wszczynać sprawę, którą z trudem udało się już opanować. Nie zniosłaby też, gdyby przebieg zdarzenia, dla niej samej niepojęty, miał wzbudzić absurdalne wątpliwości, jeśli idzie o jej moralność. Z drugiej strony, jeśli pomimo tego rodzaju obaw, nie pośpieszy się i natychmiast nie odniesie perły, pozbawi się takiej szansy na zawsze. Gdyby odłożyła sprawę do jutra (na samą myśl o tym pani Matsumura oblała się rumieńcem), zwrócona perła mogłaby się stać przedmiotem nieprzystojnych podejrzeń.

Wreszcie wpadła na genialny pomysł, który ani nie narazi na szwank jej sumienia, ani nie ściągnie podejrzeń co do jej moralnej postawy. Przyśpieszywszy kroku, wyszła na nieco ruchliwszą ulicę. Zatrzymała taksówkę i kazała zawieźć się szybko do eleganckiego sklepu z perłami na Ginzie. Wyjęła z torebki perłę, pokazała sprzedawcy i poprosiła, aby pokazał jej podobną, tylko „żeby była odrobinę większa i wyraźnie wyższej klasy”. Niezwłocznie ją zakupiła i poleciła kierowcy zawieźć się z powrotem do domu pani Sasaki.

Niebawem odda ją koleżance, tłumacząc, że znalazła ją

w kieszeni kostiumu. Gospodyni odbierze perłę, po czym spróbuje osadzić ją z powrotem w pierścionku. Ponieważ jednak perła nie zmieści się w oczku pierścionka, pani Sasaki, zdziwiona, zechce ją zwrócić pani Matsumurze, ta jednak odmówi przyjęcia klejnotu. Pani Sasaki w tej sytuacji będzie musiała wyciągnąć następujący wniosek.

Z pewnością zrobiła to po to, aby kogoś kryć. Jeśli tak, będzie najrozsądniej, jeśli ją przyjmę. Ta Matsumura musiała widzieć, jak któraś z trzech pozostałych pań skradła perełkę. Z czwórki moich gości przynajmniej wobec niej mogę mieć pewność, że jest niewinna. W końcu żaden złodziej nie kradnie czegoś po to, by oddawać później rzecz ewidentnie cenniejszą.

Tym sposobem pani Matsumura raz na zawsze uniknie hańbiących podejrzeń i, niewielkim nakładem kosztów, uwolni się od wyrzutów sumienia.

A pozostałe uczestniczki spotkania? Pani Kasuga po powrocie do domu wciąż nie mogła dojść do siebie na myśl o niegodziwym zachowaniu się pani Azumy. Wiedziała, że jeśli sprawa odwlecze się do jutra, straci okazję, aby oczyścić się z absurdalnych podejrzeń. Aby mogła przedstawić niezbity dowód, że perły nie połknęła, jakimś sposobem musiałaby się znaleźć sama perła. Gdyby, innymi słowy, bez zwłoki wręczyła perłę pani Azumie, wykazałaby, przynajmniej w gastrycznym, jeśli nie w żadnym innym aspekcie, swą niewinność. Czekaając natomiast do jutra, gdyby nawet zdołała okazać perłę, naraża się na tak upokarzające posądzenia, że na samą myśl ogarniał ją wstyd.

Pani Kasuga, osoba nieśmiała z natury, ośmielona teraz siłą nagle podjętej decyzji, wybiegła z domu, do którego wróciła chwilę wcześniej, udała się wprost do sklepu z per-

łami na Ginzie, wybrała perłę wielkością zbliżoną do srebrnej kulki z tortu i kazała ją zapakować. Następnie zadzwoniła do pani Azumy i wyjaśniła, co się wydarzyło: wróciła właśnie do domu i oto z wiązania pasa do kimona wypadła nagle owa perła. Po czym zwróciła się do koleżanki z prośbą, żeby zechciała jej towarzyszyć, bo sama krępuje się zwrócić ją gospodyni niedawnego przyjęcia. Pani Azumie opowieść wydała się wprawdzie dość dziwaczna, ale ponieważ była to prośba dobrej przyjaciółki, zgodziła się.

Pani Sasaki przyjęła perłę, przyniesioną przez panią Matsumurę, lecz gdy stwierdziła z przykrością, że nie pasuje do pierścionka, jej myśl pobiegła dokładnie takim tropem, jak tego życzyła sobie pani Matsumura. Jakież było jej zdziwienie, kiedy mniej więcej godzinę później w towarzystwie pani Azumy przyszła pani Kasuga również zwrócić perłę. Pani Sasaki już miała wspomnieć o wcześniejszej wizycie pani Matsumury, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała i, nie dając niczego po sobie poznać, przyjęła drugą perłę. Przekonana, że tym razem już na pewno będzie pasowała, natychmiast, gdy dwie panie się pożegnały, zabrała się do mocowania perły. Ta jednak okazała się za mała i w żaden sposób nie chciała się trzymać w oprawie pierścionka. Pani Sasaki była już nie tyle zdziwiona, co kompletnie zbita z tropu.

W drodze powrotnej, siedząc w samochodzie, dwie panie gubiły się w domysłach, co druga naprawdę w duchu myśli, i chociaż bardzo zaprzyjaźnione i zazwyczaj gadaliwe, popadły teraz w milczenie.

Pani Azuma, która nawet nie dopuszczała ewentualności, że mogłaby uczynić coś nieświadomie, wiedziała z pewnością, że perły nie połknęła. Pokonując wstyd, złożyła

owo oświadczenie dla dobra zebranych, a przede wszystkim po to, aby ratować z opresji dobrą przyjaciółkę, nie słychanie przejętą tym, że znalazła się w cieniu podejrzania. Teraz jednak, wobec dziwnego zachowania koleżanki, która zadała sobie trud, żeby w jej asyście zwrócić perłę, nabrała dziwnego przeświadczenia, że za tym wszystkim musi się kryć jeszcze coś innego. Kto wie, być może nieświadomie dotykając słabego punktu koleżanki, którego nie należało dotykać, postawiła ją w sytuacji bez wyjścia, powodując, że nieświadomy impuls kleptomanii przeszedł w głęboki, trwały defekt psychiczny.

Tymczasem pani Kasugi nie opuszczało podejrzanie, że pani Azuma rzeczywiście połknęła perłę i że jej wyznanie było prawdziwe. A jeśli tak, to zachowała się wstrętne w drodze powrotnej z przyjęcia, zwalając na nią winę i okropnie jej dokuczając, tym bardziej że całe zamieszanie udało się już tak zgrabnie załagodzić. I tylko dlatego ta z gruntu nieśmiała osoba wzburzyła się do tego stopnia, że nie tylko naraziła się na koszty, ale musiała jeszcze odegrać tę komedyjkę. Jakaż to okropna kobieta, jeśli bez względu na wszystko nadal nie chce się przyznać, że to ona połknęła perłę! A jeżeli pani Azuma przez cały czas udawała tylko niewinną, to ona sama, zmuszając się do odegrania swojej farsy, musiała wypaść w jej oczach na bez nadziejną, żalonną aktoreczkę.

Wracając do pani Matsumury – po tym, jak udało się jej nakłonić panią Sasaki, by zechciała przyjąć od niej perłę, poczuła się na tyle odprężona, że w drodze powrotnej pozwoliła sobie raz jeszcze prześledzić w myślach ciąg wypadków, krok po kroku. Kiedy szła po swój kawałek tortu, z całą pewnością zostawiła torebkę na krześle. A ponieważ w trakcie jedzenia ciasta używała papierowych serwetek,

nie miała powodu sięgać do torebki po chusteczkę. Myślała i myślała, ale nie przypominała sobie, aby otwierała torebkę przed poprawianiem makijażu w samochodzie, w drodze powrotnej do domu. Jak to możliwe, aby ni stąd, ni zowąd w torebce, której ani razu nie otwierała, znalazła się perła?

Jaka była głupia – pomyślała – że zamiast wcześniej zwrócić na to uwagę, na widok perły wpadła w panikę. Panią Matsumurę, która posunęła się daleko w swoich rozmyślaniach, coś naraz olśniło. No, tak. Z pewnością ktoś podrzucił jej perlę do torebki, aby ją pogrążyć. Spośród czterech zaproszonych pań jedyną zdolną do takiego czynu jest ta wstrętna Yamamoto. Pieniąc się z wściekłości, pospieszyła do domu pani Yamamoto.

Na widok pani Matsumury w drzwiach swego domu pani Yamamoto natychmiast się domyśliła, w jakiej sprawie przyszła. Wiedziała też z góry, co jej odpowie. Śledztwo pani Matsumury okazało się jednak nadspodziewanie surowe, a z jej postawy wynikało, że wymówki nie zdadzą się na nic.

– To byłaś ty, prawda? Nikt prócz ciebie nie mógł tego zrobić – wypaliła kategorycznym tonem pani Matsumura.

Pani Yamamoto była zrazu chłodna i opanowana.

– Skąd wiesz, że to ja? Masz na to jakiś dowód? Rozumiem, że skoro rzucasz oskarżenie prosto w twarz, musisz mieć niepodważalne dowody:

W odpowiedzi pani Matsumura zauważyła, że skoro pani Azuma wzięła swoim wyznaniem winę na siebie, z pewnością jest ponad wszelkim podejrzeniem. Jej szlachetna postawa w żaden sposób nie dałaby się przecież pogodzić z taką podłością. Co zaś do bojącej się własnego cienia Kasugi, to jest nazbyt tchórzliwa, by mogła zdobyć się na podobny czyn.

– Co oznacza, że zostajesz ty jedna – zakończyła.

Pani Yamamoto zamilkła. Jej usta były z całych sił zacisnięte. Na stole połyskiwała perła, którą położyła tam pani Matsumura. Z przejęcia nie zdążyła nawet unieść łyżeczki i herbata, którą podała, kiedy przyszła koleżanka, zaczęła stygnąć.

– Nie sądziłam, że aż tak mnie nienawidzisz. – Pani Yamamoto otarła kąciki oczu. Pani Matsumura była niewzruszona; z pewnością nie da się zwieść żadnym łzom.

– Wobec tego powiem coś, czego w żadnym wypadku nie zamierzałam mówić. Nie wymienię nazwiska, ale jedna z zaproszonych dzisiaj pań...

– Co może oznaczać albo panią Azumę, albo panią Kasugę, to jasne.

– Pozwól, proszę, że nie wymienię nazwiska, dobrze? Niechcący zauważyłam, jak jedna z nich otwiera twoją torebkę i wrzuca coś do środka. Możesz sobie wyobrazić, jak się zdumiałam. Nawet gdybym chciała, nie miałam kiedy zwrócić ci na to uwagi. Serce biło mi jak młot, a kiedy znalazłyśmy się w taksówce... Boże, jak ja cierpiałam, że nie mogę ci o tym powiedzieć. Gdybyśmy się lubiły, szczerze bym ci o wszystkim powiedziała, ale wiedząc, że ty mnie najwyraźniej nie znosisz...

– Ach, tak. To nader uprzejme z twojej strony. Co oznacza, że w ten sposób zręcznie zrzucasz winę na panie Azumę i Kasugę, prawda?

– „Zrzucasz winę”? Co mam zrobić, żebyś zechciała zrozumieć, co czuję? Mnie chodziło tylko o to, aby nikogo nie zranić.

– Aha. Tylko mnie jedną możesz ranić bez skrępowań, tak? Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego w taksówce.

– Gdybyś ty, jak tylko znalazłaś perłę w torebce, od

razu wszystko wyznała, podzieliła się ze mną swoimi podejrzeniami, na pewno bym ci powiedziała, co zobaczyłam. Ale ty nie, ty musiałaś natychmiast, bez jednego słowa, wysiąść z samochodu i sprawa załatwiona.

Pani Matsumura po raz pierwszy nie wiedziała, co odrzec.

– Posłuchaj. Spróbuj mnie zrozumieć. Ja naprawdę nikogo nie chciałam zranić.

Panią Matsumurę ogarnął jeszcze większy gniew.

– Jeżeli masz zamiar opowiadać mi takie bajki, będziesz musiała w mojej obecności powtórzyć to wszystko, choćby jeszcze dziś wieczorem, przed paniami Azumą i Kasugą.

Teraz pani Yamamoto, rozgoryczona, że koleżanka nie wierzy w jej szlachetne intencje, rozszlochała się na dobre.

Pani Matsumurze po raz pierwszy zdarzyło się widzieć łzy pani Yamamoto, toteż, pomimo usilnych starań, by nie dać się im zwieść, nie mogła oprzeć się odczuciu, że w tym, co twierdzi pani Yamamoto, być może tkwi ziarenko prawdy, tym bardziej że w całym zdarzeniu nic nie było stuprocentowo pewne.

Po pierwsze, jeżeli przyjąć słowa pani Yamamoto za dobrą monetę, to bezsprzecznie było coś ujmującego w jej zachowaniu, w tym, że będąc świadkiem popełnienia niecnego postępku, decyduje się zataić imię winowajczynie. I tak samo jak nie można z całkowitą pewnością wykluczyć, że grzeczna, sprawiająca wrażenie nieśmiałej, pani Kasuga byłaby zdolna posunąć się do podłości, można też, przyjmując pewien punkt widzenia, uznać złe układy między nią a panią Yamamoto za okoliczność osłabiającą podejrzenia wobec tej ostatniej. Gdyby pani Yamamoto, pomimo złych stosunków między nimi, popełniła ten czyn, byłaby oczywiście pierwszą podejrzaną.

– Różnymi się charakterami – ciągnęła pani Yamamoto, nie przestając płakać. – Przyznaję, że wiele mnie u ciebie drażni. Ale podejrzewać mnie, że wymyśliłam ten głupi kawał po to, żeby cię pognać? Wybacz, ale tu przesadziłaś... Mimo wszystko dochodzę po namyśle do wniosku, że będzie jak najbardziej w zgodzie z tym, co czułam od początku całej afery, jeśli z pokorą przyjmę twoje zarzuty. W ten sposób ja jedna wezmę winę na siebie i nikomu z pozostałych nie stanie się najmniejsza krzywda.

Wygłosiwszy tę poruszającą deklarację, pani Yamamoto opuściła głowę na stół i znów zaniósła się szlochem.

Obserwując tę scenę, pani Matsumura zaczęła sobie stopniowo uświadamiać, w jak porywczy i nieprzemyślany sposób się zachowała. Można nie cierpieć pani Yamamoto, ale to nie znaczy, że należało pochopnie, pod wpływem emocji ją potępić.

Kiedy pani Yamamoto po przedłużającym się napadzie płaczu znowu uniosła głowę, jej twarz wyrażała szlachetną determinację, jasno czytelną dla gościa. Pani Matsumura, lekko zaniepokojona, wyprostowała się na krześle.

– To wszystko przez nią. Kiedy zniknie, wszystko będzie jak dawniej – odgarniając niesforny kosmyk włosów odezwała się tajemniczo pani Yamamoto, wpatrzona w blat stołu wzrokiem budzącym przerażenie. Zanim jeszcze skończyła mówić, chwyciła ze stołu perłę i gestem wyrażającym stanowczą wolę wrzuciła ją sobie do ust, po czym, wytwornie odginając do tyłu mały palec, podniosła za uszko filiżankę i połknęła ją jednym haustem, popijając wystygłą herbatą.

Pani Matsumura patrzyła przerażona, nie mogąc oderwać oczu. Wszystko wydarzyło się tak nagle, że nie było mowy, by mogła jej w tym przeszkodzić. Po raz pierwszy

zdarzyło się, że ktoś w jej obecności połyka perłę, a poza tym w postawie tej kobiety, w otaczającej ją aurze, było coś tak rozpaczliwie nieodwołalnego, że przywodziło na myśl człowieka, który właśnie zażył truciznę.

Lecz bardziej niż heroizm tego czynu panią Matsumurę poruszyła jego wzruszająca wymowa. Bez śladu minął jej gniew, a czystość intencji pani Yamamoto, jej prostolinijność tak bardzo nią wstrząsnęły, że nie mogła myśleć o niej inaczej jak o świętej. Tym razem w oczach pani Matsumury pojawiły się łzy. Ująwszy dłonie koleżanki, zaczęła przeproszać i prosić o wybaczenie.

– Ach, wybac, proszę. Przepraszam cię. Wszystko to moja wina.

Przez dłuższą chwilę szlochały razem, trzymając się za ręce i przysięgając sobie dozgonną przyjaźń.

Kiedy do pani Sasaki dotarły plotki o tym, że stosunki między paniami Yamamoto i Matsumurą, dotąd tak fatalne, nagle się poprawiły, a między bliskimi przyjaciółkami, jakimi były panie Azuma i Kasuga – ni stąd, ni zowąd się popsuły, zachodziła w głowę, co mogło być tego przyczyną. Pomyślała jedynie, że na tym świecie zdarza się wiele niepojętych rzeczy. Jako osoba nieprzywiązująca do niczego nadmiernej wagi, udała się do jubilera i zamówiła pierścionek o zmienionym wzorze, tak żeby były w nim osadzone dwie nowe perły – jedna duża i jedna mała. Paradowała z nim na palcu, jakby się nic nie wydarzyło.

Niebawem wyrzuciła z pamięci małe zamieszanie urodzinowe, a kiedy pytano ją o wiek, kłamała jak z nut.

Mishima znany i nieznany

Yukio Mishima, uznawany na świecie za jednego z najwybitniejszych, oprócz Yasunariego Kawabaty, Kōbo Abe i Kenzaburō Ōe, japońskich pisarzy XX wieku, znany jest już polskim czytelnikom z kilku powieści, opowiadań i dramatów. Niemniej jednak to dopiero dzięki zbiorowi *Zimny płomień* mamy okazję ujrzeć wielkie bogactwo tematyczne i stylistyczne właściwe twórczości tego japońskiego pisarza, i zarazem poznać niestereotypowego Mishimę, ciągle poszukującego, zaskakującego wielością swoich twarzy. Jest to zasługą autorskiego wyboru tłumacza, Henryka Lipszyca, który – jako japonista i jednocześnie znawca oraz miłośnik tradycyjnego japońskiego teatru kabuki, utworem tytułowym w tym zbiorze uczynił „teatralne” opowiadanie *Zimny płomień*. To jedno z najpiękniejszych opowiadań Mishimy. Głębokie i subtelne, przedstawia odległy świat teatru kabuki we wszystkich tonach i odcieniach jego barw. Złożona osobowość, szczególna wrażliwość i „inna” miłość *onnagaty* – aktora specjalizującego się w odtwarzaniu ról kobiecych, który, jak wierzą Japończycy, potrafi lepiej niż płęć piękna ukazać kwintesencję kobiecości – została tutaj przedstawiona z niekwestionowaną wiarygodnością. To dzięki temu, że Mishima, choć zazwyczaj kojarzony z tematami oscylującymi

wokół śmierci, doskonale znał kabuki i bezgranicznie podziwiał aktorów tego klasycznego mieszczańskiego teatru. Po raz pierwszy obejrzał przedstawienie kabuki w wieku dwunastu lat i mimo że spektakl wymagał wielogodzinnego siedzenia na widowni, z zafascynowaniem śledził efektowną grę aktorów, ubranych w bogate stroje z epoki. Już wtedy zachwyciło go piękno klasycznego języka i kolorowy teatralny świat, w którym wyobraźnia wznosi się ponad rzeczywistość. Od tamtego czasu nie tylko starał się nie opuścić żadnego wydarzenia teatralnego, ale napisał też kilka sztuk w konwencji teatru kabuki, w tym sześć dla wielkiego aktora *onnagaty* Nakamury Utaemona VI. To właśnie on jest pierwowzorem Mangiku, głównego bohatera tytułowego opowiadania, którego gra aktorska, przypominająca „zimny płomień”, była ponoć zniewalająca.

Mishima, klasycyzujący, poetycki i nawiązujący do stylistyki dawnej literatury japońskiej, ukazany został w dwóch kolejnych opowiadaniach zbioru. *Przejsć przez wszystkie mosty* odsyła nas do dramatu *Shinjū ten no Amijima* (Samobójstwo kochanków w niebiańskiej Amijimie), wzruszającej sztuki, która została napisana dla teatru lalkowego *bunraku* przez największego dramatopisarza nowożytnej Japonii, Chikamatsu Monzaemona (1653–1724). Tak jak para nieszczęsnych kochanków z tej sztuki, którzy w jej najpiękniejszej scenie *Nagori no hashizukushi* (Pożegnalne przejście przez mosty), przechodzą, w drodze ku samobójczej śmierci, przez siedem mostów, tak cztery kobiety (trzy gejsze i służąca) z dziejącego się w XX wieku opowiadania Mishimy pokonują skomplikowaną drogę przez mosty, by zakłąć los i by spełniło się skrywane w sercu każdej z nich życzenie. Droga ku lepszej przyszłości i jednocześnie podróż ku czemuś ostatecznemu łączy bohaterów XVIII-wiecznej tragedii Chikamatsu i współczesnego opowiadania Mishimy.

Z kolei historia wielkiej miłości starego mnicha buddyjskiego do młodej i urodziwej cesarskiej nałożnicy z opowiadania *Miłość Wielkiego Kapłana świętym Shiga* została zaczerpnięta, jak sam autor wyjaśnia, z XIV-wiecznej japońskiej *Kroniki Wielkiego Pokoju*. Stała się ona osnową dla pozornie tylko chłodnej relacji i psychologicznej analizy niezwyklej miłości kapłana do pięknej kobiety, jego wielkiej i namiętnej pasji, która wstrząsnęła zarówno świętym mędrcom, jak i jego próżną wybranką.

Wszystkie trzy opowiadania napisane zostały zwięzłym, logicznym, oschłym stylem, który był dla Mishimy ideałem i którego nauczył się od mistrza intelektualnego, „męskiego” stylu, wielkiego pisarza okresu Meiji, Moriego Ōgaia (1862–1922).

Mishima pisać zaczął bardzo wcześnie. W pewnym okresie życia zdał sobie nawet sprawę, że słowa, najpierw układane przez niego w wiersze, potem w zdania opowiadań, wyprzedzały świat zjawiskowy, który zwykle bliższy jest dziecku.

Urodził się w Tokio 14 stycznia 1925 roku. Jego ojciec był urzędnikiem ministerialnym, natomiast matka wywodziła się z szacownej rodziny uczonych konfucjańskich. Jednak największy wpływ na wychowanie chłopca wywarła w dzieciństwie jego babka ze strony ojca, szczytąca się swoim samurajskim pochodzeniem. Despotyczna i nietolerująca sprzeciwu, odebrała miesięczne niemowlę swojej posłusznej synowej po to, by przez jedenaście lat zajmować się osobiście wychowaniem chłopca. Mishima opisał w swojej autobiograficznej powieści *Wyznanie maski* (przekład fragmentów w „Literaturze na Świecie”, nr 5–6/2003), jak w związku z tym, że praktycznie od urodzenia mieszkał z wiecznie chorą babką w jednym pokoju, w wieku kilku lat nauczył się nią opiekować, podawać lekarstwa, a nawet przewidywać siłę ataków migreny, nękających ją przez całe życie. Ponieważ babka, w trosce o zdro-

wie wnuka, dozowała mu zabawę z rówieśnikami, większość czasu spędzał na samotnym oglądaniu książek, które od piątego roku życia potrafił już sam czytać, i na pisaniu dziecięcych wierszyków. Beztroska dzieciństwo była mu całkowicie obca, a wątpliwość i chorowitość przyczyniły się do późniejszych młodzieńczych kompleksów.

Intelektualnie natomiast przewyższał swoich rówieśników i kiedy w 1931 roku rozpoczął naukę w elitarnej Szkole Parów, do której uczęszczały dzieci z najznamienitszych arystokratycznych rodzin, zdobywał najwyższe laury. W szkolnych czasopiśmie zamieszczane były pierwsze wiersze i opowiadania małego Mishimy, a kiedy w wieku zaledwie piętnastu lat jego długie, klasycyzujące opowiadanie *Las w rozkwicie* (1941) ukazało się w prestiżowym czasopiśmie „Bungei Bunka” (Literatura i Kultura), został okrzyknięty geniuszem literackim. Czasopismo to zrzeszało pisarzy i krytyków będących sympatykami ugrupowań procesarskich i pronarodowych. Za ich zachętą początkujący pisarz tworzył egzaltowane wiersze i opowiadania, wpisujące się w kwiecisty styl japońskich romantyków okresu Shōwa. Dzięki nim Mishima poznał dobrze japońską klasyczną poezję i dworskie opowieści z XI i XII wieku oraz docenił wagę literatury własnego kraju. A już swojej własnej pasji czytelniczej zawdzięczał znajomość twórczości obcych autorów: młodego francuskiego geniusza Raymonda Radigueta, który stał się dla niego niedoścignionym wzorem, Mme de Lafayette, Racine’a, Ajschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa.

Studia na prestiżowym Wydziale Prawa Tokijskiego Uniwersytetu Cesarskiego Mishima rozpoczął w 1944 roku, lecz już na początku następnego roku otrzymał nakaz pracy w fabryce samolotów przeznaczonych dla kamikaze. Wojna brutalnie wdarła się w jego życie i kiedy w ostatnich jej miesiącach dostał wezwanie do wojska, niewiele brakowało, a je-

go niespełnione marzenie o śmierci w młodym wieku na polu walki stałoby się rzeczywistością. Ostatecznie przed wciele-
niem do armii ochroniło go słabe zdrowie. Jednak Mishima
nigdy nie wybaczył sobie tego, że gdy lekarz wojskowy po-
myłkowo stwierdził u niego gruźlicę, wykluczając go ze służ-
by, nie wyprowadził go z błędu i z ulgą powrócił do domu.
Niespełnione marzenie, by jak Radiguet zostać sławnym pi-
sarzem i umrzeć młodo, prześladowało go później przez całe
życie.

Okres powojenny, kiedy to legły w gruzach nie tylko japoń-
skie miasta i wsie, ale również ideały, w które wierzone przed
wojną, był niezwykle trudny dla młodych pisarzy. Środowi-
sko literackie, które wyniosło Mishimę na wyżyny, zostało
potępione za dawne nacjonalistyczne przekonania, a wielu
z jego byłych mentorów aresztowano. Mishima musiał po raz
drugi zadebiutować jako pisarz i miał sporo szczęścia, gdyż
udało mu się zainteresować swoimi utworami wielkiego Ka-
wabatę. Przyszły noblista został opiekunem literackim i przy-
jacielem Mishimy na całe życie. To on był gościem hono-
rowym na weselu Mishimy, on również był mistrzem jego
ceremonii pogrzebowej.

Sukces Mishimy nadszedł jednak dopiero kilka lat póź-
niej, kiedy w wieku dwudziestu trzech lat porzucił lukra-
tywną posadę w Ministerstwie Finansów, którą otrzymał po
ukończeniu studiów prawniczych, i zdecydował się zarabiać
na życie wyłącznie pisaniem. Ta odważna decyzja sprawiła,
że mógł w pełni poświęcić się swojej pisarskiej pasji i zaowo-
cowała wydaniem rok później powieści *Wyznanie maski*. Jej
powodzenie było tak duże, że jeden ze znanych krytyków en-
tuzjastycznie ogłosił, iż XX wiek w literaturze japońskiej
rozpoczął się z pięćdziesięcioletnim opóźnieniem, dopiero
z chwilą ukazania się w 1949 roku *Wyznania maski*. Powieść
ta, napisana w pierwszej osobie, jest błyskotliwą analizą obsesji

śmierci, nękającej głównego bohatera od wczesnego dzieciństwa. Dzięki zabarwieniu autobiograficznemu dostarcza klucz do zrozumienia pisarstwa Mishimy, które, choć z pozoru odwołuje się do fikcji literackiej, w rzeczywistości wyjątkowo mocno osadzone jest w życiu pisarza.

Wyznanie maski nie tylko wprowadziło Mishimę na literackie salony powojennej Japonii, ale odważny sposób, w jaki w powieści tej przedstawiony został temat homoseksualizmu, zapewnił jej autorowi rozgłos i popularność wśród czytelników. Od tamtej pory Mishima spełniał się nie tylko jako pisarz tworzący literaturę intelektualną najwyższych lotów, ale też jako ulubieniec szerokiej rzeszy czytelników, dla których tworzył prozę mniej wymagającą.

Kolejne lata jego twórczości to w zasadzie pasmo nieprzerwanych sukcesów literackich: rok 1950 przyniósł głośną powieść *Pragnienie miłości*, cztery lata później ukazał się bukoliczny, pełen radości życia i optymizmu *Odgłos fal*. Światową sławę zapewniła Mishimie powieść *Złota Pagoda* (1956), która dobrze ilustruje jedną z jego ulubionych metod pisarskich – punktem wyjścia dla stworzenia fikcji literackiej jest rzeczywiste wydarzenie, którego bohater nieuchronnie podąża ku katastrofie. Z kolei za granicą sławę przyniosły Mishimie adaptacje sztuk klasycznego japońskiego teatru *nō*, które stały się kanwą jednoaktowych dramatów, dziejących się we współczesnym świecie. Utwory te, powstałe w latach 1955–1960, wydane zostały w zbiorze *Współczesnych dramatów nō*. Poetycka wzniosłość języka *nō* po mistrzowsku wzbogacona jest w sztukach Mishimy o dialogi, typowe dla dramatu europejskiego, co czyni je bardziej zrozumiałymi dla zachodniego widza.

Rok 1960 wyznacza początek dekady, w której Mishima dokonał niezrozumiałego, nawet dla swych najbliższych przyjaciół, zwrotu ideologicznego. Od tego czasu aż do bul-

wersującej śmierci w 1970 roku w całej swojej działalności literackiej, w niezliczonych publikacjach i wypowiedziach, występował jako gorący orędownik mitu boskiego cesarza i drogi wojownika *bushidō*. Krytykował powojenną Japonię za brak ducha samurajskiego, za demoralizację i konsumpcjonizm, nawoływał do wskrzeszenia tradycji jako jedyne go sposobu uleczenia kraju. I właśnie jedna z najbardziej znanych na świecie twarzy Mishimy, składająca się na obraz, który na zawsze zdominował wszystko, co zostało o nim napisane, i przez wiele lat przesłaniająca imponujący dorobek literacki tego wybitnego pisarza, wiąże się z wydarzeniami dotyczącymi jego śmierci. Kiedy ten znany już dobrze na Zachodzie pisarz, podziwiany przez Tennesseego Williamsa i Marguerite Yourcenar, ulubieniec japońskich mediów i kilkakrotny kandydat do literackiej Nagrody Nobla, popełnił w listopadzie 1970 roku samobójstwo przez rytualne rozcięcie brzucha (którego makabrycznym dopełnieniem była poza tym dekapitacja), cały świat zastygł w niemym zdumieniu. Jedną z reperkusji tego wydarzenia było niemalże całkowite zapomnienie o tym, że Mishima w wieku zaledwie czterdziestu pięciu lat był już autorem około czterdziestu poczytnych powieści, osiemnastu wielokrotnie wystawianych sztuk teatralnych, dwudziestu zbiorów opowiadań i mniej więcej takiej samej liczby zbiorów esejów. Natomiast wszyscy, przez kolejne lata, zadawali sobie jedno dręczące pytanie: czemu miało służyć to okrutne samobójstwo? Jak to możliwe, by w nowoczesnej Japonii, pnącej się ku najwyższym szczeblom rozwoju ekonomicznego, człowiek współtworzący intelektualną elitę kraju popełnił czyn tak bardzo anachroniczny, wpisujący się w wizerunek Japonii samurajskiej z czasów feudalnych. Prasa i telewizja nie pozwoliły, by świat zapomniał widoku Mishimy w mundurze przywódcy paramilitarnego Stowarzyszenia Tarcz, który z tarasu dowództwa oddziałów piechoty

japońskich Sił Samoobrony w Tokio wygłosił manifest do zebranych żołnierzy. Mishima apelował, by postąpili jak prawdziwi samuraje i jak on zaprotestowali poprzez śmierć przeciw powojennej konstytucji, liberalizmowi i demokracji, odbierającym cesarzowi Japonii jego rzeczywistą wartość. Jak można się było spodziewać, słowa Mishimy nie przyniosły oczekiwanego skutku i oprócz niego samego *seppuku* popełnił jedynie towarzyszący mu przyjaciel, członek Stowarzyszenia Tarcz.

Motywy, które pchnęły Mishimę do tego enigmatycznego czynu, wymykają się prostym i logicznym wyjaśnieniom, a najczęściej podnoszone wątki kulturowej idei cesarza i potępienia powojennej polityki kraju stanowią jedynie część prawdy o nim. Nie można natomiast zaprzeczyć, że Mishima przez całe życie zakochany był w śmierci zabarwionej erotyzmem i że śmierć, łącząc nierozzerwalnie jego życie i twórczość, stanowiła główny motyw jego pisarstwa. Gesty towarzyszące *seppuku*, które ostatecznie wybrał jako sposób rozstania się z życiem, ćwiczył już wcześniej wielokrotnie w opowiadaniach, zdjęciach i filmach z własnym udziałem. Utworem, w którym Mishima opracował pierwszy artystyczny „scenariusz” do swojego samobójstwa, jest *Umiłowanie ojczyzny*, zamieszczone w zbiorze *Zimny płomień*, otwierającym partię opowiadań z motywem śmierci. Jest to niewątpliwie jedno z najlepszych opowiadań Mishimy, stanowiące kwintesencję jego pisarstwa i jednocześnie zapowiadające mroczny okres w twórczości artysty. Opowiadanie, którego japoński tytuł *Yūkoku* oznacza dosłownie „troskę o kraj”, ból i żal, jakimi kierowali się Japończycy w dawnych czasach, martwiąc się o swoje księstwo feudalne, oparte zostało na znanym wydarzeniu, jakim był pucz wojskowy z 1936 roku. Dla Mishimy stało się ono pretekstem do przedstawienia historii, w której sprzężone zostały najwyższe dla pisarza wartości –

troska o kraj, miłość i śmierć, albo, jak to ujął John Nathan, pierwszy biograf i surowy krytyk Mishimy – erotyczne pragnienie śmierci, które w pewnym momencie stało się dla niego tym samym, co miłość i śmierć dla kraju. Niezależnie jednak od motywów, jakimi kierował się pisarz, tworząc to opowiadanie, przedstawia ono fragment wyśmienitej prozy, mocnej i jędrnej, w której brutalność, przemoc i erotyzm tworzą jedno z miłością, lojalnością i honorem. Czystość, jakże ważna w japońskim systemie etycznym i estetycznym, stanowi w tym opowiadaniu nadrzędną cnotę.

Dla Mishimy było to bardzo ważne opowiadanie. Twierdził, że jeśli ktoś miałby przeczytać jeden jedyny jego utwór, to powinno to być właśnie *Umiłowanie ojczyzny*. Prezentuje ono bowiem kwintesencję jego pisarstwa i człowieczeństwa, z wszystkimi zaletami i wadami. Polski czytelnik ma dodatkowo to szczęście, że kunsztowne opowiadanie Mishimy przełożone zostało przez mistrza przekładu Henryka Lipszycy. Rzadko spotkać można tak udany, idealny wręcz mariaż dobrego pisarstwa i tłumaczenia jak w polskim przekładzie *Yūkoku*.

Na podstawie opowiadania *Umiłowanie ojczyzny* Mishima napisał scenariusz i wyreżyserował krótki, trwający około trzydziestu minut film, który z francuskim tytułem *Les rites de l'amour et de la mort* (Rytuały miłości i śmierci) został po raz pierwszy pokazany na Festiwalu Filmowym w Tours w 1966 roku, gdzie zrobił olbrzymie wrażenie. Mishima zagrał w nim osobiście rolę młodego porucznika Takeyamy pełniącego *seppuku*. Nikt jeszcze wtedy nie przypuszczał, że dokładne studia nad *seppuku* i bardzo realistyczne odtworzenie sceny śmierci porucznika posłużą mu jako wprawka do skonstruowania ostatniej sceny z własnego życia.

Temat śmierci obecny jest również w dwóch innych opowiadaniach zbioru *Zimny płomień*, a mianowicie w *Niedzieli*

i w *Śmierci w środku lata*. Oba te utwory, jak zresztą większa część prozy Mishimy, wzbudzają skrajne emocje. Z jednej strony ich formie nie można niczego zarzucić. Chłodny, analityczny i precyzyjny język (jakże obcy tradycji japońskiej i zapewne dlatego trafiający do zachodniego czytelnika), prawdopodobieństwo wydarzeń, głębokie wejrzenie w człowieka – wszystko to sprawia, że czyta się je z dużym zainteresowaniem. Szczególnie *Śmierć w środku lata*, przywołująca na myśl wielkie tragedie greckie, zadziwia głęboką i trafną analizą psychiki kobiety, która zrzędzeniem okrutnego losu straciła jednocześnie dwoje małych dzieci. Gdzieś jednak budzi się w nas wewnętrzny sprzeciw, a nawet złość, wywołana ledwie uchwytną w obu opowiadaniach nutką cynizmu wobec ludzkiego życia i wobec tematów niemalże świętych, bo do takich należy z pewnością ból matki po utracie dziecka. Czujemy się złapani w pułapkę pięknych, gładko brzmiących słów, manipulowani przez zręcznego psychologa, który być może zabawia się jedynie naszymi uczuciami, konstruując zgrabne opowiadanie. No cóż, można tylko powiedzieć: taki właśnie jest Mishima! Wielkość jego sztuki polega właśnie na tym, że nikogo nie pozostawia obojętnym. Można zarzucić jego dwóm ostatnim opowiadaniom ze zbioru, *Fontannom: w deszczu* i *Perle*, że są jedynie małymi, udanymi próbkami stylistycznymi, owocem igraszek z literaturą znudzonego artysty, lecz można też, czytając je, zachwycać się znajomością kobiecej psychiki, precyzją pisanego słowa i lekkością pióra. Ale przede wszystkim można cieszyć się, że zbiór *Zimny płomień*, w którym zamieszczone zostały tak różnorodne opowiadania, przetłumaczone pięknym polskim językiem, pozwala nam ujrzeć Mishimę w całej jego krasie – w miłości i nienawiści, we wzruszeniu i w opanowaniu, w życiu i w śmierci.

Ukoronowaniem twórczości Mishimy, nie tylko ostatnie-

go okresu jego pisarstwa, ale całego życia, jest tetralogia *Morze żyzności*. Ostatni tom tej niezwyklej powieści, której napisanie zajęło Mishimie cztery lata, pisarz ukończył na dzień przed swoją śmiercią. Zawarł w niej wszystkie swoje najważniejsze tematy, czyli miłosną pasję i żarliwy patriotyzm młodych bohaterów, którym przeznaczone jest umrzeć w kwiecie wieku, a także powolny upadek moralny i fizyczny nowoczesnego społeczeństwa japońskiego. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że kiedyś również to wielkie dzieło Mishimy znajdzie godnego siebie tłumacza i polscy czytelnicy raz jeszcze będą mogli zachwycić się japońską prozą na najlepszym poziomie.

Beata Kubiak Ho-Chi

Spis treści

Od Tłumacza	5
Zimny płomień	9
Przejść przez wszystkie mosty	41
Miłość Wielkiego Kapłana świątyni Shiga	65
Umiłowanie ojczyzny	87
Śmierć w środku lata	119
Niedziela	177
Fontanny w deszczu	197
Perła	209
Mishima znany i nieznan	225